

DOKUMENTY

O. N. BURBA-KOCHAŃSKI

LIST DO EMIGRANTA

INSTYTUT

PA YZ



LITERACKI

1970



LIST DO EMIGRANTA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 198



IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

DOKUMENTY

O. N. BURBA-KOCHAŃSKI

LIST DO EMIGRANTA

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1970

*Cóż tam, panie, w polityce?
Chinyki trzymają się mocno?*

Wypiański

Dziwnymi, zaiste, drogami kroczyła polska myśl polityczna. Chyba zgodzi się Pan ze mną, że o większą różnorodność koncepcji ratowania tego, co *chciane i możliwe* trudno wśród społeczności europejskich. Jednego wszakże zaprzeczyc jej niesposób: od 200 lat liczy się najbardziej z zewnętrznymi, ogólnościowymi elementami politycznymi.

Sojuszników szukaliśmy za siódmą górą, we Francji; dwa razy chadzaliśmy w żołnierskim zaprzęgu po piaskach Afryki; kołaliśmy do bram cesarstwa za siódmym morzem, Japońskim. Na określony układ stosunków międzynarodowych liczyli wszyscy wodzowie powstańczy, wszyscy przywódcy patriotycznych konspiracji, wszyscy liderzy partii politycznych. Doświadczenia międzywojenne i wojenne, emigracyjne i peerelowskie, nauczyły nas niezwykłą miarę przykładać do Polityki pisanej z dużej litery, bo sterowanej przez Największych. Jest w tym ciągle, od owego nieszczęsnego reytanowskiego sejmku, podtekst nadziei narodowej i świadomość własnej niemocy.

Ulegając przemożnej sile tradycji zamierzam Panu przekazać wrażenia związane z aktualną sytuacją światową i w jej kontekście przedstawić pogląd na sprawę narodową.

Obserwacja sceny światowej uprawnia do uznania bieżącego roku za wyjątkowy. Choć wszystko jeszcze pozostaje po staremu, wprowadza on naszą planetę w nową fazę. Proszę uwierzyć nam, marksistom, w nieprzypadkowość przypadków. Szczególnie politycznych. Nie jest na pewno zrzędzeniem losu niezwykły urodzaj terogocznych inicjatyw moskiewskich.

W krótkim okresie klarują się sprawy bezskutecznie atakowane całymi dziesięcioleciami:

- ułożenie stosunków powojennych między sowieckim Wschodem a NRF;
- ograniczenie wydatków zbrojeniowych i wyścigu zbrojeń obydwu supermocarstw;
- regulowanie stosunków na Bliskim Wschodzie;
- dążenie do zamknięcia rozdziału permanentnych napięć w Europie.

Na Kremlu urzędują od dziesięcioleci właściwie ci sami ludzie. Komentarz, jakoby nowe zjawiska polityczne na Zachodzie, skłoniły ich do łaskawszego traktowania terroryzowanego świata — obliczony jest na prostodusznych *sowietskich ludiej*.

Nie zmiana rządu w NRF a zmiana kierunku sowieckiego natarcia zdecydowała o zatrąbieniu na odwrót, o odegraniu niemieckiego hymnu przed frontem „gwardiejskiej” kompanii honorowej w Moskwie.

Nie użyczenie kilkunastu tysięcy rosyjskich obrońców egipskiego nieba i spętanie Nassera miliardowymi długami przesądziły zamrożenie pospolitego ruszenia przeciw „syjonistycznej żydoimperii”.

Nie „równowaga strachu” unosi się nad kolejnymi miejscami posiedzeń ekspertów i negocjatorów w Wiedniu czy — wkrótce — w Helsinkach.

Wszędzie reweransom obu stron, sowieckiej i zachodniej, patronuje duch odległego Mao.

W sielskich, spokojnych, naiwnych czasach ostatniego przełomu stuleci do rekwizytów, którymi straszono Europę, rządy i prasa włączyły „żółte niebezpieczeństwo”. W międzyczasie przeżyliśmy już niebezpieczeństwo brunatne, czarne, przeżywamy jeszcze niebezpieczeństwo czerwone (bo na nim robotnicza krew). I oto Zachód ani się spostrzegł, że wkracza w erę *żółtego błogostawieństwa*.

Nagła, przemożna troska o produkcję setek tysięcy ciężarówek (które zdolne byłyby pokonać ogrom bezdroży Mongolii Wewnętrznej, Mandżurii, Yunanu i innych przewidzianych w sowieckich sztabach terenów)... Dywizje ściągane truchtem nad Amur... Całe brygady lotnicze dalekiego zasięgu przerzucane do baz Cedenbał-chana i *gdzie-to bliżej Dalgogo Wastoka*... Okręty wojenne odsyłane na Ocean Indyjski i Pacyfik... To ożywienie pozwala spokojniej wspominać apokaliptyczne założenia strategiczne NATO, według których pierwsza linia obrony „wolnego świata” oparłaby się o lewy brzeg Renu albo o... Kanał Panamski.

Systematycznie czytuję w klubie pisma, którym Pan chyba całkowicie wierzy. Nie darzę ich bezkrytycznym zaufaniem; owszem, cenię (i dlatego żałuję ilekroć „czujność” cenzury zatrzymuje szczególnie „niewygodny” numer). Ta lektura pozwala mi domyślać się, że grozę zawieruchy chińsko-sowieckiej skłonny jest Pan, zgodnie z poglądami zachodnich komentatorów, zapisać w kalendarzu odległych lat — i to jeszcze pod wielkim znakiem zapytania. Pańscy prasowi eksperci skłonni są liczyć na powściągliwość Kremla, dopóki legenda Mao uzupełnia braki w wyposażeniu bojowym Chin — bojowością fanatyzmu. Niektórzy z nich — cóż za budujący przykład „lewicowości”! — nie wykluczają nawet, że sowieci zdołają poskromić chińskiego smoka rękoma Amerykanów.

A może Pan tak nie sądzi..? Może jakieś emigracyjne pismo (bo „Wolnej Europy” chyba Pan nie słucha) przekazało Panu tekst uchwały Kongresu Polonii Amerykańskiej, głoszącej groźbę konfliktu między „bratnimi” mocarstwami azjatyckimi i wysnuwającej z tego faktu wnioski dla nieszczęsnej sprawy polskiej?

Jest to pierwsza okazja, kiedy uznaję umiejętność przewidywania promotora teje uchwały, mecenasa Korbońskiego. Dwadzieścia lat z okładem robi swoje. Obaj nauczyliśmy się lepiej spostrzegać i realniej oceniać zjawiska...



Bardzo zależy mi na przekonaniu Pana, że — mimo pozorów — człowiek nie wiele zmienił się od czasów babilońsko-assyryjskich. Jawną nietolerancję i krwiożerczość złagodziły nieco ekonomika z cywilizacją, reszty dokonał zręczny *maquillage*. Dzisiejszy szary-BIAŁY człowiek z zażenowaniem wspomina krematoria oświęcimów, z niedowierzaniem dowiaduje się o masowych mordach w Nigerii, rozgorycza się nad tragiczną vegetacją bezdomnych Arabów palestyńskich. W istocie jednak współczesny potomek Hunnów, Awarów, Scytów, Wikingów pozostał starym egoistą. Tak doskonałym, że wyspecjalizowane służby człowiecze od etyki — religie, kapitulują i wolą zajmować się apologetyką, niż popisywać się własnym dorobkiem w przekształcaniu natury ludzkiej. (Niechże Pan tych cierpkości nie przyjmie jako atak na Kościoł. W identycznej, gorszej nawet sytuacji znajduje się socjalizm, który nie potrafi się uporać z naturą ludzką i własną i również od dziesięcioleci trudni się apologetyką).

Zmienia się jednak charakter i zasięg egoizmu. Rodowy zastą-

pił rodzinny. Klasowy feudałów ustąpił przed nacjonalistyczno-burżuazyjnym. Obecnie najbardziej rozwinięte społeczeństwa, przeżywające własne dole i niedole drugiej rewolucji przemysłowej, kultywują egoizm wykraczający poza ramy klas i granice poszczególnych krajów. Rozwój gospodarczy trasuje tam drogę szybkiemu wykształcaniu nowego typu egoizmu — *egoizmu cywilizacji przemysłowej*. Agresywność, charakterystyczna dla partykularyzmów rasowych, wyznaniowych, narodowych, klasowych — zanika. Jej miejsce zajmuje egoizm „racjonalistyczny”, powodowany chęcią zbiorowej obrony bogatych społeczności przed biedą, głodem, nieszczęściami reszty narodów zamieszkujących na Ziemi.

To poważne zjawisko. Z niego — z konfrontacji własnego położenia z sytuacją w „komunistycznym raju” — wywodzi się atrofia radykalizmu robotniczego w krajach czołówki światowej. Z niego wypływa atrofia uniwersalistycznej myśli we współczesnym świecie zachodnim. Własny dobrobyt rodzi niechęć do zwracania sobie głowy „peryferiami” świata — Wschodem i Południem, od Łaby po Amerykę Południową.

Jest to szczególnie niebezpieczny egoizm. Egoizm populacji znakomicie umiejącej liczyć, lepiej niż kiedykolwiek w dziejach zorganizowanej, orientującej się w sytuacji społecznej, dzięki systemowi parlamentarnemu mającej dostatecznie duży wpływ na sprawowanie władzy. Ujawnia on niezwykle nienasyconie dobrami materialnymi. Właśnie to nienasyconie i demokracja tworzą presję na rządy i zmuszają je do zmian politycznych w skali nieznanej poprzednim pokoleniom.

Ograniczenia wydatków militarnych wróżą tzw. masom tzw. wolnego świata znaczną poprawę sytuacji materialnej. Czy może więc budzić wątpliwość „szarych” ludzi w błękitnym świecie atomowo-elektronicznej cywilizacji wychodzenie na przeciw sowieckim inicjatywom „odprężeniowym”?

Rządy zachodnie liczą na korzyści płynące z ograniczania populacji krajów „marginalnego świata”. Liczą wpływy, jakie przyniesie im odległa wojna. Liczą korzyści z nieuchronnego, ich zdaniem, osłabienia obydwu nieprzyjaznych państw. A więc wszystkie ich zabiegi sprowadzają się jedynie do stworzenia gwarancji, by kanonada w okolicach Tień-Szań nie naruszyła czystości atmosfery New Yorku, Tokio, Paryża, nie zakłóciła nocnego wypoczynku i *week-end’u* mieszkańców „lepszego świata”.

Pod zamierzonym kremlowskim wyrokiem na krnąbrnych Chińczyków widnieje — wpisany atramentem sympatycznym — podpis kontrahentów zza Oceanu.

Ocenę moralną tych zjawisk zostawmy moralistom i aposto-

łom, którzy — bez większych efektów — wkrótce zaczną ostrze-
gać przed Apokalipsą na drugim końcu Euro-Azji.

Nam chodzi o interes Polski.



*„... długo, Polsko, będziesz się tułała wśród
głuchych ziomeków, dmących w orzech pusty”.*

Tadeusz Miciński

Tyle wzajemnie wykluczających się przedsięwzięć i zjawisk nazywali nasi przodkowie i współcześni Polacy *polskim interesem*, że gwoli uniknięcia nieporozumień — wypada sprecyzować, co się za tym określeniem kryje.

Dla ogromnej większości Emigracji (proszę sprostować jeśliśm w błędzie) kryją się nadzieje automatycznego runięcia wschodnie-
go „molocho na glinianych nogach”, które otworzyłyby perspektywę cudownego, niemal biblijnego, powrotu do kraju. Ze sztandarami-relikwiami, z prochami bohaterów, z pieniemi tyleż nabożnymi co patriotycznymi, z czystymi sumieniami i niepokalananymi rękoma. Gubi się wprawdzie w mrokach Dyplomatycznej Tajemnicy i Świadomego Niedopowiedzenia odpowiedź na pytanie, czy Alianci (przepraszam, dziś zwą się Zachodem) — czy Zachód udzieli tej wyprawie o cechach kadrowej krucjaty jakiejś pomocy zbrojnej bądź materialnej. Gubi się zasięg granic cudownie wskrzeszonej wolnej Polski. Niewiadomy pozostaje jej ustrój polityczny i społeczny...

Dla marzycieli są to detale. Dość, że na intencję nadciągającej konfrontacji militarnej na drugim końcu świata, nie jedna chyba już zapłonęła — i zapłonie — świeczka, nie jedna rozkwitła — i rozkwitnie — nadzieja. Ma się stać cud, którego mechanizm (choć w innych nieco okolicznościach) określił pięknymi słowy pewien poeta na emigracji:

*„... otwórz nam Polskę jak piorunem
otwierasz niebo zachmurzone”.*

Dla lokatorów warszawskiego Białego Domu ów „*pol ski i n t e r e s*” ma inny sens. Znajdują w nim panaceum na doraźne, dotkliwie i groźne dla nich trudności sprawowania władzy. „*Towarzysze*” wiedzą przecież doskonale, że mimo nakazów Moskwy nie do utrzymania na dalszą metę będzie ciężąca krajowi kamieniem u szyi stagnacja gospodarcza, niedokarmienie setek tysięcy

obywateli, nadmiar siły roboczej i wyrastające z tej sytuacji — coraz nowe dolegliwości społeczne. Do rzeczywistych zmian dopuścić nie chcą i nie mogą. Jakże więc szerokie perspektywy „oddechu” wiąże quasi-proletariacka oligarchia w Warszawie z wybuchem rosyjsko-chińskiego konfliktu i „naturalną” koniecznością pomocy Polski dla zagrożonych przez „stalinizm-maoizm” „zdobyczy socjalizmu”!

W sytuacji pogotowia wojennego (choćby i odległego terytorialnie konfliktu) konsumpcyjne apetyty Polaków dadzą się łatwo okiełznać. Kto wie, czy to nie z myślą o wojnie chińsko-sowieckiej Gomułka prorokuje likwidację importu zboża...

Nadwyżka siły roboczej znajdzie pełne zatrudnienie, wyzwanie, czułą opiekę moralno-polityczną pod adresem „polewaja poczta nr...”.

Prawo dyscypliny wojennej tej śmiesznej, odległej wojny, pozwoli na „legalne”, szybkie dławienie każdej opozycji bez żadnych ceregieli, bez polityki „bata i lizaka”, która zmusza do kokietowania byłych towarzyszy Andrzejewskich czy jeszcze niedawno skazanych na śmierć głodową Woroszylskich.

Skutecznie zaczną rosnać krzywe wydajności pracy za cenę pozostawienia w domu, przy kobiecie i dziecku, zamiast branki na sopki. A jak radykalnie anuluje się wszystkie — wymuszone czy pochopnie obiecane dla odwrócenia uwagi od prawdziwej istoty „antysyjonistycznej” awantury — urlopy „od morza do morza”, wyższe emerytury, partycypacje w dochodach przemysłu... Hasłem „ojczyzna w niebezpieczeństwie”, choćby i kłamliwym, z Polaków da się jeszcze wykrzesać wiele cierpliwości i uległości. Na krnąbrnych wystarczą nie zwiększone stany etatowe służb bezpieczeństwa. I karne bataliony szturmowe.

Żadna zbrodnicość warszawskich władców nie może Pana zaskoczyć. W potulność rodaków nie łatwo Panu uwierzyć i przyjmując sugestię, że w Polsce znajdują się nawet dziesiątki tysięcy ochotników na tę wojenkę. Nie ze względów „ideowych”, lecz z bardziej prozaicznych.

Zachodowi, nawet polskiemu Zachodowi, „reformatorski kurs” Jaszczuka przesłania prawdę o polskim bezrobociu. Nikt dotąd, nawet pan Górecki z „Wolnej Europy” nie zauważył, że jest ono największe w Europie. I mało kto spostrzegł, że rozreklamowane aktualnie „porządkowanie gospodarki narodowej” nie stwarza żadnej alternatywy dla setek tysięcy ludzi pozostających bez zatrudnienia. Racjonalizacja gospodarstwa może jedynie pogłębić stan chronicznego bezrobocia. W tym sensie Jaszczuk i jego wiadomi protektorzy przygotowują obiektywne warunki społecz-

no-ekonomiczne dla samorzutnego zaciągu wojennego młodzieży, nie znajdującą w kraju żadnej realnej perspektywy.

Prowadzimy dialog na odległość próbując więc przewidzieć Pańskie reakcje. Domyślam się, że wątpi Pan w zdecydowanie Sowietów na podjęcie chińskiej awantury. Pańskim zdaniem Rosja-Sowiety marzy o podboju Zachodu, który jest kluczem do rzeczywistego panowania nad całym światem. W Pańskiej świadomości zapisały się wojenne katastrofy największych strategów w krajach-gigantach. Bieg wojennych wydarzeń w Wietnamie zdaje się również wskazywać na niemożność zwycięskiego rozegrania wojen współczesnych.

Zdają sobie z tego wszystkiego sprawę na Kremlu. Breżniew, Kosygin, Podgorny i Susłow niemało włożyli wysiłków, by przekonać swoich sztabowców do przygotowania operacyjnych planów kampanii chińskiej. **K a m p a n i i** — nie nalotu na dwa, trzy ośrodki atomowe Chin celem obrócenia ich w rumowiska dymiące radioaktywnym pyłem.

Perspektywa prawdziwej, długotrwałej wojny, nie uśmiecha się bynajmniej sztabowcom, którzy z akademii wojskowych i historii rosyjskiej znają druzgocącą moc przestrzeni, wydłużonych dowozów, oporu podbitych terenów. Ale — gdy arsenały pękają od nadmiaru nowoczesnej broni, gdy gnuśnią w garnizonach setki tysięcy wojsk (a ich demobilizację wykluczają względy gospodarcze...), gdy zaawansowanie potęgi zbrojeniowej w porównaniu do wszystkich pozostałych dziedzin gospodarstwa narodowego tworzy potworną karykaturę systemu, gdy *pax sovietica* zagrożony jest wzrastającą presją „rewizjonistycznych” tendencji odnowy socjalizmu i wolności od centralizmu — sowieccy marszałkowie musieliby nie mieć serca, by nie podjąć wątku rozumowania swoich wczorajszych komisarzy z dzisiejszego polit-biura. Mają wypróbowane, sowieckie serca i — wbrew strategicznym obiekcyom — zainwestowali je w przygotowanie wyprawy.

Od strony lądowej plany te mają defensywny charakter (oczywiście, jeżeli nie liczyć kilku efektownych, raczej propagandowych, przesunięć w głąb terytorium „bratniego” przeciwnika). Główny akcent położono na lotniczą dezorganizację transportu, na zniszczenie ważniejszych obiektów komunikacyjnych i zbrojeniowych, na likwidację źródeł zaopatrzenia w materiały pędne dla chińskiego lotnictwa, na roznieśnienie chińskiej siły atomowej, na działania mające na celu sianie defetyzmu i łamanie woli oporu. Sowiecka marynarka wojenna podejmie próbę zablokowania dowozów morskich i dezorganizacji życia w portach chińskich. W odróżnieniu od innych broni — nie miała ona dotychczas

szczęścia zapisać się w historii „ojczyźnianych” wojen niczym poważniejszym od jednorazowego wystrzału „Aurory”.

Tak więc największych entuzjastów konfrontacji znajdujemy w dowództwach służb lotniczych, raketowych i marynarce wojennej — sowieckim *enfant terrible* ostatniego piętnastolecia. Najmniejszych — w dowództwach broni naziemnych, konwencjonalnych.

Zrozumiałe z jakich względów — Chińczycy będą się bowiem bronić. I nie tylko na własnym terytorium. Będą atakować, wykorzystywać przewagę liczebną żołnierzy, ich determinację. Obsadzenie dziesiątków tysięcy kilometrów linii nieustabilizowanego frontu, zmusi Sowiety do przerzucenia na Daleki Wschód i do Azji Środkowej bardzo liczebnych armii. Nic więc dziwnego, że przewidziano udział Polaków i wszystkich innych satelitów. Nowe cyrografy o „wzajemnej pomocy” rumuńsko- i czechosłowacko-sowieckie, proklamowanie „doktryny Breżniewa” — wystawiają tym przygotowaniom niedwuznaczne świadectwo.

Zapotrzebowanie na europejskich żołnierzy w rozgrywce z Chinami będzie tym większe, że Sowiety zechcą z dala od teatru działań wojennych trzymać swoich poddanych — Azjatów. Dostatecznie dotkliwie odczuli oni rosyjskie panowanie. W obliczu chińskiego „wroga” okazaliby się niezbyt ochoczymi obrońcami „sowieckiej ojczyzny”.

Celem wojny będzie ustabilizowanie reżymu sowieckiego, wewnętrzne jego wzmocnienie, związanie z ZSRR zachodnich, europejskich rubieży „obozu”. Ściągnięcie nadwyżki sił produkcyjnych do koszar i na linię frontu, ułatwi przeprowadzenie manewru gospodarczego, przekształcającego zacofane technologie w nowoczesne czy, bodaj, nowocześniejsze. Sowieckim i satelickim politykom śni się ów „wielki skok” gospodarczy, który zdumiewa Pańskich reporterów w Izraelu sześciodniowej wojny i marzeń o wiecznym udawaniu wojaczki czy wojennych niebezpieczeństw. Będzie więc nękanie chińskiego „brata” działaniami dezorganizującymi gospodarkę i rozkładającymi więź społeczną. Żaden *Blitzkrieg*, lecz przedłużanie pozorów prawdziwego starcia wojennego do granic wytrzymałości własnego społeczeństwa i poza granice wytrzymałości narodu chińskiego.

Po wojnie, Sowiety — według własnych rachub — powinny okazać się jeszcze silniejsze militarnie, jeszcze bardziej wszechwładne na terenach zwasalizowanych (również chińskich), całkowicie bezkonkurencyjne w dziedzinie „ideologicznej” (czyli aktualnej wykładni quasi-marksistowskiej), z mocno podreperowanym imperialistycznym morale Rosjan i imperialistycznym autorytetem w kdl'ach — a zarazem w pełni gotowe do odwrócenia wyrzutni i

dział na Zachód dla zadokumentowania, że ten ostatni, gnuśniejący w wygodzie i dobrobycie, nie powinien czuć się nazbyt bezpiecznie.

Amerykanie wytrzymali w Wietnamie sześć lat, mimo presji „burżuazyjnego parlamentaryzmu i zgniłej demokracji”. *Russkij czełowiek* w rachubach *sowiewskich rukowoditielej* odznacza się znacznie wyższą odpornością na „destrukcyjne, defetystyczne” — antywojenne nastroje. W tych warunkach marsowa „dyskusja” o „rozbieżnościach ideologicznych” może się przeciągnąć i na całą dekadę...

Błędy Zachodu, które od pięćdziesięciu lat sprzyjają obiektywnemu umacnianiu systemu sowieckiego, zawsze wynikają z tego samego źródła, które i tym razem Panu oraz zachodnim komentatorom nakazują powątpiewać w powyższe prognozy: ludzie Zachodu zawsze rozwiązują polityczne zagadki Sowietów tak, jakby oni, a nie Kreml, mieli decydować o problemach. A *sowiewska toczka zrenia*, sowiecko-rosyjska mentalność podpowiada inne, także szokujące rozstrzygnięcia.

Podobno tylko jeden zachodni komentator „przepowiedział” inwazję Czechosłowacji — Wiktor Zorza. Gdyby był Anglikiem — nigdy by mu to nie przyszło do głowy. Gdyby mieszkał w Polsce — nie czułby się jedynym dysponentem „tajemnicy”. *Nemo propheta acceptus est in patria sua...*

Daleko zabrnęliśmy w rozważaniach odległych od naszych skromnych spraw. Powróćmy więc do nich, ażeby — obok „emigracyjnego” i „reżymowego” wariantu *polskiego interesu* nazwać wariant trzeci — „opozycyjny”. Zasadza się on na przekonaniu, że żaden cudowny piorun nie otworzy Polski wolnej i że jej wolność zależy wyłącznie od własnego Polaków starania.

Okres — do wybuchu jawnego konfliktu militarnego między Sowietami a Chińską Republiką Ludową, nie zbyt długi okres — powinien być wykorzystany dla rozbudzenia w naszym społeczeństwie ducha oporu. Na przygotowanie ruchu, który dostatecznie okrzepłby na czas kolejnej rozbójniczej wyprawy sowieckiej, który wykorzystałby nieuniknione trudności nadzorców kremlofskich, związane z prowadzeniem rozległej i ryzykownej gry — dla przeprowadzenia zmian upragnionych przez cały naród.

Innymi słowy: zamiar zniewolenia Chin tworzy dla krajów zniewolonych w Europie nowe szanse. Szanse, jakich dotychczas — w okresie koncentrowania całej uwagi Kremla i wszystkich jego sił na kontynencie europejskim — nie było. Świadomość zasadniczej zmiany sytuacji powinna stać się bodźcem do działania.

Wkraczymy, przepraszam, Kreml nas wprowadza, w okres sprawdzania wizji Orwella. Albo stanie się ona do 1984 roku

nieuchronną rzeczywistością, co najmniej w odniesieniu do obszaru sowieckiego władztwa. Albo ZSRR nie dotrwa do 1984 roku.

Wyniknie to wbrew korekcie Amalrika (opieram się jedynie na zreferowaniu jego tez przez „Wolną Europę”) — nie w efekcie zduszenia przez gnuśną i indolentną biurokrację. Stanie się tak dlatego, że biurokracja ta widzi jedyną szansę ocalenia imperium i własnej pomyślności w odnowieniu „sowiecko-patriotycznych” wartości, które przetrwały jeszcze w milionach starzejących się uczestników ostatniej wojny.

Sowiecki Kreml nie będzie odkrywca wartości awantury wojennej dla sanowania groźnych stosunków w metropolii i imperium. W pierwszych latach naszego wieku niejaki Plehwe (Wiaczesław — ale w odróżnieniu od Wiaczesława Mołotowa — minister spraw wewnętrznych rosyjskiego imperium) był głównym organizatorem wyprawy przeciw Japonii. Widział w niej ratunek dla rozsadanego biurokratyczną niemożnością i powszechnym niezadowolaniem dziedzictwa Romanowych. Miała to być — według jego słów — „mała, zwycięska wojna”.

Siedemdziesiąt lat później sukcesorzy znaleźli się w podobnej sytuacji społeczno-gospodarczej i podobnych mają się rozwiązań.

Interes Polski nakazuje wykorzystanie analogii historycznych.



„Nikt na całym świecie nie chce Polski”.

Michał Sokolnicki

Nie kładę daty tego listu. Nie wiem kiedy i czy w ogóle go skończę. Ze względów merytorycznych, i niejako moralnych, zobowiązany jestem podać Panu datę jego rozpoczęcia, określić bezpośredni bodziec, który skłonił mnie do chwycenia za pióro. A więc — połowa sierpnia 1970 r., po wysłuchaniu w „Wolnej Europie” rezolucji Pana Korbońskiego.

Kongres Polonii Amerykańskiej pierwszy podniósł głos ostrzeżenia przed zamiarami wykrwawienia młodzieży polskiej w wojnie sowieckiego imperializmu. Jest to akt dużej dojrzałości politycznej i prawidłowej oceny sytuacji, jaka czeka Polskę w przyszłości bynajmniej nie dalekiej. Jeżeli tak rozumują — pomyślałem, jeżeli nie zapominają o kraju, który na nadmiar wdzięczności nie zasługuje, jeżeli mają szerokie możliwości działania na rzecz tego kraju i szukania dlań miejsca na świecie (czego my tu nie możemy) — trzeba dać odzew. I — mimo wszystkie zastrzeżenia — trzeba zaproponować dyskusję.

Dlatego piszę do Pana, Niewiadomego i Niewidzianego.

Proszę wykluczyć dążenie do konfrontacji. Ten trudny list ma właśnie przeciwnie intencje. Traktuję go jako pomost rzucony między skłóconymi, bez próby dochodzenia niedzisiejszych racji, ale z myślą o jutrzejszej współpracy. I to współpracy *koniecznej*, jeśli obie strony chcą rzeczywiście coś zdziałać dla kraju.

Obok uchwały o niebezpieczeństwie wojny z Chinami, Kongres uchwalił także apel do prezydenta Nixona, by kontraprobował nienaruszalność granicy na Odrze i Nysie. Zamysł ten wpływał — jak stwierdzono — z faktu, że znany z przewrotności Kreml w niekończących się rozgrywkach z Polską i jej społeczeństwem, chętnie przywdziewa szaty *jedyne*go poplecznika interesów terytorialnych Polski. Taki akt amerykański — miałby, zdaniem promotorów politycznych Kongresu, wpłynąć na pozytywną zmianę nastrojów w kraju i wyzwolić jakąś część społeczeństwa od naiwnej prosowieckości.

Z czterech względów uważam tę uchwałę za chybioną.

Dlatego, że prezydenta Stanów Zjednoczonych stawia wobec dylematu nie do rozwiązania w obecnej sytuacji. Gdyby akcja Kongresu nie miała charakteru demonstracji — odpowiedni akt Białego Domu byłby może osiągalny. Pozostałby bez większego znaczenia dla sprawy polskiej, czy dla nastrojów w kraju i mało kto zwróciłby nań uwagę. Dziś, po zapadnięciu uchwały Kongresu, nie wierzę, by prezydent USA — człowiek odpowiedzialny za problemy światowe, zechciał sypać polski piasek w tryby z trudem uruchomionego mechanizmu odprężenia na linii Moskwa-Waszyngton.

W formie postawienia problemu kryje się również domniemanie (czy bodaj pewność), że nastroje w kraju uległy głębokiemu przeobrażeniu. Że szantaż sowiecki, związany z nowym, powojennym ustaleniem granicy zachodniej kraju, jest czynnikiem stabilizującym nastroje społeczne. Bardzo to rozsądne brać pod uwagę zmiany świadomości społecznej Polaków. Wszakże od czasu, gdy mecenas Korboński z rozterką przeglądał informacje powiatowych instancji PSL o fluktuacjach ludności polskiej na Ziemiach Zachodnich — Odrą i Nysą spłynął już ocean. Chociażby rewizjonizm w odniesieniu do naszej granicy błąkał się po różnych kancelariach stanu Moskwy i Berlina, to każdy Polak bez względu na wiek, sytuację społeczną i poziom wiedzy — możliwość ich przesunięcia traktuje dziś jako dowcip. Nawet ZBOWiD, TRZZ, ORMO itp. agendy policyjno-propagandowe musiały już poniechać granicznego straszaka jako nieskutecznego. Czyli nawet nixonowska proklamacja — w niczym nie zmieniałyby nastawienia społeczeństwa.

Trzeci błąd ma zasadniczy charakter.

Uchwała sugeruje orientację proamerykańską w sprawie naszego kraju. Sam Kongres Polonii Amerykańskiej ma, i mieć musi, taką orientację. Jest to dla wszystkich zrozumiałe. Ale tam, gdzie w grę wchodzi interesy „krajów pochodzenia” — szczególnie naszego kraju i Czechosłowacji — ta proamerykańskość ludzi o podwójnej przynależności narodowej staje się problematyczna. Dla Polaków w kraju, dla świadomych Polaków w kraju — wręcz rażąca.

Nad tragiczną w skutkach biernością naszego narodu nie tyle ciąży groźba kazamatów bezpieki czy garnizonów „sojuszniczych”, czy szantaży granicznych, czy nawet fakt zależności gospodarczej i politycznej od sąsiada — który nigdy nie cieszył się ani sympatią ani zaufaniem. Dziesiątki lat deprawacji — już od ławy szkolnej, cyniczna nauka serwilizmu w masowej skali, nonsens biurokratycznej niemożności paraliżującej wszystkich i wszystko — są istotnie klęskami groźniejszymi w skutkach od przysłowiowych siedmiu plag egipskich. Ale i im zaradzić można — jak zresztą tego dowiodło czeskie doświadczenie.

Stos pacierzowy narodu przetrząciło sprzeniewierzenie tradycyjnie szanowanych sojuszników wojennych. Stało się to wówczas, kiedy pan Korboński był jeszcze w kraju, kiedy naród-kombatant nie rozumiał jeszcze istoty sprawy, kiedy jałtański cyrograf uważano za wybieg taktyczny i kiedy — już po rejteradzie Mikołajczyka — z dnia na dzień czekano wybuchu zbrojnego konfliktu. Im jednak bardziej naród-kombatant żył myślą o wyzwoleniu, im bardziej wierzył w tylekroć składane przyrzeczenia, im bardziej naiwnie brał jałtański cyrograf za wybieg taktyczny Aliantów, im wierniej i niecierpliwiej czekał na zbrojne przywrócenie Polsce niepodległości i bodaj jakiej-takiej wolności jej obywatelom — tym bardziej pograżył się w piekle niewiary, nihilizmu politycznego, goryczy, wstydu, zawodu.

Niechże się więc Pan nie dziwi, że w polskich gazetach i na listach polskich reżymowych organizacji, w partii marksistowskiego pozoru i w policyjno-dygnitarskich fotelach odnajdujecie starych znajomych o dziwnych rodowodach politycznych, którzy — jak dramatycznie nazywa się to wśród Emigracji — „zaprzędali się komunistom”. Wielu z nich „zaprzedało się” nie ze słabości, potrzeby splendoru i zysków. Była to swoista ekspiacja za głupotę, za ślepotę polityczną własną i ich politycznych przywódców okresu wojny i powojennych. I chociażby na Zachodzie zużyto na deklaracje, proklamacje, uchwały, protesty, memoriały itp. cysterny tuszu, w pamięci polskiej nie zamażą one faktu pozostawienia Polski „na lodzie”, po pięcioleciu diabło ucziwej walki — po-

zornie w naszym — a w gruncie rzeczy wcale nie w naszym narodowym interesie.

To nie mój pogląd. To obiektywna relacja o społecznym stereotypie. Łatwiej dogadać się Kołakowskiemu z Brzezińskim czy Kotarbińskiemu z Aronem, niż Parandowskiemu z Montherlant'em bądź Wyszyńskiemu z Cushing'iem. Ci, którzy nie wypatrywali białych gwiazd Air Forces nad polskim niebem, choć krytykują sowiecki komunizm nie mniej niż ich ideowi oponenti z okresu wojny, potrafią dziś zdobyć się na większej próby obiektywizm wobec Zachodu i jego prominentów.

A więc demonstrowanie przez Emigrację zaufania do władz amerykańskich w sprawach kraju, tu przynosi skutki ujemne. Trzeba by wiele, i rzeczywiście poważnych, aktów z tamtej strony, żeby polskiej sympatii i podziwowi dla Ameryki zaczęło towarzyszyć zaufanie polityczne. W obecnej sytuacji i przy obecnym kursie politycznym USA nic nie zapowiada możliwości reorientacji z tamtej strony Atlantyku. Dlatego rozsądniej czasem milczeć, niż — jak w tym wypadku — szarżować. Bo nasz, tutejszy komentarz do deklaracji Nixona mógłby być tylko jeden: pozbawili nas wolności a po 26 latach potwierdzają zachodnią granicę tej niewoli...

Powtarzam, to nie mój pogląd. To stereotyp społeczny: nieufność wobec Zachodu, poczucie wykiwania, poczucie wielkiej krzywdy przy jednoczesnym kulcie Zachodu, kulcie ludzi nieszczęśliwych. Wydaje się, że tego subtelnego rozróżnienia nie rozumie Emigracja.

W tymże radio „Wolna Europa” opowiadał ktoś cyniczny o jakiejś sekcji wyspiarzy z Pacyfiku, grupie stanowiącej „dno” miejscowego społeczeństwa, która utrzymała w sobie przekonanie, że szczęście wolności, obfitości itp. jego postaci osiągnie tylko pod władzą cesarza Abisynii; wszyscy nieszczęśliwcy żyjący życiem zbiorowym stawiają mistyczne ołtarze najbardziej nieoczekiwanym bóstwom.

Haile Selassie jest władcą niewielkiego państwa, ale to człowiek wielkiej miary. Nie wahał się w trosce o obojętnych mu przecież wyspiarzy objawić się im w naturalnej postaci i rozwiązać im. Mocarstwa zachodnie miały wielu wybitnych mężów stanu, decydujących jeżeli nie o losach świata to przynajmniej o sytości Europy i USA. Żadnego nie stać było na to, by dziesiątkom milionów ludzi na wschód od Łaby odebrać irracjonalne nadzieje. Nie wyłączam z tej liczby i samego Nixona, który przed kilkunastu laty uznał za celowy operetkowy popis „ulicznej demokracji” w Warszawie.

Zastarzały polski stereotyp zachodniej szczęśliwości ma swoje

realne podłoże. W warunkach konfrontacji z równie zastarzałą polską biedą, tamta strona kurtyny — dziś już nie żelaznej ale jednak nieprzekraczalnej według swobodnej woli — wydaje się rajem powszechnym. Owe zjawisko społeczno-psychologiczne — nazwijmy je „iluzją Zachodu” — najbardziej korzystne jest dla władzy warszawskiej a zarazem niezwykle szkodliwe dla losów narodowych. „Iluzja Zachodu” rozgrzesza *a priori* wszelką bezczynność społeczną. Usprawiedliwia bierne oczekiwanie na coś, co — niby Mesjasz — objawić się ma od Zachodu i automatycznie zlikwidować wszelkie mankamenty i niedostatki. Gdyby mit Zachodu nie utrzymywał społeczeństwa w stanie oczekiwania i nieokreślonych nadziei — musiałyby ono szukać rozwiązań we własnym zakresie. Trzeba śmierci Boga, żeby Człowiek poczuł się odpowiedzialny za swoje życie i otaczający go świat. Bóg czy fetysz, mit czy złudzenie nie sprzyjają wyzwaniu energii dla świadomego i celowego kształtowania własnych losów.

Trudno mi uwierzyć, by w sztabach planowania politycznego na Zachodzie nie zdawano sobie sprawy z negatywnych skutków mitu o wolnościowo-twórczej misji Zachodu, o mniemanej „automatycznej szczęśliwości” po przejściu z orbity „Sputników” w orbitę „Exploratorów”. Te pozory, tragiczne w skutkach dla Polaków są korzystne dla polityków. Z lekkim sercem przyczyniają się zachodni politycy do przedłużania ich żywotności. Menadżerzy Wielkiej Polityki nie mają nic do powiedzenia poza słowami otuchy i nieokreślonej nadziei dla ludów „nękanych przez komunizm”. A i te słowa są jedynie dymną zasłoną ich czynów i intencji.

Wszyscy jesteście naznaczeni piętnem stereotypu. Przyczynia się do tego wychowanie domowe, szkolne, uniwersyteckie, a potem niechęć do rewidowania przejętych, przyswojonych czy ustalonych poglądów. Szczególnie dotyczy to spraw wykraczających poza naszą zawodową czy osobistą codzienność. Dlatego o świecie współczesnym myślimy kategoriami dnia przedwczorajszego, dlatego coraz bardziej rośnie dystans między specami od polityki a nami wszystkimi. Nasze wyobrażenia należą do lamusa historii.

Ani obejrzelśmy się jak upadły gospodarcze motywy zainteresowania zachodnich kapitalistów Polską. Do końca lat pięćdziesiątych mieścił się jeszcze na tamtym rynku polski węgiel, a jego cena wyrażała rzeczywiste zapotrzebowania. Od tamtego czasu tylko nieodpowiedzialni biurokraci węglowi z polskiej „katangi” zabawiają się prognozami „renesansu” węgla, nie biorąc pod uwagę walorów ekonomicznych i technicznych nafty oraz materiałów rozszczepialnych.

Do połowy lat sześćdziesiątych Zachodowi smakowały — jak

zapewniali polscy handlowcy — „produkty o niepowtarzalnym smaku”: jaja, bekony, szynki, drób, mięso, masło. I ten rozdział należy do minionej przeszłości. Wcale nie ze względów na „spisek imperialistyczny”, ograniczający zakupy zewnętrzne „szóstki”, ale ze względu na „klęski urodzaju”, spowodowane nową polityką rolą Zachodniej Europy. Nawet w roli rolniczego *Hinterlandu* nie ma dziś Polska dla Zachodu znaczenia. Chyba tylko jako nabywca zboża — jak Pan wie — po cenach niższych od rzeczywistych kosztów produkcji.

Był czas, gdy na polskiego górnika dybali Francuzi, i Belgo- wie; na chłopą — Brazylijczycy, Kanadyjczycy, Australijczycy; na robotnika — Niemcy — cesarskie, prezydenckie, kanclersko-führerskie, nawet zachodnie.

Niechże Pan sobie wyobrazi, że oto pęka cudownie („...otwórz jak piorunem...”) łańcuch krępujący Polskę i — skromnie licząc — dwumilionowa nadwyżka nie znajdująca zajęcia w kraju, wylewa się z okrzykami radości do Europy Zachodniej. Nie wiem czy nawet Pan — mimo głębokiej serdeczności dla rodaków — podałyby wówczas pomocną dłoń któremukolwiek z nich, zatrudnił w swoim biurze czy bodaj — „jako ogrodnika i stangreta” — w swojej *week-end*’owej siedzibie, zwalniając jednocześnie dotychczasowych pracowników.

Przepraszam za tę niezbyt *fair* supozycję. Rzecz przecież nie dotyczy Pana lecz rządów zachodnich. Zgódźmy się więc, że groźba „inwazji głodomorów” przesładuje je chyba w dwójnasób ostatnimi czasy. W okresie huśtawki giełdowej, stagnacji inwestycyjnej, rosnących stóp dyskontowych, awantur studenckich, rozgrywek ze związkami zawodowymi i podobnych przyjemności, które absorbują je niemal bez reszty. Dlatego też niejednen europejski szef rządu i jego amerykańscy koledzy z pewną przewrotną satysfakcją wspominają skuteczność radzieckich rygli. Prawdziwy ich stosunek do najpoważniejszej dla nas obu sprawy jest właśnie identyczny z tym, który wpisałem jako motto.

Niechże mi wolno będzie przypomnieć, że słowa te pochodzą z 1914 roku, że autor — Michał Sokolnicki — był działaczem socjalistycznym, że zajmował się nie tylko zawodowo dyplomacją ale także naukami historycznymi, że, wreszcie, chociaż pozostał na emigracji — nawet nasi paszkwilanci z rodzimego Białego Domu nie śmieli psów na nim wieszać.

„Nikt na całym świecie Polski nie chce”... Nasze społeczeństwo temu nie wierzy bowiem przeszkadzają mu gesty i uśmiechy z dalekiego, niewidzialnego, wymarzonego Zachodu.

Emigracja nie śmie o tym nie wiedzieć. Tym bardziej, że wszystko co myślało pozalewicowymi kategoriami politycznymi

oraz wcale reprezentatywne grono lewicowców znalazło się w jej szeregach. Jeżeli Emigracja poważnie się liczy z interesem Polski nie ma prawa „ku pokrzepieniu serc” umacniać żywotności szkodliwych mitów.

Stąd właśnie żal do mecenasa Korbońskiego — jako promotora kongresowej uchwały — za nieogłędne ich przedłużanie.



*„... i była wszystka wasza rzecz spóźniona
Wśród was błądziły jako cień zapłody —
I próżno budził się czasem duch młody
Wszystko pożarła ta przeszłość, co kona”.*

Antoni Lange

Wreszcie czwarty, kategoryczny sprzeciw wobec „granicznej” uchwały Kongresu Polonii Amerykańskiej. Pretensja o to, czego w niej nie ma. Nie ma ani słowa o gwarancji pozostałych granic.

Godzę nie w delegatów z Detroit czy Chicago, kierujących się w nieznanym im kwestiach polityki międzynarodowej wskazówkami wybranych przywódców, ale właśnie w sztab polityczny, który za formalną uchwałą ukrywa własne „niegdysiejsze” zapłody.

Wszystkie źródła wskazują, że Polonia Amerykańska wywodzi się w ogromnej większości z ziem Polski centralnej i wychodźcy z Kresów stanowią jej nieznaczny odsetek. Tylko bardzo naiwny obserwator mógłby domyślać się istnienia zastarzałych resentymentów do ojcowizny, uniemożliwiających Polonii Amerykańskiej zadeklarowanie pozytywnego stosunku także do polskich granic na północy, wschodzie i południu. Jest to więc jedynie przejaw gry mecenasów Korbońskiego i jego kontrahentów.

Do czego ta gra prowadzi? Do czego nawiązuje? Co ma w perspektywie?

Założmy nawet cudowną rzeczy odmianę i pełną niemoc wschodniego sąsiada. Trzeba by w Ameryce czy innych „krajach osiedlenia” (leksykon „Wolnej Europy”) zwerbować korpus ochotniczy, coś na kształt „hallerczyków” sprzed pół wieku, żeby w ogóle było komu kopie kruszyć o Lwów, Wilno, Grodno, Stanisławów, Tarnopol, Kamieniec, Zbaraż itp. Gdybyśmy mogli w kraju przeprowadzić ankietę na temat ewentualnego powrotu na stare śmiecie — jej wyniki okazałyby się szokujące. Dziesięciokrotnie więcej naliczyłby Pan potencjalnych „repatriantów” wśród Niemców z NRF niż wśród Polaków — kandydatów do powrotu na

rubieże wschodnie, choć podobieństwo warunków psychicznych towarzyszących obu exodusom jest oczywiste.

Dla masy naszych repatriatów z Kresów to tragiczne przed laty przemieszczenie okazało się ostatecznie znacznie pomyślniejsze w skutkach, niż wysiedlenie Niemców z Polski — Prus, Śląska, Sudetów itd. Tamci rachują w myślach utraconą własność i spekulują niemożliwym do odzyskania kapitałem, podczas gdy te problemy prawie nie istnieją w Polsce naszych dni. Również rekompensata poniesionych strat okazała się znacznie poważniejsza, niż początkowo — w gorączce niepewności i niepokoju — powszechnie przypuszczano. Dlatego nie będzie już drugiego wyzwolenia Wilna przez nowego Żeligowskiego.

Cóż „żubrom” po tych pożał się Boże folwarkach? Cóż polskim kmiotkom z Podola po tych „samorodzących” czarnoziemach? Jeżeliby nawet rzecz iść miała w kierunku restytucji kapitalistycznego porządku każdy przekalkulowałby wcześniej własną stawkę i wycofał się z gry. Pan Kruszelnicki opowiada o australijskiej ziemi za darmo. Pan Lasota dowodzi jak to na gospodarce poniżej 20 hektarów w ogóle nie ma czego szukać we współczesnej Francji. A każdy polski dziadek i sędziwy ojciec własnym życiem zaświadcza, że w rolnictwie majątku zrobić nie można.

Powie Pan — pietyzm historyczny: Rossa, Cmentarz Orłąt, Ostra Brama... We współczesnym świecie na spotkanie takim potrzebom wychodzą rzetelne stosunki między sąsiedzkimi państwami. Niechby dano nieskrępowany wjazd, by dowoli wyogłądać owo utracone — a wygasłyby ostatnie, najbardziej zapiekłe kompleksy i gorycze. Bo, proszę Pana, terytorialne rozrachunki wyszły za naszego życia z mody. Liczą się jeszcze u ludów zacofanych. Jedynym państwem europejskim, które w ostatnim 30-leciu powiększyło swoje terytorium i nadal do tego dąży jest Związek Radziecki.

Polska leży jednak na Zachód od ZSRR.

Być może i dla Pana Polska konkretyzuje się w obrazie Lwowa czy Nowogródka. Powrót w utraconą krainę dzieciństwa, młodości, pierwszej miłości, rodzinnego grobowca — zwalnia od oziębłości kalkulacji politycznej. Uczucia nie poddają się bowiem rozumowi. Proszę jednak pamiętać, że nawet wywołując minione obrazy wciąż dyskutujemy realną przyszłość. Ze właśnie przyszłości list ten poświęcam.

W przyszłości nie ma miejsca na afirmację wschodniej polityki naszych przodków. Nie ma, bowiem w drugiej połowie XX wieku każdy jej przejaw, każde wywołanie jej ducha pod jakąkolwiek postacią, przynosić musi nam — Polakom i Polsce — same szkody. Łącząc się tedy z Panem w nostalgii za utraconą ojcowizną

— sędzę — że uzna Pan jednak polityczne a nie emocjonalne racje.

Głównym jest:

- by „nie wariować” nadal mitami i fobiami z innej epoki społeczeństwa, tyleż nieszczęsne co skutecznie oduczonego od finezji politycznych, a więc podatnego na każdą zasłyszaną z oddali tendencję;
- by politycznym graczom, szukającym odskoczni do kariery dzięki rewanżystowskim „*Heimatsinn*” nie dawać argumentów, że Polacy chcieliby „i to i tamto”, choć mają znacznie więcej miejsca np. od Niemców (NRD — 160, NRF — 230, Polska — 102 mieszkańców na 1 km² powierzchni);
- by zachodnim obserwatorom nie przypominać nieszczęsnego okresu wielonarodowościowego państwa polskiego, które zyskało wątpliwą popularność przed ostatnią wojną i wszystkimi jej poprzedniczkami od czasów „Ogniem i mieczem” poczynając;
- a przede wszystkim dlatego, by zasypać przepaść między nami a otaczającymi nas narodami.

Daremne byłoby wdawanie się w medytacje na temat „wierności i zdrady”, „uczciwości i warcholstwa”, „dobrych intencji i przewrotności losów”, „dziejowej misji kulturowej i tępogłowej prywaty”, pacyfikacji i równoprawności w obliczu wspólnego wroga. Dość, że pobiliśmy prawdopodobnie wszystkie rekordy nieumiejętności współżycia z sąsiadami. Że między przywiezieniem do Warszawy Szujskiego jako zakładnika (grób jakoś jeszcze ocalał — aż dziw, że Sowieci nie wpadli na pomysł jego pośmiertnego powrotu do Moskwy...) a „Wodzu, prowadź nas na Litwę”, czy zaolziańskim „manewrem”, zdobyliśmy championat moralnego osamotnienia wśród najpewniejszych, bo najbliższych, potencjalnych sojuszników.

Daleki jestem od przysłowiowego wtykania marksistowskiego palca w „jaśniepańskie” oko. Warszawscy sowietoidzi od 26 lat wciąż naśladują chywyty wszystkich poprzednich „panujących klas”. „Akcja W”, gnębienie „wątpliwych” Polaków (czyli Ślązaków, Mazurów, Warmiaków), traktowanie niemieckich przesiedleńców, odmawianie prawa do normalnego życia kilkuset tysiącom Niemców, których ani wypuszczono do ich kraju ani nie uznano za pełnoprawnych obywateli przez 20 lat z okładem, głośna antysemicka nagonka, ciche hołubienie antyrosyjskich nastrojów, najazd na Czechosłowację — to symptomatyczne rozdziały dopisane do starych dokonań.

W poprzednich władzach brakło klasowej reprezentacji robotników. Przed wojną — my, lewicowcy, mogliśmy robić ze wspo-

mnianego palca użytek propagandowy. Dziś „robotnicza władza” znalazła się w jednym szeregu z chłopskim „Piastem”, obszarniczą narodową demokracją, lumpenmieszczańskim ONRem, magnacką Targowicą.

Jedną z najbardziej rażących ułomności systemu biurokratycznego, zwanego przewrotnie socjalistycznym, jest bezradność wobec antagonizmów narodowych. Zasięki i zaorane pola na wszystkich odcinkach lądowych granic PRL są najbardziej symptomatyczne — jeśli uwzględnić, że nie sąsiadujemy z „kapitalistami”. Totalizm strzeże także swego monopolu na przyjaźń międzynarodową, zinstytucjonalizował ją i odczłowieczył. Nie zdobył się przy tym na zrewidowanie w Polsce żadnych przekazów przeszłości, poza kreowaniem „nowej linii”, według której mityczne siły reakcyjne gnębiły białoruskich i ukraińskich chłopów, by zdobywać pieniądze na hulanki i swawole. W PRL nie wyjaśnia się tragicznego splotu konfliktów na Kresach, nie ułatwia rewizji stereotypów przywiezionych z tych odległych już ziem. Jakby polityka kresowa tylko i wyłącznie dotyczyła latyfundystów, nie prostych ludzi, od wieków żyjących nad Bugiem, Dźwiną, Dniestrem, Niemnem, Wilejką — rzekami szemrzącymi dla nich po polsku.

Imperializm zawsze posługiwał się ksenofobią jako jednym z podstawowych instrumentów panowania. Kremłowi narzędzie to jest tym bardziej pomocne, im głębsze przeżywa trudności. Wiadomo: *divide et impera!* Trudno jednak zrozumieć, dlaczego — obserwując od dawna taki stan rzeczy — nasza Emigracja, dla podkreślenia nowych wyobrażeń politycznych, nie proklamowała wyraźnie rozbratu z marzeniami o hegemonii nad sąsiadami, z przeszłością — w tym wypadku — ani górną ani chlubną. Dlaczego takim aktem nie zdystansowała się wobec reżymu warszawskiego, rzecznika skrajnego szowinizmu.

Czesi, Słowacy, Estończycy, Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Węgrzy — znajdują się w podobnej do Polaków sytuacji narodowo-politycznej. I z tym większym respektem należy traktować ich aspiracje, w im trudniejszych okolicznościach dziejowych następowało ich samookreślenie. W dawno minionych latach istniały między nimi a nami rozbieżności interesów narodowych, ciążyła — oparta na doświadczeniach — obawa polskiej dominacji. Obecnie rozbieżności takie należą do przeszłości. Niebezpieczeństwo prób polskiej dominacji jest w gruncie rzeczy wykluczone. Sprawą Polaków byłoby przekonanie sąsiadów, że nie myślimy o wskrzeszaniu duchów przeszłości.

Pozostajemy w jednakowo duszącej zależności od Kremla. Łączy nas pragnienie pozbycia się tej degradującej moralnie i materialnie niewoli czy kurateli. Nasze nieskoordynowane wybuchy

sprzeciwu pozostawiają jedynie ślady kul na fasadach Budapesztu, obcojęzyczne garnizony nad Wagiem i Wełtawą, zgłiszcza archiwów narodowych nad Dnieprem czy, pożałuj Boże, „zwycięski” kult zmumifikowanego rolnictwa chłopskiego między Bałtykiem a Tatrami. Każdy odrębny poryw kończy się fiaskiem. Kreml nauczył się nie tylko „lokalizować” niebezpieczne dla siebie konflikty przy pomocy swoich agentów i w drodze jawnych akcji pacyfikacyjnych. Waży się już nawet używać niewolniczych zastępów jednych państw do zagradzania innym drogi do wolności. Po czechosłowackim epizodzie, tylko ślepcy mogą ogrywać zdarte płyty sąsiedzkich konfliktów a nie prowadzić do pogłębienia ogólnych związków międzynarodowych, z których mogłaby się zrodzić wolność dla wszystkich zainteresowanych. Mam głównie na myśli tych, których nie ograniczają policyjne kordony, którzy w pełni korzystają z prawa głosu i... rezolucji.

Polakom przypada decydująca rola inicjacji. Nie nasi sąsiedzi zapisali historię ostatnich trzech wieków podbojami i ciemiężeniem. Nie oni zgłaszają dziś pretensje graniczne w interesującym nas rejonie Europy. Polska racja stanu nakazuje wyraźnie, jednoznacznie wyrzeczenie się tego, co z ziem dawnych znalazło się poza naszymi jałtańskimi granicami. Jest to naczelny imperatyw polityczny, o którym — przemawiający po polsku i niejako w polskim imieniu — Kongres Polonii Amerykańskiej powinien pamiętać. Jeżeli jego polityczni promotorzy zapomnieli o tym w ferworze zajęć zjazdowych, powinni błąd szybko naprawić.

Dlaczego tak znaczną wagę nadają stosunkom z sąsiadami?

Tylko dwa współczesne państwa europejskie prowadziły w ostatnim stuleciu politykę permanentnych konfliktów ze wszystkimi sąsiadami. Obydwa były potęgami światowymi. Skala ich „interesów” wykraczała poza granice kiedykolwiek osiągnęte przez Polskę. Przyjrzyjmy się ich losom. Rosja, otoczona zewsząd wrogością, musiała upaść. Jej obecne wcielenie, mimo niedawnego ogromnego kredytu zaufania i sympatii odległych społeczeństw, znajduje się dziś w sytuacji budzącej uderzające analogie z Rosją początku naszego wieku.

Niemcy otrzymały dwukrotną lekcję międzynarodowego współżycia i taką dozę nienawiści, że Brandt proklamuje swą politykę m.in. pod hasłem zdjęcia infamii ciężającej na niewinnym, najmłodszym pokoleniu Niemców. Życ w otoczeniu nienawiści nie zdoła żadne społeczeństwo współczesne.

Nieodzowność dobrego sąsiedztwa stanie się jeszcze oczywistsza po uświadomieniu sobie, że uwaga Michała Sokolnickiego z 1914 roku, dziś w równej mierze odnosi się do Polski jak i pozostałych narodów zniewolonych przez ZSRR. Nikt nie chce

Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy, Węgier, Czechosłowacji itd. — jako rzeczywiście niezależnych partnerów. Zachód nie ma żadnej koncepcji włączenia tych krajów w orbitę wielkiej społeczności międzynarodowej. Przewiduje raczej mnóstwo kłopotów z wywołanymi od Kremla dziesiątkami milionów Wschodnio-Europejczyków. W gruncie rzeczy woli mieć do czynienia z jednym poważnym partnerem moskiewskim. W opinii politycznej Zachodu Bałkany tak fatalną obrosły legendą, że niebezpieczeństwo reinkarnacji tego fenomenu w bardziej północnym regionie Europy zniechęci nawet najżyczliwszych do udzielenia poparcia. Syci zawsze pragną spokoju a nie racji moralnych i historycznych. Każda zmiana polityczna w naszym regionie oznacza dla nich falę kłopotów i niepokoїв.

Z punktu widzenia wielkich mocarstw jednym z kluczowych problemów jest określenie granic bezpośredniego nadzorowania porządku w świecie. Oczywiście, taki „nadzór” sprawować mogą jedynie państwa posiadające rzeczywistą siłę.

W naszym zrozumieniu powojenne granice *pax americana* okazały się zbyt skromne. W przekonaniu amerykańskiej opinii publicznej, szczególnie amerykańskich podatników, są one nazbyt wielkie. Jeżeli, założmy, Bug byłby jałtańską Łabą — na jeszcze większe koszty, straty, wstrząsy i niepokoje byłyby narażony blok sytej cywilizacji przemysłowej. Roosevelt w Liwadii wcale nie musiał wierzyć w dobre intencje Wissarionowicza lecz był człowiekiem świadomym faktu, że zagrożeniem dla świata są społeczeństwa niedokarmione, a USA nie ma możliwości roztoczyć nad nimi wszystkimi kurateli. Dykteryjkowa łatwowierność Roosevelta czy mniemane zmęczenie Churchilla wydają się wygodną bajeczką dla opinii publicznej, maskującą nieprzyjemną prawdę o naturze stosunków światowych, o sensie Wielkiej Gry Politycznej, której istotą jest zabezpieczenie interesów ekonomicznych. Te zaś uległy znacznej metamorfozie w trakcie XX wieku.

Przedwzoram, w epoce imperializmu, „ostatniego stadium kapitalizmu”, najtęższe umysły i najsilniejsze miecze stawały do dyspozycji swoich krajów dla eksploatacji baz surowcowych i tworzenia nowych rynków zbytu.

W okresie Jałty strona amerykańska miała już wszystkie dane, żeby uznać „walkę o nowy podział świata” (według leninowskiego schematu) za przestarzałą. Powojenny przebieg drugiej rewolucji przemysłowej udowodnił słuszność przewidywań amerykańskich w skali światowej. Nastąpiła era rewizji tradycyjnych pojęć polityczno-gospodarczych. Czołówka kapitalistyczna nie tylko wyzbyła się kolonii i terenów zależnych — bez uszczerbku

dla własnych interesów, ale radaby nawet postawić tamę napływowi ex-kolonialnej produkcji, o którą zabiegała przez cały wiek, Chemia surowcowa i rolnicza, nowe doskonałe maszyny i urządzenia zepchnęły wartość surowców naturalnych i żywności produkowanej zacofanymi metodami na margines bilansów gospodarczych. Wywóz do dawniej zależnego a dziś formalnie niezależnego świata oraz do pozostałych krajów „drugiej i trzeciej gildii” jest nieznacznym i niewiele znaczącym odsetkiem wymiany towarowej między leaderami z „Szóstki”, „Siódemki”, USA, Japonii, Kanady, Nowej Zelandii i Australii. Stanowi śmiesznie małą wartość w porównaniu z potężnie rosnącą konsumpcją wewnętrzną tych krajów.

Wczoraj, jeszcze w niezbyt odległym wczoraj, metropolie przemysłowe wchłaniały setki tysięcy i miliony importowanej siły roboczej, głównie do pełnienia pomocniczych, lichy opłacanych czynności. Dziś przed nadmiarem ludzi, przede wszystkim ludzi nieuzbrojonych w umiejętności produkcyjne, bronią się także były metropolie kolonialne i kraje tradycyjnej imigracji.

Oto zdumiewające fakty z niedawnej przeszłości, które dobrze ilustrują zjawisko.

Po raz pierwszy chyba w historii brytyjskiej zakwestionowano praktycznie prawa obywatelskie byłych funkcjonariuszy imperialnej administracji Ich Królewskich Mości. W najbardziej drastycznym momencie kiedy niezależna Kenia wygoniła 50 tysięcy Hindusów za wierność koronie brytyjskiej, Izba Gmin uchwaliła ustawę, wykluczającą ich przyjazd na wyspę.

W okresie wielkiego głodu (bodaj w 1964 roku) kiedy Zachód odmówił Chinom sprzedaży zboża, władze pekińskie usunęły własne posterunki graniczne i „pomogły” przejść granicę z Hong-Kongiem około 100 tysiącom ludzi. Na Zachodzie podniosła się triumfalna wrzawa propagandowa. Ale po dwóch-trzech dniach nie Chińczycy tylko Brytyjczycy zablokowali granicę. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej znalazło się zboże, dostawcy, kontyngenty, zezwolenia itd. Czyż trzeba lepszego dowodu na to, że rządy zachodnie uznają za mniejsze zło istnienie „krwawych, totalitarnych, nieludzkich, okrutnych” (brakujące epitety proszę dowolnie uzupełnić) reżymów komunistycznych a także naruszanie własnych „świętych” zasad prawnych, niż przyjęcie do „wolnego świata” obcych nędzarzy. Skończył się bowiem nieodwołalnie okres zapotrzebowania na tanią, prymitywną siłę roboczą.

Reżymowi agitatorzy we Wschodniej Europie i ZSRR propagują bajeczkę o „imperialistycznym wywozie kapitałów”. Zapominają o rzeczywistych jego kierunkach. Zamiast szukania — jak

przed 50 laty, terenów o najtańszej sile roboczej, eksport kapitału obejmuje głównie przepływy w łonie wyliczonych 18 państw najwyższego dobrobytu. Żaden Harrimann ani Ford nie kwapi się z otwieraniem filii produkcyjnych w łaknących tego krajach socjalistycznie czy kapitalistycznie zacofanych. Zestawienia globalnych nakładów finansowych na „pomoc gospodarczą” uderzają skromnością asygnacji. Nawet w regionach, które mają poważne znaczenie dla central światowego bankierstwa. Proszę sobie przypomnieć sytuację Ameryki Łacińskiej, gdzie ferment społeczny, tym wyższy im gorsze w tych krajach panują warunki, stanowi dla Stanów Zjednoczonych bezpośrednie zagrożenie.

Zresztą, po co o tym wszystkim Panu przypominam? Prawdopodobnie sam Pan nie wierzy w dobroć Wuja Sama i jego angielskiego krewniaka. Prawdopodobnie z własnego doświadczenia i obserwacji wie Pan doskonale jak beznadziejne jest oczekiwanie bezinteresowności, szczególnie w kwestiach gospodarczych i politycznych. Wydaje się jednak konieczne zanotowanie szeregu uwag ilustrujących brak ochoty bogaczy do szastania groszem, nawet wówczas, gdy, naszym zdaniem, może on sownie obrodzić. Milczy na ten temat „Wolna Europa”, milczą chyba jej siostrzane redakcje w innych słowiańskich i południowo-europejskich językach — a w naszych narodach utrzymuje się święta naiwność i marzenia na ten temat. Chciałoby się — właśnie gwoli budzenia ducha sprzeciwu — usłyszeć o tym, jak rządy bogatych państw zachodnich faktycznie popierają portugalskich, greckich, hiszpańskich, południowo-amerykańskich zamordystów. Czyż więc, mimo wielkiej hecy propagandowej, skierowanej przeciwko „obrzydlivym dyktatorom”, nie można się dopatrzeć analogii w polityce Zachodu wobec tamtych krajów zacofanych i krajów wschodnio-europejskiego zacofania gospodarczego..?

Chciałoby się usłyszeć wreszcie prawdę o sytuacji Izraela, państwa wyjątkowego w dziejach ludzkości. Bowiem żadna inna społeczność nie otrzymała tak szerokiej pomocy gospodarczej, jak ta właśnie. Od znakomicie prosperujących w „wolnym świecie” współplemieńców. Od Niemców, tytułem wynagrodzenia strat narodowych i moralnych. Od Niemców tytułem odszkodowań dla żyjących ofiar hitleryzmu. Od USA z tytułu „strażniczej” misji, jaką Izrael pełni na Bliskim Wschodzie. Żadna bowiem inna społeczność w dziejach świata nie legitymowała się równie korzystnymi stosunkami kadrowymi. Nigdzie, poza Izraelem, inżynierowie, lekarze, chemicy itp. z pełnymi kwalifikacjami nie siedzieli po kibucach w charakterze parobków czy urzędników, nigdzie poziom ogólnego wykształcenia i kwalifikacji zawodowych całej populacji nie był nigdy tak wysoki jak w Izraelu. A przecież mimo

tych wszystkich (i zdaje się samych „plusów”) ze względu na ostry kryzys ekonomiczny opuściło Izrael około 300 tysięcy jego obywateli-Żydów. Gdyby nie sześciomiesięczna wojna i trzyletnie udawanie wojenki przed własnym społeczeństwem, ekonomiczna sytuacja Izraela pozostawałaby nadal fatalna...

Wszystkie te fakty prowadzą do jednego wniosku: „szczęśliwe” znalezienie się w sferze wpływów amerykańsko-zachodnich wcale jeszcze nie rozwiązuje prozaicznej kwestii chleba powszedniego. Skoro tego chleba ludzkość wciąż jeszcze nie potrafi sobie zapewnić do syta, bogaci przezornie ustanawiają kuratelę nad ludami, by bronić własnego kołacza. Czasami ta kuratela jest powierzana wrogowi. Podobnie, jak w Jafcie zdecydowali kontrahenci Josifa Wissarionowicza...

Przed pięćdziesięciu jeszcze laty, kształt ówczesnych interesów i ograniczoność środków militarnych, skłaniały zachodnich polityków i wojskowych do wiary w skuteczność chronienia się za pierścieniem „państw buforowych”. Patriotyzm Paderewskiego, talent Benesza, kabotyzm Venizelosa mogły święcić triumfy, bo ich aspiracje narodowe pokrywały się z „buforowo” pojmowanymi interesami wielkich mocarstw. W następnym ćwierćwieczu pękł mit państw buforowych, w ostatnim — mit nieosiągalnych celów strategicznych dla broni o zasięgu międzykontynentalnym. Rozeszły się więc drogi między aspirującymi po dawnemu do małego „własnego śmietnika” a architektami nowoczesnego świata. Jeżeli świadomości powyższego nie będą mieli przywódcy polityczni i duchowi narodów naszego regionu, los tych społeczności uznać wypadnie za przesądzony raz na zawsze, mimo przejściowych trudności sowieckiego stupajki.

Polakom i wszystkim innym narodom zniewolonym do serwitutów i hołdów wobec Kremla, trzeba pilnie uświadomić twarde nakazy ekonomiki i prawa, jakimi kieruje się Zachód. Trzeba zniweczyć mity o gotowości spełnienia przezeń jakiegokolwiek „wyzwalającej” a tym bardziej ekonomicznie „uszcześliwiającej” misji. Trzeba uświadomić, że — wbrew pozorom — z pełną premedytacją oddano nas w niewolę Sowietów, bo dla Zachodu była to najdogodniejsza alternatywa powojennego ładu europejskiego.

Nawet „demokratyczne” i pod kontrolą społeczną działające rządy zachodnie, potrzebują „czarnego luda” do straszenia własnych narodów i skłaniania go do rezygnacji z jakiejś części konsumpcji — w imię obrony przed niebezpieczeństwem, dla zapewnienia wysokiej dynamiki rozwojowej według tradycyjnych systemów. Rozwój naukowy i techniczny świata dokonuje się w war-

sztatach, laboratoriach, instytucjach pracujących na potrzeby wojny; wciąż jeszcze Zachód nie uwolnił się od tej spuścizny po poprzednich pokoleniach, choć tak bardzo zdystansował je na wszystkich odcinkach życia zbiorowego i indywidualnego. Rooseveltom i Churchillom potrzebny był więc strażnik wygłodzonej Euroazji i postrach dla własnych „mas”. W pewnej mierze z tych samych względów potrzebny jest Breżniew i Mao kolejnym władcom z Washingtonu, Londynu, Paryża, Bonn, Tokio czy Canberry.

Nie oznacza to wszakże, że w siódmej dekadzie stulecia, po wielu dramatycznych doświadczeniach lat minionych, w okresie rosnącej sprzeczności między sybarytyzmem „wielkich społeczeństw” Zachodu (nieuchronnie osłabiającym wolę przeciwstawienia się niebezpieczeństwu zewnętrznemu) a siłami agresji sowieckiego imperializmu — dzisiejsi władcy świata zachodniego przeciwstawiliby się wolnościowym tendencjom zniewolonych narodów europejskich. Altruizm? — nie, interes. Wspomniane tendencje potęgują groźbę sowiecką, choć paradoks chce, żeby w tej właśnie chwili ogólny potencjał militarny Zachodu był zdecydowanie wyższy od globalnych sił Wschodu.

Świadomość obecnej sytuacji nakazuje pilne szukanie politycznego, gospodarczego, społecznego *modus vivendi* dla naszych krajów. Wspólnego dla wszystkich a może nawet dla innych organizmów państwowych (Finlandia, Jugosławia, Austria). *Modus vivendi*, który zabezpieczyłby naszą wspólną egzystencję wbrew interesom sowieckim i mimo obojętności Zachodu. Chodzi przy tym o znalezienie formuły, która nie wykluczałaby żadnego racjonalnego manewru, która nie kopałaby nowej przepaści między nami a narodem rosyjskim czy boczyłaby się na Zachód za jego jałtańskie sprzeniewierzenie. Rzecz bowiem nie w psychicznym ekshibicjonizmie a w politycznej skuteczności. Arena międzynarodowa nie nadaje się do kompensacji kompleksów, do pustych gestów i żalonych „rozliczeń”. Tu należy szukać najkorzystniejszych rozwiązań, możliwych do przeprowadzenia tylko w porozumieniu z równie jak my doświadczonymi przez historię narodami.

„Graniczna” uchwała Kongresu Polonii Amerykańskiej nie dowodzi świadomości potrzeby tworzenia nowych stosunków między społecznościami Europy Wschodniej. Nie dowodzi zrozumienia obecnego *status quo* międzynarodowego i roli jaka w tych warunkach przypada Emigracjom Politycznym zainteresowanych narodów, wolnym od policyjnej inwigilacji, od niebezpieczeństw i trudności nawiązania pierwszych, bezpośrednich kontaktów ponad granicami.

Tu — w Warszawie, Kijowie, Pradze, Tallinie, Wilnie, Budapeszcie, Mińsku, Rydze, Bratysławie a również w Moskwie, w Belgradzie, w Bukareszcie.

I w Pekinie.



*„Niech nas rycerską salutują szpadą
Bośmy żołnierze byli — wiarą w jutro żywi”.*

Zdzisław Dębicki

Drogi Panie!

Uwagi na temat uchwał Kongresu Polonii Amerykańskiej wypadły wbrew zamierzeniom, może zbyt ostro.

Zastanawiałem się nad złagodzeniem krytyki. Zrezygnowałem. Zamazywanie sprawy nie prowadzi do niczego. Ludzi pokroju mecenas Korbońskiego trudno zaliczyć do nowicjuszy w politycznej profesji. Wylansowane przez nich akty uznać wypada za stanowisko zajęte po przemyśleniu, w pełni świadomości jego skutków. Niechże więc jednym z nich będzie ocena niewiadomego, krajowego oponenta, który dając wyraz sprzeciwowi szuka zarazem najcisłszego porozumienia i współpracy.

Z kim?

Długo wahałem się między mottem z Dębickiego a fragmentem z Tetmajera. Ten drugi brzmi:

*„... Gdy cię wychowam na utana
bez lęku i bez skazy:
nie będzie służba zmarnowana...”.*

O Polonii, szczególnie Zaoceanicznej, wiemy w kraju dość dużo. Jest to formacja przynależna do Polski przedwojennej i rozbiorowej. Wyobrażamy sobie jej strukturę, jej poglądy, jej trudności adaptacyjne i uczucia. Tragiczną gorycz wobec Ojczyzny-macochy, gdy przyszło żegnać rodzinne progi. Uczucie zagubienia wśród obcych, gdy przyszło stawiać nowy dom pod innymi gwiazdami. Heroiczne starania o umacnianie więzi narodowej, religijnej, więzi wspomnień i tradycji nie poddających się nowemu bytowaniu. Później nieuniknione wrastanie w miejscową strukturę, coraz liczniejsze neologizmy językowe, coraz prawdziwsze poczucie przynależności do dwóch ojczyzn — tej rodzimej i tej nowej, karmiącej do syta, choć wyciskającej siódmy pot z człowieka. Nie dziwią nas przekazy Górnickiego i Wańkowicza. Nie ma między nimi rozbieżności w konstatacji faktów. Jest różnica ocen, poglądów na dziś i prognoz na jutro.

Oba powyższe motta nie pasują do wielkiej Społeczności Polonijnej. Żywe wiarą i ułańskim czakiem, oczekujące uznania niezamarnowanej służby i rycerskiego salutu są inne pokłady polskiej Emigracji. Nawet w „Wolnej Europie” dyskretnie akcentuje się różnice między „Polonią” a „Emigracją”. Bez deprecjacyjnych tendencji wobec pierwszej, ale z wyraźną sympatią dla drugiej. Otóż o tej drugiej, o tej wojenno-powojennej wiem nie zbyt wiele. Może więc obydwie cytaty okażą się dalszym — choć mimowolnym — nietaktem...?

Zwróciłby mi Pan w tym miejscu uwagę, że „ta druga” zwie się Emigracją polityczną. Wiem o tym dzięki panu Nowakowi i jego współpracownikom. My wszakże zajmujemy się dyskusją polityczną a nie agitacją i dlatego unikam owego kamuflującego określenia dla ogółu nowej Emigracji. Więcej, uważam, że wobec nowych zadań ów wielosettyśeczny ogół winien zrezygnować z wątpliwego przywileju mianowania się emigracją polityczną.

Czy nie prawdziwiej i chwalebniej zaliczać się do Emigracji Patriotycznej? Dziesiątki przykładów z naszej historii świadczą, że patriotyczna emigracja z mniejszym od politycznej ryzykiem, z większą wygodą własną zapisała na swym rachunku dokonania godne podziwu i niekłamanego szacunku narodu i świata. Tym bardziej w czasach współczesnych, wyróżniających się odgraniczaniem pasji od polityki, uczuć od działania publicznego — wypadłoby także w Polsce Zagranicznej uporządkować podziały, zwolnić od politycznych frustracji tych, którzy Imieniu Polaka inaczej mogą przysporzyć splendoru. Emigracja Polityczna niechże będzie skromną częścią Patriotycznej, nie zawsze nawet jej przewodzącą ale za to rzeczywicie polityczną. To znaczy polityczną w kontekście Polski a nie Polonii, Polszczyzny, Polskości, Sarmacji, Biblioteki Mickiewiczowskiej, Fundacji Kościuszkowskiej, Beniowszczyzny, Litwy-Ojczyzny-Mojej, Fundacji Paderewskiego, Instytutu Piłsudskiego, Instytutu Sikorskiego i jakby się nie zważy z wielkich liter pisane Ojczyzny-Symbole.

Symbolami w polityce parają się propagandyści, i dobrze że się parają. Nim jednak oni stają w szranki, musi wpierw narodzić się myśl nieupiększona, konkretna, właśnie polityczna. Narodzić się i utrwalić w postaci *realnego programu działania*.

To wszystko też wypadło niezbyt precyzyjnie. Nie zamierzam bowiem konfrontować Polonii, Polskości itd. z Emigracją Polityczną. Przeciwnie, owa wielka całość powinna stanowić naturalne i bezpieczne dla niej zaplecze.

Powie Pan: tak właśnie jest. Nie, odpowiadam, tak właśnie nie jest.

Opieram się wprawdzie jedynie na dostępnym mi przekazie „Wolnej Europy” ale nie sądzę, by zwierciadło jej informacji deformowało rzeczywistość. Z przekazu tego wynika, że niemal każdy *homo politicus* Emigracji jest dziś działaczem na jakimś polu emigracyjnym. Wierzę, że sprawują powierzone im funkcje z talentem i pożytkiem dla Emigracji. Mam wątpliwość czy ich działalność służy krajowi.

Latem br. wysłuchałem w „Wolnej Europie” charakterystycznego programu. Były to fragmenty wystąpień i szerokie omówienie zjazdu Kobiet Polskich z angielskiej Emigracji „politycznej”. Komentator podkreślił wyjątkowość gremium, ponoć pierwszego w historii. W referacie programowym dostrzegłem ogromne liczenie się z realiami politycznymi i społeczno-psychologicznymi. Ale ogólny wydźwięk imprezy był następujący: jesteśmy i będziemy wierne ideałom, jakie zamknęły nam drogę do Polski. Wychowujemy młode pokolenie w kulcie dla wyznawanych przez nas wartości. Konstatujemy wyraźne zmiany w świadomości naszej zbiorowości, wyrażające się udemokratyzowaniem stosunków międzyludzkich, zatarciem ostrych podziałów warstwowych i klasowych. Ta metaformoza psycho-społeczna odpowiada ogólnym założeniom przekształcania demokratycznych społeczności w tzw. wielkie społeczeństwa, likwidacji czy ograniczeniu negatywnych skutków różnic majątkowych. Cieszymy się autorytetem, jaki zdobyliśmy u Anglików. Czyn zbrojny z okresu bitwy o Anglię wzbogaciłymi dokonaniai pokojowymi. Przewycięzyliśmy ogromne trudności adaptacyjne, braki materialne. Zbudowaliśmy podstawy naszej egzystencji w królestwie brytyjskim dzięki wyczerpanej pracy, hartowi ducha, spójności ideowej. Nasze potomstwo będzie kulturować tu, w Anglii, kulturę i język swoich przodków.

Znalazła się, oczywiście w wystąpieniach i patriotyczna dezaprobata dla władz warszawskich i wyrazy braterskiego współczucia-otuchy dla narodu cierpiącego w kraju.

Jak zakwalifikować ten zjazd: byłże to akt patriotyczny czy polityczny? Obiektem zainteresowania był Kraj czy Emigracja? Polska czy Polskość?

Szukam od dawna echa nie polityki emigracyjnej a *polityki ogólnonarodowej*, której głównym ośrodkiem zainteresowania byłaby Polska. Echa takiej polityki nie udało mi się do lipca br. chwycić na antenie mojej „Sonaty”.

Należę do ludzi najmniej mających prawo pouczać Emigrację. Nie przeżyłem Jej tragedii. Nie gruntuwałem Jej godnej postawy w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Niczym Jej nie pomogłem, a nawet nie przejawiałem dotychczas zainteresowania Jej losami. Proszę mi więc wybaczyć wzięcie tego tematu na

warsztat. Powoduje mną wyższa konieczność: z Emigracją wiąże nadzieje dla sprawy narodowej.

Jestem jak najdalszy od deprecjonowania kogokolwiek, kto w ostatnim ćwierćwieczu zdecydował żyć daleko od Warszawy i od Moskwy. Podzielał jednak dość powszechne w kraju przekonanie, że ogromna większość wojenno-powojennej Emigracji zdecydowała o wyborze własnej drogi krzyżowej nie ze względów politycznych a patriotycznych. I że setki tysięcy jednostkowych decyzji okazały się dla ludzi, którzy je podjęli o wiele korzystniejsze, niż wybór tych co pozostali w kraju lub doń powrócili. Uznajemy i doceniamy legitymację czystych rąk i nieskalanych sumień, przypisujemy wszystkim Braciom Emigrantom patriotyczne motywy decyzji ale, na Boga, nie róbmy z nich polityków. Ani to prawda, ani nie ułatwia porozumienia. Człowiek z racji politycznych opuszczający swój kraj nie jest jeszcze emigrantem politycznym. Nazwać go wypadnie skromniej, uchodząc politycznym.

Emigrant polityczny to człowiek na marginesie (emigracja wewnętrzna) czy poza marginesem własnego społeczeństwa gotujący temuż społeczeństwu zmiany o pożądanym kierunku. To człowiek nie tyle nawet dumający nad „ułańską przyszłością” syna (jako że wśród jego kolegów popularniejsi są pewnie żołnierze w *battle-dressach* i ponieważ nie ma pewności, czy właściwe jest akcentowanie odrębności dziecka w jego naturalnym środowisku rówieśniczym) ile znajdujący efektywny wyraz publiczny dla sprawy dzielącej go od kraju w obecnej postaci.



*„Zaiste, bracie, dziwne — gdy mówią Proroki:
Nie wiedzieć, czy ich słowo żywi czy zabija”.*

Wincenty Brzozowski

Proszę mnie nie zapewniać o istnieniu takiej Emigracji Politycznej. Jeżeli ma Pan na myśli kontynuację przedwojennych partii politycznych i instytucje kreowane przez nie na obczyźnie, to są to jedynie pozory. Twierdzą tak z najgłębszym przekonaniem — również dzięki „Wolnej Europie”.

12 lub 13 lipca br. „Wolna Europa” nadała obszerną „dyskusję okrągłego stołu”, której tematem był stosunek Emigracji do kraju. Program sprowokowało symptomatyczne zapytanie z Polski.

Przy mikrofonie zasiedli panowie: Ciołkosz, Dargas, Hełczyński, Piłsudski, Sabbat i Wilk, przedstawieni jako kierownicy emigracyjnych stronnictw. Ani jednego z Uczestników nie znam

osobiście; poza panem Ciołkoszem dosłownie nic nie wiem o ich działalności przedwojennej i obecnych funkcjach czy zapatrywaniach. Wolny także jestem od uprzedzeń wobec ich partii. Współczesność wymieszała barwy partyjne nie mniej niż programy. Moi byli towarzysze okazują się najlepszymi wykonawcami marzeń agrarystów, najlepszymi sprzymierzeńcami oenerowców i pojętnymi naśladowcami Dmowskiego. Trudno więc ulegać doświadczoneму człowiekowi jakimkolwiek „szufladkującym” niechęciom do polityków występujących pod sztandarami innych kolorów. Proszę więc wyobrazić sobie moje zainteresowanie audycją, która zapowiadała przedstawienie tak ważkich problemów. I głębokie rozczarowanie...

Nie, nie dlatego, że wymieniony imiennie Sekswirat nie przedstawił żadnej recepty na zbawienie ojczyzny. Wiem jak niewielkie możliwości polityczne mają Polacy na arenie światowej i tego oczekiwać nie mogłem. Ale dlatego, że dyskusja ujawniła całkowitą bezkonceptyjność i fantasmagoryjność poglądów, kompletne niezrozumienie spraw kraju, jego mentalności i potrzeb. Co innego ciche rozgrywki, spiski, podjazdy w mikrokosmosie „legitymistów” a co innego pokazanie się w przysłówiowych szatach andersenowskiego króla — poszukującemu jakiegokolwiek alternatywy, rozbitemu, pozbawionemu autorytetów i nadziei milionowemu audytorium w kraju. Na emitowanie podobnego programu mogli się ważyć tylko ludzie żyjący w pełnej ignorancji polskiej rzeczywistości lat siedemdziesiątych.

Była w tym programie mowa o wielu sprawach. Słowa „demokracja” i „niepodległość” powtarzały się dziesiątki razy. Zapewnienia o działaniu „na rzecz” i „w imieniu” (w mitycznych — dla kraju — „międzynarodówkach”, na forum przyszłej lub — zdaniem niektórych — niedoszłej konferencji w sprawie europejskiego bezpieczeństwa, poprzez „Wolną Europę”, poprzez *Kulturę* — oczywiście paryską — bez liczenia na jakiegokolwiek wojenne rozwiązanie itp., itd.) — równie często. Prowadzono dyskusję o konieczności przygotowania... planu ochrony Polski przed niebezpieczeństwem wojny domowej — po runięciu systemu komunistycznego.

Nie było ani słowa precyzującego czas czy warunki niezbędne dla tego runięcia.

Nie było informacji usprawiedliwiającej nadzieje na rozluźnienie sowieckich okowów.

Nie było najmniejszej próby wytłumaczenia, jakie treści kryją się za ową odmienianą we wszystkich przypadkach „demokracją” (tylko Pan Wilk zapewniał o trwałości dokonanego podziału obszarnej ziemi).

Nie było ani słowa o robotnikach.

Nie było ani słowa o społecznej (publicznej, państwowej) własności środków produkcji, które przecież właśnie dominują w kraju.

Nie było o istocie stosunków z narodami ościennymi, ani o przewidywanych granicach.

Sumując: nie było ani jednej próby odpowiedzi na pytanie o „tę inną Polskę” — o bliższą czy dalszą alternatywę współczesnej PRL.

Wydaje mi się konieczne opublikowanie owego tekstu, by mógł stanowić punkt wyjścia do krytycznej dyskusji emigracyjnej na temat politycznej akcji dla kraju, by przyspieszył uformowanie Emigracji Rzeczywiście Politycznej.

W trakcie tejże dyskusji znalazły się, a jakże, aluzje do „polskiego marca”. Jest to szczególnie symptomatyczne. Stwierdziłbym bowiem na marginesie — redakcja puszczająca w eter tę audycję z wyłożoną laurką ku własnej czci — często przypomina marzec, studentów, naukowców, więzienia dla jednych i drugich, prześladowania. Byłaby to, może, nawet cenna działalność dla budzenia społeczeństwa z niewolniczego uśpienia, gdyby nie pewna w tej propagandzie dwuznaczność. „Wolna Europa” a także Szefowie Partii Politycznych na Emigracji chwalą ruch sprzeciwu, wynosząc ponad przeciętność jego mniemanych organizatorów (jako że prawdziwymi inspiratorami marcowych niepokojów byli prowokatorzy Moczara), wyolbrzymiają zasięg politycznej akcji. A jednocześnie można słuchać od rana do nocy programów „Wolnej Europy” i nie doczekać się przez lat kilkanaście słowa o przychylności jej redaktorów i protektorów dla *socjalistycznego programu przebudowy* tego, co w Polsce stało się faktem dokonanym.

Nie trudno przypuścić, że Emigracja „Polityczna” przymierza się i nawiązuje do swych poprzedniczek z ową Wielką na czele. Nie trudno domyślić się, że również obecnie istnieje gdzieś jakiś hotel Lambert i że gdzieś burzą się przereklamowane w „ludowej historii” Gromady Humań i Grudziąż, że wszyscy są przeciw wszystkim i że po tysiącach mylnych przewidywań każdy może każdemu wypomnieć wszystkie fałszywe prorocтва. W odróżnieniu od tamtych pokoleń emigracyjnych — współczesne nie śle już emisariuszy do kraju, nie próbuje rozniecać patriotycznych i społecznych pożarów. W XX wieku o wiele łatwiej przystosować się do warunków na obczyźnie, niż o wiek wcześniej. Płynię stąd tragizm ludzi wiernych swoim przekonaniom i pasjom, którym nie mogą dać upustu w naturalnych warunkach. To, wydaje się, jeszcze bardziej rozkładać wewnętrzną spójnię Emigracji. Ale

przecież obok przysłowiowych podjazdów, swarów i rozgrywek Wielkiej Emigracji dochodziło w niej do przegrupowania sił, do umacniania nowych związków, ilekroć cementem między ludźmi i ugrupowaniami stawał się jakiś zwrot w polityce europejskiej a nastroje w kraju podpowiadały celowość nasilenia działania z zewnątrz.

Perspektywa konfliktu sowiecko-chińskiego i jej ewentualne następstwa; doświadczenia wszystkich społeczności narodowych, usiłujących pozbyć się zwierzchnictwa sowieckiego; powszechny kryzys ekonomiczny w tych krajach, spowodowany nieodpowiedzialnością biurokratycznych satrapów; skutki tego kryzysu dla społeczności poddanych dyktatowi Moskwy; fatalne warunki ekonomiczne w Polsce na skutek kryzysu produkcji i klęsk nieurodzaju w rolnictwie; nieuchronne wystąpienia robotników przeciw ograniczaniu ich zarobków; nieuchronne przejawy walki przeciw obniżce stopy życiowej wielkich grup ludności; nieuchronne wystąpienia bezrobotnych; świadomość, że każda dalsza porażka sprzyja obiektywnie umocnieniu władzy a żywiołowe wystąpienia, bez kierownictwa nie mogą przynieść żadnych pozytywnych rezultatów; świadomość słabości wewnętrznej opozycji politycznej w kraju — wszystko to składa się na nową sytuację i wymaga pilnego przegrupowania sił wśród Emigracji Politycznej.

Stwierdziłem, że nie dostrzegłem jej dotychczas, że jej nie widać i nie słychać. Ale ludzie, którzy utworzyć ją mogą na zasadzie pełnego zwrócenia się ku krajowi, na pewno są na Zachodzie i zdobędą się na wysiłek nowego przegrupowania sił.

Mam pełną świadomość tradycyjnych niepowodzeń koncepcji zasadzających się na „kochajmy się” czy „odpuśćmy sobie wzajem wszystkie winy”. Ponoć dla polityka ważniejszy jest przeciwnik niż sojusznik. Każdy polski program polityczny co najmniej z równą mocą akcentował przeciw jakim to obcym siłom zamierza mobilizować rodaków i jaką to część obywateli zamierza „reedukować” system presji. W normalnych warunkach podobnie, choć nieco delikatnej, poczynają sobie politycy na całym świecie dbając o — przynoszący dziś już nie majątki lecz splendor społeczny — podział mandatów parlamentarnych, stanowisk państwowych i samorządowych. Ale Polacy wciąż pozostają w nadzwyczajnym położeniu, które każe na dalszy plan odsuwać kwestie organizacji wolnego życia w wolnym państwie i wpływów różnych orientacji. Trzeba kierować się świadomością szkodliwości rozgrywek wewnętrznych, które rozbijały niegdyś Wielką Emigrację — kilku tysięcy ludzi a które dotkliwiej działają dziś w o wiele szerszej społeczności emigracyjnej i zdeprecjonowały „legalistyczny” nurt Emigracji, odsyłając go do lamusa historii.

Nigdy polska Emigracja nie miała równie wysokiego ciężaru gatunkowego jak obecnie. Jest największa liczebnie. Skupia wszystkie warstwy społeczne. Ma zabezpieczony byt materialny. Wyróżnia się wysokim poziomem intelektualnym. Działa w warunkach ułatwionych kontaktów, pełnej dostępności potrzebnych materiałów i źródeł. O ileż więc łatwiej podjąć jej działanie, które wydawało się ponad siły sprawiedliwych jeszcze w początkach naszego wieku.

Są wśród niej ludzie i organizmy pełne energii, utalentowane, posiadające wysoki autorytet moralny i polityczny. Mieliśmy prawo przypuszczać, że Leszek Kołakowski podniesie tam sztandar walki, której tu niesposób inicjować. Mogliśmy przypuszczać, że wśród dziesiątków autentycznie postępowych i demokratycznych polskich intelektualistów na Zachodzie, znajdzie się choć kilku z poczuciem odpowiedzialności za losy kraju i aspiracjami przewodzenia w walce o jego przyszłość. Mieliśmy prawo liczyć na emigracyjny PPS, za wskrzeszenie tradycji rewolucyjnych w tym sensie, że zerwie ze złą tradycją londyńskiej i zdobędzie się na skupianie pod trzema wyostrzonymi strzałami tego, co żywe i młode.

Realnie istniejące siły są niewątpliwie o wiele liczniejsze. Nie wiem gdzie ich szukać, jakimi sposobami zebrać ich wszystkich. Ale wydaje się oczywiste, że czekają na sygnał do podjęcia konkretnej roboty. Są niewątpliwie krytycy dotychczasowego kursu wobec kraju. Znajdą się wolontariusze pokierowania sprawą polską po nowemu — w nowej sytuacji politycznej, bez wysokiego mandatu legalności, za to z wyraźnymi rezultatami. Są kombatanci dawnych bojów rozgoroczeni niejakością londyńskiej quasi-polityki. Jest średnie pokolenie, ukształtowane za granicami, które prawdopodobnie tylko z szacunku do rodziców nie podważa wielu irracjonalnych „tabu”, lecz w głębi ducha ma za złe oglądanie się za fikcjami — wówczas, gdy trzeba budować polską rzeczywistość *przeciw Sowietom i mimo Zachodu*.

Osiąga wiek dojrzałości do politycznego działania młodzież emigracyjna. Trzyma się ona chyba z dala od polskiej polityki ale hodowana była w kojcu polskich legend i kolęd, romantycznej poezji narodowej, krakowiaków, herbatek na cel, harcerskiej insztry, narwikowych, montecassinowych, rocznic i zjazdów. Ten kojec postawił ją w sytuacji „dwunarodowościowej”. Ludzie z pogranicza różnych kultur — twierdzi Parnicki, nie bez racji — odznaczają się wyższą wrażliwością i znacznie większym dynamizmem. Syntetyzują wartości z obydwu źródeł, znajdują oryginalne rozwiązania, wzbogacają odrębne tradycje narodowe.

Hermetyzm społeczny Zachodu prawdopodobnie mniej sprzyja

wyżywaniu pasji publicznego działania, niż grunt polski. Jeżeli młodzi uświadomią sobie wagę sprawy, doniosłość momentu historycznego, praktycznie nieograniczony zakres ich działania na rzecz nowego świata przez przygotowanie doń nowej Polski — gleba ugorująca od dziesięcioleci doczeka się dostatecznego zastępu oraczy. Tak oto dokonać się powinien następnny paradoks przemian międzypokoleniowych: wychowani w cieniu szpad rycerskich, sposobieni do brawurowych szarż ułańskich, młodzi Polacy Europejczycy-racjoniści osiągną inne, nie mniejsze od ojcowskich, cnoty. Staną się zaczynem ruchu polityczno-narodowego o międzynarodowym znaczeniu.

Będzie to mniej romantyczne od wojennych batalii ale o ileż skuteczniejsze służące — tym razem — bezpośrednio ojczyźnie. Tej Pierworodnej.



*„Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco, coś ze mnie zdarł zbroję szermierzy
Więząc mnie w swojej dławiącej obroży”.*

Jan Kasprówicz

Decydując się na pisanie tego listu liczę się z tym, że trafi w ręce Człowieka wobec mnie i moich poglądów Nieufnego i Niechętnego. Z takich składa się większość wojenno-powojennego wychodźstwa. Łatwiej mogę sobie Pana wyobrazić pod portretami Dmowskiego czy Korfantego niż oczekiwać Jego uznania dla Krzywickich, Spassowskich, Sempołowskich. A ja, proszę Pana, jestem jeszcze bardziej od nich na lewo. I na domiar pozostaję w kraju...

Nie zamierzam Pana agitować czy „nawracać” i oczekuję od Adwersarza — kimkolwiek by Pan nie był — podobnej postawy. Bez porzucenia starych kostiumów trudno nam będzie porozumieć się. Tkwiąc w nich — obydwaj pozostajemy bez argumentów: Pańska orientacja nie uratowała Polski; moja również. Pańskie poglądy znalazły się już na drodze między polityką a emeryturą historii; moje — historia zweryfikowała z wyrafinowanym okrucieństwem. Obydwaj mamy puste ręce. Obydwaj wolimy nie demonstrować naszej klęski przed światem, tym bardziej przed naszym społeczeństwem. W końcu, u licha, iluś tam uczciwych ludzi zawierzyło bardziej nam samym niż naszym teoriom; na skutek tego dokumentnie zwichrowali sobie życie. Jesteśmy ludźmi porządnymi, boli nas to bardziej od własnych klęsk.

Winę ponoszą inni, którym z kolei myśmy zawierzyli...? Brzmi to naiwnie, nie rozgrzesza a raczej ośmiesza. Człowiek rozumny, polityk nie udziela kredytu bez pełnej gwarancji jego spłaty, nawet, jeżeli dłużnik pieczętuje się herbem z lwem czy gwiazdą. Wszystkie lwy i gwiazdy od początku świata przejawiały kapryśny charakter. Kiedy mogły — zobowiązań nie regulowały. Tak więc to my zostaliśmy wystrychnięci na dudka. Pan wcześniej, ja w kilka lat później. I choćbym chciał, nie mam Pana na co „nawracać” a jedynie koncipować z Panem przyszłość — inną od Pańskiej i mojej przeszłości.

Akcentuję jednak swój marksizm nie bez kozery. Bowiem ze wszystkich instrumentów społeczno-politycznych, jakimi dysponuje ludzkość, ten okazuje się najbardziej skuteczny i właściwy dla narodów nie pieszczonych przez życie. Nawet z dotychczasowych tragicznych doświadczeń wcale jeszcze nie wynika, że marksizm się przeżył i że gospodarowanie oraz podział dóbr doczesnych według innego modelu zapewni na porównywalnych etapach rozwoju gospodarczo-społecznego wyższe korzyści szerokim rzeszom, lepsze perspektywy na przyszłość. Wokół marksistowskich koncepcji krąży wolna myśl społeczna i ekonomiczna Zachodu, nawet w USA. Chyba to o czymś stanowi.

Jeżelibym wycofał się generalnie z tendencji radykalnej lewicowości musiałbym określić zarazem nową formułę dla kraju. Nie widziałem jej wówczas, gdy Pan prawdopodobnie jeszcze wierzył w możliwość skutecznych rozwiązań typu chadeckiego, endeckiego czy sanacyjnego. Nie znajduję jej i dzisiaj. Od porządku socjalistycznego w Polsce nie ma odwołania. Istnieje natomiast konieczność obalenia biurokratycznego władztwa i zaprowadzenie porządku istotnie zgodnego z duchem socjalizmu, zgodnego z jego humanistycznymi treściami.

Emigracja w okresie 1945-1970 wyczerpała możliwości wpływania na sytuację w kraju i, tym samym, na dalsze losy Polski. Stąd też ów popis bezradności przed mikrofonami „Wolnej Europy”, stąd jej koncentrowanie się na środowiskowej pracy na obczyźnie. A przecież w obrębie spraw bardzo istotnych, jak sytuacja w zakresie stosunków władza - obywatele, ograniczeń rozwojowych systemu importowanego z Sowieców, sukcesywnego wzrostu bezprawia, „planowej” dezorganizacji życia gospodarczego, niskiego paritetu stopy życiowej, „policyzacji” życia publicznego itd. — minione ćwierćwiecze całkowicie przyznało rację Emigracji. Atrofia jej działania politycznego wynika głównie z niedostosowania do wymogów zmieniającego się życia, z klanowego, w samym założeniu, charakteru kręgów politycznych, które ani oddziaływaniami na kraj ani oddziaływaniami na młodsze pokolenie

polskiej Emigracji nie potrafiły zapewnić kontynuacji walki. Wynika wreszcie z wyjątkowo niesprzyjających dotychczas warunków psycho-społecznych w kraju i błędnych orientacji emigracyjnych na trzymanie się zachodnich rządów. W rezultacie, mimo ułomności i nieprawości PRL, jej najbardziej zdecydowani przeciwnicy okazują się bezradni w chwili sprzyjającej działaniu.

Jeżeli Emigracja Polityczna chce odegrać właściwą jej rolę, jeżeli pragnie triumfu swoich założeń i ocalenia wartości wypisanych na sztandarach całej Emigracji Patriotycznej — musi dostosować się do wymogów sytuacji. To znaczy przede wszystkim znaleźć oparcie i rezonans w najbardziej pewnym zapleczu. Mam na myśli grupy opozycyjne w kraju. Są one również „emigracją” choć nadal pozostającą w PRL. Emigracją najświeższej daty i najniewdzięczniejszej konduity. Emigracją wewnętrzną.

Z tą „emigracją” — z nami — dyskurs doczytać się może jedynie w obrębie socjalistycznych rozwiązań. Z całym polskim społeczeństwem również. Zmiany świadomości społecznej nie dadzą się już przekreślić. A więc racjonalizm nakazuje Emigracji Politycznej taką właśnie reorientację.

Po krótkim okresie pierwocin polskiego marksizmu, kiedy radykalny nurt z reformistycznym w jednym stały domu, czynniki publiczne na lewo od PPS widziały tylko ścianę. Określona sytuacja geopolityczna i ekonomiczna skłaniały tym bardziej po 1920 roku do stawiania przed „czerwoną zarazą” „policji tajnych, widnych i dwupłciowych”, KOP i Berezy, plebanów i band „Łokietka”, ABC i cenzury.

Nie wypominam, przypominam tylko. Przypominam, by podkreślić ferwor towarzyszący tym jakże rozmaitym i wszechstronnym przedsięwzięciom całej antylewicowej większości politycznej. Ferwor, który pozwolił nie dostrzec jak wysoką cenę płacili polscy lewicowcy, jak na ich partię padł wyrok stalinowskiej likwidacji.

Były to czasy politycznego zaciętrzewienia sięgającego zenitu, ani uczciwego ani rozsądnego. Należało o nich z godnością milczeć, dopóki dialog był bezzasadny, dopóki panowały zasady podziałów i przynależności do jednego lub drugiego „świata”. Czy w obliczu potrzeby wspólnego działania nadal należy zachowywać milczenie?

Nie mamy się czego wstydić. My — lewica radykalna. My — marksiści. My — opozycja wobec terroru partyjnej biurokracji i jej kremlofskich protektorów.

Opowiadaliśmy się za rewolucją socjalną? Prawda, opowiadamy się za nią nadal. Stary, przestarzały system zależności społecznych musiał upaść. Nasz radykalizm był tym drastyczniejszy, im bardziej kołtuńskimi okazywali się nasi przeciwnicy. Oni bronili swoich małych, partykularnych interesów. Myśmy chcieli dostatku

chleba i pracy dla milionów nieszczęśników tego kraju. Chcieliśmy prawdziwej reformy rolnej znoszącej widmo przednówka. Chcieliśmy przyspieszyć rozwój stosunków międzyludzkich zgodnie z najprawdziwszą moralnością tym bardziej — im mniej w tym kraju bezkarności dla faszystów, wyborczych zwycięstw endencji i matactwa sanacji było miejsca na prawdziwie ewangeliczne ideały współzycia i posilnej myśli o przebudowie strukturalnej kraju. Im bardziej ugodowość socjaldemokratów działała przeciwko dobru najszerzych mas.

Wprowadziliśmy twardą dyktaturę po wojnie? Prawda! Przymusem brzydzą się jedynie ludzie odlegli od polityki. Uznawaliśmy konieczność przymusu w okresie przejściowym, przez kilka pierwszych lat powojennych. Skoro jednak konieczność przerosła w system, skoro zawiodły nawet nadzieje na postalinowskie zmiany, nawet na umiarkowane reformy Października, umieliśmy się rozstać z biurokratyczną większością, powiedzieć „nie”, odmówić udziału w okrucieństwie garbusów. Potrafimy przetrwać mimo doznanej porażki. Nie jest to ostateczna klęska. Stan druzgocącej sowieckiej niewoli i rodzimego terroru nie może trwać wiecznie.

To myśmy, proszę Pana, wbrew nakazom moskiewskim ale z poczuciem odpowiedzialności przed narodem, ograniczali jak mogli ostrość terroru na wszystkich odcinkach i wszystkich szczeblach władzy. Proszę porównać warunki, w jakich znalazła się „prawicowo-reakcyjna” opozycja w pozostałych krajach satelickich — śmiesznie słaba i kompletnie pozbawiona wpływów — z warunkami jakie panowały w PRL w okresie nawet najwyższej fali polowań na czarownicy. Mimo wszystkie wynaturzenia, nieprawości, zbrodnie aparatu represji politycznej, mimo wszystkie tragedie związane z okresem stalinowskiej nocy — „porządnych komunistów” — jak ich nazywają, spotkał każdy represjonowany w najbardziej nawet nieoczekiwanych sytuacjach; dziesiątkom tysięcy innych prześladowanych — inni „porządni” udzielili skutecznej ochrony w obliczu zagrożenia.

To myśmy, proszę Pana, byli w latach pięćdziesiątych najliczniejszymi „klientami” bezpieczeństwa, to z myślą o nas Beria i spółka utworzyli osławiony X departament MBP.

To myśmy, proszę Pana, wyprowadzili na ulicę załogę ZISPO i szli na jej czele przez Poznań zaskoczony żywotnością robotniczego sprzeciwu.

To myśmy, proszę Pana, zrobili Październik i ochronili Polskę przed lekcją wolności w stylu budapeszteńskim. Raczy Pan zauważyć, że w naszym społeczeństwie nie było wówczas nawet pretendentów do władzy, jeżeli nie liczyć wymownych propozycji, manifestujących — pod naszym przewodem — tłumów: „Wyszyński

do KC, Rokossowski do Moskwy!". Raczy Pan także zauważyć, że nie „reakcja” a komunista Wiktor Woroszyński jako pierwszy uznał *expressis verbis* konieczność oddania władzy innym siłom, skoro komuniści zhańbili się nieodpowiedzialnym i występny sprawowaniem władzy. Nie zgadzam się z nim, ale cytuję to stanowisko jako symptom pewnego nurtu, który Zachód tak łątało, a Emigracja tak tendencyjnie, gubi z pola widzenia.

To partyjniacy z *Po Prostu* padli ofiarą pierwszych gomułkowych represji w okresie, gdy przedwojenni endecy i oenerowcy zaczynali piąć się coraz wyżej po szczeblach kariery publicznej.

To Ossowsky, Kotarbiński, Wojeński, Kołakowski, Lange, dziesiątki i setki marksistów i materialistów stojących twardo na gruncie socjalizmu (a nie ich ideowi i polityczni przeciwnicy) mimo represji, wbrew własnym karierom, mimo prób „pokojowego dogadania się” podejmowanych przez biurokrację, oddziaływali i oddziałują na społeczeństwo w duchu postępu, racjonalizmu, respektowania wartości moralnych — a więc przeciwko sowieckiemu totalizmowi.

To nie prawica, a kręgi konsekwentnej lewicy stanowią obiekt policyjnej infiltracji i najcięższych, najszlachetniejszych represji w PRL.

Panowie o tym dobrze wiecie. Za najskuteczniejszy instrument przeciwstawiania się biurokracji uznajcie publikowanie i emitowanie politycznych ocen i programów naprawy: Kuronia, Modzelewskiego, Bieńkowskiego, Kołakowskiego, Brusa, Baumana itd. Jeżeli więc rzeczywiście zależy Wam na przyszłości Polski, miejcie odwagę uczynić decydujący krok: uznajcie za pełnoprawną w sensie moralnym i narodowym naszą ideologię (gdzie jeszcze utrzymuje się), naszą humanistyczno-socjalistyczną myśl polityczną. Uznajcie nas za partnerów — tak, jak za partnerów — choć konkurentów — uznaje się dziś na Zachodzie antydogmatyczną część komunistów.

Dopełnijcie symbolicznego aktu sprawiedliwości: *uznajcie równoprawność radykalnych marksistów polskich w polskiej Emigracji Politycznej*.

Emigracja wewnętrzna nie potrzebuje Waszej aprobaty. Nieskorumpowana lewica marksistowska bez przeszkód porozumiewa się z lewicą katolicką, obdarza ją zaufaniem i z takiegoż zaufania korzysta. Innych, niestety, ognisk *politycznego oporu* skłonnych do czynnego przeciwstawiania się reżymowi biurokratycznemu, na razie nie ma.

Czy będą? — to zależy w decydującej mierze od Was. Od prawdziwej Emigracji Politycznej.

II

*„O ziemio, ziemio,
I czemu śpisz, i czemu śpisz,
Na swoich barkach zleniwiałych
Dźwigając natógowo krzyż.
Gdy na twych łanach spustoszałych
Szkodliwe chwasty wbród się plenią!”*

Hanna Zahorska

Pomyśli Pan: łatwo szarpać sumieniem Emigracji, przerzucać na nią odpowiedzialność za dramaty niezawinione, za sytuację przed którą ostrzegała! I to komu, człowiekowi opowiadającemu się po tamtej stronie politycznej barykady!

Proszę sobie ulżyć do woli, jeżeli idzie o moją czy moich przyjaciół osobę. Pokornie ścierpimy wszystko. Po sprzeniewierzeniu własnych towarzyszy, po deprawacji jaką narzucili naszemu krajowi, nic więcej nie może nas rozgoryczyć. Ale przecież nie o naszych, Pańskich i moich sprawach dyskurs. Niepokoi nas sytuacja kraju, nie zdolnego do samodzielnego podjęcia walki.

Mógłbym na jego usprawiedliwienie powołać analogie historyczne. Nie zdolny był nasz naród do samodzielnego wystąpienia w końcu XVIII wieku i przez cały wiek XIX. Świadczy o tym przebieg narodowych zrywów, ich słabość, ich niedojrzałość polityczna i organizacyjna, ich nieznaczny w gruncie rzeczy zasięg. *Ex post* możemy — zależnie od upodobań — uznawać zasługi, piętnować nieodpowiedzialność. W niczym to jednak faktów nie zmienia. I tego podstawowego, którego istotę wyraziła w niezdarnych rymach Zahorska czy, jak Pan woli bardziej dosadnie, ujął Józef Piłsudski: „Niech dzieci się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej

(nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę...”. List do Feliksa Perla, z którego powyższy cytat, nosi datę 1908 roku, dotyczy, oczywiście, sytuacji nie tylko w zaborze rosyjskim lecz również w Galicji, korzystającej z względnie szerokiej wolności i na polskość, i na socjalizm, i na hodowanie kwiatów... Rok 1908 — zaledwie 6 lat przed wymarszem z Oleandrów i dziesięć przed triumfalnym powrotem z Magdeburga do Warszawy...

A więc, zawsze było równie źle z gotowością społeczną do walki z obcymi ciemżycielami i rodzimym, podobnym do dzisiejszego reżymu w zakresie uprawnień — choćby uczciwym i patriotycznym samorządem terytoriów zamieszkałych przez Polaków.

Świadectwa historii bywają często zawodne. W tym wypadku nie odzwierciedlają one sowiecko-komunistycznej perfekcji likwidatorskiej wobec jakichkolwiek przejawów niezależności. Sześćdziesiąt lat dzielące nas od czasów Piłsudskiego, jeszcze nie naczelnika państwa, zapisało się niezwykłym postępem techniki despotyzmu. Reżym biurokratyczny w Polsce korzysta z ogromnych doświadczeń sowieckich i hitlerowskich w dwojakim sensie: przez adaptację najefektywniejszych sposobów czynnego zniewalania oraz przez obcinanie kuponów od dokonań obydwu sąsiedzkich reżymów totalitarnych na terenie Polski i w umysłowości Polaków. Tym głębszym snem śpi nasza ziemia i tym bardziej wychodkowa (nawet nie klozetowa) dusi ją atmosfera.

Ale jednocześnie jest w narodzie polskim głęboka, powszechna świadomość, że mechanizm kraju szwankuje. Chyba takiej świadomości nie było we wcześniejszych okresach niewoli. Dynamiczny rozwój ongiś był przywilejem legendarnej niemal Ameryki — dziś stał się rzeczą normalną niemal za miedzą. Wówczas karierom milionerów towarzyszyła najprawdziwsza głodowa śmierć pod wszystkimi europejskimi szerokościami geograficznymi, dziś, w dobie masowych środków przekazu, trudno ukryć, że przywilej nędzy jest wyróżnikiem krajów komunistycznych i postkolonialnych. Wreszcie, ogólny poziom wykształcenia i wiedzy nie pozwala na mechaniczne porównania tych różnych, odległych co najmniej o pięćdziesiąt lat dwudziestowieczne, generacji Polaków, dzisiejszej i minionych.

Muszę przyznać, że ilekroć w „Wolnej Europie” słyszę opinie o polskim społeczeństwie, machinalnie sprawdzam czy aby nie włączyła się Warszawa „dla rodaków zza granicy”. Istota wynurzeń na temat społeczeństwa i jego zapatrywań jest, oczywiście różna. Te same wszakże są intencje i identyczne traktowanie owej trudnej do uchwycenia kategorii socjologicznej. I Warszawa

i Monachium przejawiają niezwykłą skłonność do generalizowania i „podpierania” swoich wynurzeń relacjami sugerującymi jakoby powszechność występowania wygodnych dla ich wywodów zjawisk. Rozumiem, konieczność propagandowa. Nie obowiązuje ona w liście politycznym; mało — przeszkadza w poznaniu rzeczywistości i wysnuciu wniosków.

Sytuacja społeczna w kraju jest bardzo zła. Możemy jednak ogólnie stwierdzić, że nastąpiły w niej budzące optymizm zmiany. Była znacznie gorsza w latach 1967-1969, chociaż wówczas wydawało się panu Nowakowi i jego komentatorom inaczej. Konflikt bliskowschodni został bardzo sprytnie wykorzystany dla usmierzania ewentualnych niepokojów. Szopka „pogotowia bojowego” zrobiła swoje. Dlatego naród bez szemrania przyjął niespodziewaną (nawet dla wysokich dygnitarzy partyjnych) podwyżkę cen mięsa i szereg nonsensownych przedsięwzięć ograniczających zarobki robotnicze. Byłe obyło się bez wojny i bez awantury z Sołvietami.

W 1968 roku niespodziewane, policyjne rozwiązanie kłopotów władzowych zostało przez szerokie rzesze społeczeństwa potraktowane z rezerwą, jaka w ogóle od wielu lat charakteryzuje jego stosunek do przedsięwzięć możliwych tego świata. Jednak komunikatywność propagandy „moczarowych chłopaków” zrobiła swoje. Tym bardziej, że zapowiedziano zmiany na lepsze w polityce socjalnej i że z władzowej karuzeli „wyskoczyła” grupa z-urzędu-skompromitowanych jegomości. A więc — nie wdając się w głębsze oceny (którymi żyją tylko nieznaczące kręgi społeczeństwa), ogół przyjął postawę wyczekiwania.

Rok ubiegły zapisał się szerokim rozczarowaniem. Poczucie zawodu stało się powszechne. Zaczęto nastawiać ucha na krytyczne oceny, doszukiwać się przyczyn stałej prawidłowości pogarszania się sytuacji, mimo „porządkowania” i usuwania ciągle nowych i wciąż bardziej nieprawdopodobnych szkodników i przeciwników ustroju. Siurpryzy gospodarcze bieżącego roku, drugi sezon katastrof i nieurodzajów, drastyczne cięcia finansowe, drożyzna, widmo bezrobocia, zastój w budownictwie mieszkaniowym, dotkliwe ograniczenia zakupów przedmiotów trwałego użytku, braki żywności i „chodliwych” towarów powodują znaczny przypływ krytycyzmu nawet w najbardziej biernych, najbardziej potulnych i serwilistycznych kręgach.

Bardzo przykro, kiedy optymistyczna ocena atmosfery społecznej musi łączyć się ze zmierzchem, jakże cenionej — po wielu latach niedostatków i bezpośrednich zagrożeń — „małej stabilizacji”. Cóż jednak robić, skoro bez presji sytuacji ogół społeczny nie kwapi się z wyciąganiem wniosków o rzeczywistości politycz-

nej i nie chce sięgać myślą w jakąkolwiek przyszłość. Można by przypuścić, że „Que sera-sera” zyskało niezmierną w Polsce popularność wcale nie dzięki francuskiemu szlagierowi a ze względu na odpowiadający naszej mentalności sens. Oczywiście tak długo, dopóki powszedniemu kawałkowi mięsa i kieliszkowi chleba nic nie grozi. Dziś zagrożenie jest potężne, odczuwane w całym kraju, we wszystkich warstwach ludności. I żadna liberalizacja policyjnego nadzoru nad krnąbrną elitą intelektualną, żadne przysięgi naprawy sytuacji za krótkie kilka lat już nie skutkują. Wyczerpał się ostatek kredytu zaufania. Polak zły, gdy głodny... Polak zaczyna myśleć i ruszać się.

Dla naszych potrzeb politycznych wydaje się konieczne zarysowanie aktualnych nastrojów w różnych grupach społecznych i środowiskach. Chciałbym w takim inwentarzu sprostować wiele niewłaściwych, moim zdaniem, ocen, jakie przychodzi wysłuchiwać w „Wolnej Europie”. Są one nie zawsze podyktowane względami propagandowymi, czy nieuchronnym uproszczeniem dziennikarskim. Większość z nich wydaje się wynikać z rzeczywiście fałszywych wyobrażeń o kraju. Nie tylko tej rozgłośni — także najszerszych kręgów emigracyjnych. A więc mogę przypuszczać, że i Pan zadawała się z konieczności uświęconymi stereotypami. Spróbuję je podważyć.

Ocena sytuacji krajowej będzie dla Pana okazją do wyrobienia sobie sądu o autorze listu. Nim się podejmuje decyzje o takiej doniosłości, jak sugeruję, trzeba — mimo wszelkich wymogów konspiracji — jako tako poznać partnerów. Oczywiście w części pierwszej, dotyczącej Emigracji, występowałem w charakterze laika, który może się w odległych sprawach nie wyznawać. W częściach następnych obowiązuje wobec autora surowsza miara.

Wreszcie z inwentarzem społecznym wiąże się program naszego działania. Musimy ustalić poglądy na różne warstwy i środowiska, żeby przewidzieć najskuteczniejsze formy działania, czyli takie, które przynieść mogą najszybszy i najszerszy rozwój ognisk oporu w kraju przy możliwie najmniejszych wysiłkach Emigracji Politycznej i najmniejszym ryzyku dla emigracji wewnętrznej.

Określony kąt widzenia pozwala mi porzucić ustalone schematy. Szczupłość miejsca uniemożliwia pełne opisy wybranych zbiorowisk czy wyważenie proporcji. Tym bardziej, że „portretując” różne grupy czynię to z świadomością Pańskich odmiennych wyobrażeń. Są to więc portrety zdeformowane, tendencyjne ale nie wypaczające rzeczywistości. Przedstawię Panu te siły, na których przyjdzie oprzeć działalność. Innym poświęcę bardzo niewiele miejsca.

„Lecz gdzie dziś szukać takiej strojnej głowy
co chodzi strojna w promieniste rogi? —
gdzie szukać piersi, która jak spiżowy
dzwon napętlony sercem, wśród pożogi
czasów ozwałaby się w głos wichrowy,
budzący ludy i budzący bogi? —
gdzie harfy, której metalowe struny
umieją błyskać, grzmieć, rzucać pioruny..?”

Jerzy Żuławski

Prekursorzy współczesnych intelektualistów polskich zawsze nadawali ton całej społecznej „reszcie”. Pewno dlatego, że władza nie zasługiwała na zaufanie, że była obca czy w obcym sprawowana imieniu i dlatego, że burżuazja nie zdążyła się dorobić ani prawdziwych fortun ani prawdziwego społecznego autorytetu. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis...* Po ostatniej wojnie intelektualiści bez sprzeciwu ustąpili swojej szczytnej misji ludzom z partyjnego Olimpu.

Dziwi Pana takie stanowisko? Poświęćmy więc jego podstawom nieco uwagi. Tym bardziej, że oznaczać to będzie zarazem prezentację elity intelektualnej, owej wielkiej siły i wielkiej nadziei na pomyślniejsze losy ruchu sprzeciwu.

W Polsce ostatniego dziesięciolecia — do wcześniejszych czasów nie warto już się cofać — można by doliczyć się paru setek Reytanów i Kozietulskich od polityki spod różnych znaków, na rozmaitą skalę i w odmiennych działających okolicznościach. To dużo, to bardzo dużo zważywszy na pustynię, na której żyją, zważywszy na druzgocące niemiłosiernie tryby maszyny, w której się obracają. Byłbym wszakże w nielada kłopotcie, gdybym musiał nazwać bodaj dziesięciu prowadzących świadomą grę polityczną — zgodnie ze wszystkimi wymogami takiej gry, a nie ulegających nastrojom chwili czy potrzebom oddzielnych demonstracji.

Wybierzmy trzech w pełni reprezentatywnych dla ruchu oporu, o wielkim autorytecie i rozgłosie światowym, o których nikt uczciwy złego słowa nie powie. Zastanówmy się nad daremnością ich poczynań, skoro nie znalazły one politycznego ukoronowania.

Oddaję hołd pamięci i odwadze „Tatara”, przedwcześnie zgasłego w dwa lata po orzeczeniu Jego śmierci cywilnej przez reżym.

Z serdeczną sympatią myślę o laureacie nagrody młodych PAL, byłym katoliku, powojennym partyjniaku, zawsze Człowieku, który — jako jedyny w Polsce — ważył się na głośne veto w sławetnym liście do Goldstuekera.

Z uznaniem wspominam trzeciego, który nie był „gudłajem”, „bisurmanem”, katolikiem, komunistą, „zbirem Łupaszki”, obroń-

cą czci polskiej młodzieży, Zołą z dreyfusjady, Wiktoorem Hugo, pozdrawiającym powstanie przeciw imperium rosyjskiemu. Nie był — bo nie zdążył. Za młody albo nieobecny (a może był i jest wszystkim na raz, jako że między „Indykiem” a „Tangiem” nie istnieją niemożliwości...?). Bóg ani partia nie powierzyli mu honoru Polaków, a jednak chciał go ocalić.

Trójca ta uosabia niezaprzeczalny poziom intelektu, jest na wskroś polska z tradycji i ducha. W jej osobistych drogach życiowych mieści się materiał na niejeden dramat, w którym przeglądałby się dzień dzisiejszy świata i wszystkie dotychczasowe dni polskiego bytowania. Trójca wolna od pogoni za łatwym poklaskiem. Sama nie była serwilistyczna ani nie pomagała zniewalać narodu. Nie wzięła się na lep klanów i koterii, z jakich by one nie wywodziły się źródła. Nie demonstrowała dezaprobaty wobec innych, którzy próbowali w ich kraju wprowadzać nowy ład; oczywiście — dopóki ład ten nie okazał się tendencyjnym nieładem.

Rok 1968, rok hańby, zmiotł ich dorobek z półek bibliotecznych, księgarskich, ław szkolnych, desek teatralnych. Jeden doznał się najwyższego wyróżnienia, jakie można osiągnąć na ziemi terroru: moralnego ukrzyżowania przez samego Gomułkę, tet-rarchę warszawskiego. Dwaj inni — poinwazyjną jesienią — stali się przedmiotem niezbyt donośnych naszczekiwań władzowej sfory. Wszyscy — przedmiotem cichego kultu wszystkiego co żywe w narodzie.

Minęły dwa lata. Dokonajmy ponownego przeglądu sytuacji, w której znów przejrzy się los polskiego intelektu.

Jednego pochowaliśmy manifestacyjnie, niezbyt tłumnie, z godnością — a więc bez udziału czynników oficjalnych i zaprzańców. To nie oznacza bynajmniej, że zginął w pamięci oprawców. Dziś-jutro, może nawet bez pytania o zgodę spadkobierców, trafi na rotacyjne maszyny niewydana część dzieła Jego życia. Niech-no tylko któryś „marcowy docent” czy sam Jakubowski od zbawidowskich pułkowników wypichci „krytyczny wstęp”, dający rozgrzeszenie słowu pisanemu serdeczną krwią i Autorowi, który „choć błądził na manowcach polityki, to jednak...” — a rzecz pójdzie w stu tysiącach egzemplarzy „Biblioteki Powszechnej” do wszystkich kiosków „Ruchu” i każdej biblioteki. Dla sowietoidów dobry wróg — to wróg martwy. Mogą być dlań „wspaniało-myślni”.

W świadomości szerokiej publiczności incydent, którego był bohaterem zatrą „piękne recenzje z małym 'ale'”. Wśród miernej literackiej braci rozlegną się westchnienia nad ciężkim groszem za pośmiertne wydanie, wróci znów putramentowy motyw, że

„Stary” wcale nie taki zły jak go malują, tylko drażnić go nie należy...

Oto drugi nieustraszony. Dał Wilhelmiemu „kawałek” do druku. Jedni twierdzą — dla zadokumentowania zgody. Drugi — żeby pokazać, iż jemu wszystko wolno. Trzeci przebąkują o biegu po Nobla. Nikt-że dla chleba, którego mu nie braknie.

Jak ów akt drukowania w szmatławcu komentuje społeczeństwo, ta jego część dla której stał się symbolem sprzeciwu, wyrazicielem uczuć ludzi żyjących z zaciśniętymi przez reżym gardłami..?

Mądrzy, uczciwi ludzie bywają niekiedy aż tak skromni, że nie dostrzegają chwili od której stają się własnością publiczną... Żadne słowa nad trumną Pawła Jasienicy faktu nie odmieniają. Bez „Wolnej Europy” byłyby nawet niezbrane. Przy jej pomocy i tak nie pozostaną w pamięci nienawykłej do subtelnych aluzji. Symbol wrócił do wymiarów Odważnego Człowieka. Świadomie czy nieświadomie — nie zmienia postaci rzeczy. Ułatwia biurokracji manewr propagandowy („No weźmy, towarzysze, takiego Andrzejewskiego. Wypowiada się antysocjalistycznie. Ale to, wiecie, pisarz. Czy troszcząca się o kulturę narodową — silna, ustabilizowana, ciesząca się społecznym poparciem władza, nie powinna literatom dawać szerszego marginesu swobody?...”).

Trzeci z uśmiechem augura na wargach młodzieniaszka latem 1968 roku wozażował właśnie po za granicach. Raz jeden porzucił język metafory, przemówił po prostu. I — pozostał w świecie. Dla nas zaginął bez wieści. Jak długo w pamięci niecierpliwego kraju żyć będzie jego odwaga prostego nazywania rzeczy po imieniu? Czy owe słowa protestu pozostaną *jedynym czysto politycznym aktem bezpośredniego uczestnictwa w walce* przeciw narodowej zagładzie? Jeżeli tak — uczynił źle. Ten bogaty zdroj wyschnie gdzieś daleko od źródeł swojskiej bzdury, zbrojnej w średniowieczny zabobon i atomową technikę. Powinien raczej wrócić, nawet by pisać do szuflady, lub może dla najchlubniejszych dziś wydawców-kopistów ery sputnikowej. W każdym razie niepokoić, drażnić.

Trzy głosy protestu, trzy oderwane indywidualne porywy, trzy salwy daremne, bo nie stanowiące fragmentu zaplanowanego, długotrwałego, nasilającego się obstrzału wrogich pozycji.

Dziwnie i jakoś nieswojo przypominać polskiej elicie intelektualnej o jej obowiązku przewodniczenia w konkretnej walce o losy narodowe. Całe zastępy nie tylko poetów i pisarzy, z powołania dzierżących narodowe i ideowe pochodnie, lecz również specjalistów ścisłych dziedzin wiedzy, rzuciły zacisze pracy naukowej

i artystycznej w imię interesów Polski. Poświęcali zagraniczne kariery, wykorzystywali osobiste kontakty, nieporadnie występowali w roli kurierów i emisariuszy, drukarzy i rusznikarzy, przemylkali się na konspiracyjne seanse budzenia ducha i na trudne pertraktacje z zagranicznymi dyplomatami, pisali na zamówienie społeczne, zgodnie z potrzebą chwili — kładli podpis pod chropowatymi, nieudolnymi z pośpiechu słowami. Dla wielu prawdziwymi okresami flirtu z nauką czy sztuką były okresy zsyłki. Wielu dopiero w Polsce niepodległej błysnęło pełnią talentów i możliwości, którym nie dawali wcześniej ujścia. Powstrzymywali je świadomie wobec ogromu ważniejszych zadań. Mniej przynoszących splendoru i satysfakcji ale dających spokój sumienia.

Niektórzy próbują sugerować, że działo się tak w odmiennych, nieporównywalnych do obecnych warunkach. Że wówczas nie było Polski, a dziś ona *de iure* istnieje. Że wówczas można było ulegać euforiam nacjonalizmu czy uniwersalizmu a dziś są to przebrzmiałe już sprawy. Że wówczas była w modzie konspiracja, która stała się we współczesnym świecie wręcz niemożliwa.

Trudno dyskutować na ile obecna Polska jest w innej niż jej rozbiorowe poprzedniczki sytuacji. Główne, że nasze społeczeństwo znalazło się w niezwykłym zagrożeniu ekonomicznym, społecznym, etycznym. Tak niezwykłym, że ważyłbym się na drastyczną konfrontację dnia dzisiejszego z nocą rozbiorów czy okupacji, by wykazać gorszą sytuację obecną. Tamto bytowanie miało na bliższą czy dalszą metę więcej optymistycznej perspektywy, niż teraźniejsze powolne obumieranie. Nerozumienie tej sytuacji, zatrzymywanie się na wycinkowej — częstokroć nawet druzgocącej — krytyce, bez prób zrekapitulowania całego tragizmu położenia i bez wyciągnięcia wniosku o konieczności walki politycznej, jest w odniesieniu do elity intelektualnej równe zarzutowi nieodpowiedzialności. Nieodpowiedzialności świadomej czy nieświadomej ale utrzymywanej z pomocą różnych intelektualnych wybiegów — przeświadczenia o własnej, indywidualnej niekompetencji, niemożliwości porozumienia się z szerszym zespołem ludzi, teorii „zmierchu ideologii”, przeflancowanej z innych warunków i nie potwierdzającej się ani w polskim październiku ani czeskim styczniu.

Doświadczenia współczesne wskazują, że funkcje przywódców politycznych wciąż jeszcze, jak dawniej, dostępne są dla intelektualistów, którzy się od nich uchylać nie zamierzają. Camara, Weizsaecker, Guevara, Garaudy, Habasz, Teodorakis, Amado, Amalrik, Grigorienko, Sacharow, Miedwiediew — oto garść nazwisk-symboli. Oto ludzie myślący, którzy nie chcieli się zamknąć w wieżach z kości słoniowych ich zasadniczych powołań. A spo-

łeczna lewica katolicka we Francji i NRF, hiszpańscy komuniści i hiszpańscy i brazylijscy księża-rewolucjoniści...?

Tendencyjnie wymieniam osoby i grupy różnych orientacji, działające w różny sposób. Nie stawiam nikogo za wzór, nie przeprowadzam analizy celowości i skuteczności żadnej metody działania. Jedno jest wspólne dla wszystkich: sięganie do polityki nie w imię własnych, partykularnych interesów, działanie — w zależności od warunków — legalne, półlegalne czy wręcz nielegalne, konspiracyjne — ale jednak działanie.

Współczesny ruch politycznego sprzeciwu, któremu przewodzą intelektualiści, daleki jest od opłotków partyjności i nie ubiega się bynajmniej o zdobycie władzy. W każdym razie nie to stanowi jego cel. Sacharow nie zgodziłby się porzucić swoich atomów dla gabinetu w Dwarce Senata. Nawet „wolnoeuropejski” ksiądz kapelan Kirszke, uroczowo-powściągliwie wyrażający się o biskupie Camara (domyślamy się z jakich względów...) pewno nie obawia się jego rezygnacji ze stolca biskupiego na rzecz przejęcia władzy w państwie byłego państwa jezuickiego.

Opozycja pozaparlamentarna w ustrojach demokratycznych nie wstępuje w szranki jako konkurent do stanowisk państwowych ale jawi się w roli etycznie-politycznych hamulców ustabilizowanej władzy. W roli rzeczników protestu przeciw lekceważeniu, niedocenianiu, niezauważaniu potrzeb i interesów warstw pozbawionych rzetelnej reprezentacji oraz odległych spraw, tendencyjnie pozostawianych własnemu biegowi rzeczy w duchu zbliżonym do kolonialno-rasistowskich koncepcji (Wietnam, Białfra itd.). Opozycja pozaparlamentarna staje się nieodzownym uzupełnieniem współczesnej sceny politycznej krajów ugruntowanej demokracji. Bez jej działania rozwój społeczny byłby znacznie uboższy, powolniejszy, zagrożony ekstremistycznymi uproszczeniami państwowego aparatu wykonawczego, ospałością coraz bardziej dekoracyjnych parlamentów. W działaniu tym kryje się szansa dalszego przekształcenia przestarzałego systemu demokracji burżuazyjnej, zgodnie z potrzebami nowych czasów. Zarysowują się tu swoiste cechy demokracji bezpośredniej dojrzałego społeczeństwa, dalekiego od awanturnictwa i samounicestwiających tendencji żywiołowego ruchu, ale rozsądnie — choć często burzliwie — objawiającego zarządcom wspólnoty państwowej swe potrzeby i swoje poglądy.

W państwach autorytatywnych akcja kierowana przez intelektualistów zmierza oczywiście, do zmiany systemu politycznego. Jest więc radykalniejsza, wypełnia lukę po zdelegalizowanych partiach opozycyjnych.

W systemach typu sowieckiego bezpośrednio działanie polityczne intelektualistów ma jeszcze większe znaczenie. Tam jedy-

nie intelektualistów, elita władzy i menadżerzy gospodarczy wyłączeni są spod rygorów bezmyślnego, dogmatycznego uznawania komunistycznych „prawd wiary”. Mają stosunkowo szeroki margines wolności poszukiwań, mają najszerszy dostęp do rzetelnych informacji naukowych i bieżących doniesień zagranicznych, wolnych od preparatorskich zabiegów. Górują niepomiernie nad innymi warstwami ludności tymi „przywilejami” i kwalifikacjami umysłowymi. Dystansują się o wiele bardziej od ogółu ludności, ponieważ w systemie sowieckim nie ma warstw i grup niezależnych działaczy społecznych, samorządowych, przywódców klasowych itd. — owej warstwy pośredniej między elitą a szarymi obywatelami. Tu podziały przebiegają drastycznie ostro i wyraźnie.

Skoro taką sytuację wybrali intelektualiści w świecie i — o czym świadczą doniesienia z ZSSR — także w naszym „obozie socjalistycznym”, dlaczego wśród elity intelektualnej PRL nie znaleźli się ludzie, którzy zorganizowaliby polskie „siły presji”, stanęli na ich czele, poprowadzili dostosowaną do potrzeb sytuacji akcję?

Na część pytania odpowiedzieliśmy już: dotychczas brakło w Polsce konkretnej perspektywy, która usprawiedliwiłaby podjęcie akcji. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że pod powyższym wrażeniem elita intelektualna straciła zdolność samodzielnego sterowania skomplikowanymi działaniami politycznymi. Dziś już nawet nie wie, jak inicjować publiczną działalność polityczną.

Po drugie nad polskimi wyobrażeniami o walce politycznej ciążą zastarzałe wyobrażenia: wyczekuje się, ku radości warszawskich możnowładców, „wysokiej fali rewolucyjnych nastrojów mas”, od niej uzależnia się ewentualne podjęcie działalności. Rewolucyjne przypływy nie brały się nigdy „same z siebie” i nawet nie tylko na skutek bezwzględного wyzysku — o tym zapomina się bardzo łatwo. A poza tym wydaje się absurdalnym wypatrywanie rewolucyjnych poruszeń we współczesnym świecie białych ludzi. Wyklucza je perfekcja manipulatorska rządów, jednoczesny brak wielkich idei i nieufność mas wobec ideologii. Ale w „oczekiwaniu na falę” zgubiono w Polsce „pozarewolucyjne” wartości, sprzyjano obiektywnie umacnianiu serwilizmu, sankcjonowaniu rozkładu życia społecznego pogłębiania apatii — w skali budzącej grozę.

Po trzecie dynamizm społeczny, gotowość do przeciwstawienia się upadły z rozplakatowaniem pierwszych klepsydr poświęconych pamięci Sikorskiego, poległych pod Monte Cassino, w akowskiej partyzantce. Październik i postępująca „mała stabilizacja” politycznej pseudowolności dla ogółu obywateli i ekonomiczno-

społecznej mikro-satysfakcji dla jego pozarobotniczej większości generalnie zmieniły nastroje opozycyjne.

Było rzeczą intelektualistów dostrzec niebezpieczeństwo „upupienia” i przeciwdziałać stabilizacji „małej stabilizacji”. Jej opłakane skutki społeczne stały się dość wcześnie oczywiste. Ale elita intelektualna nie zdecydowała się na energiczniejsze wystąpienia, na szukanie porozumienia z robotnikami — naturalnymi sprzymierzeńcami. Zamiast tych wysiłków wołała przyjąć anachroniczne w polskich warunkach ale schlebiające próżności — teorie o zaniku rewolucyjnych tendencji u robotników i przesunięciu ognisk fermentu społecznego do środowisk „proletariatu nauki”. Nie ma w tym kraju cienia rewolucji naukowo-technicznej ale wygodnie było domniemać „na wyrost” zjawiska, symptomatyczne dla wysokiego etapu rozwoju społecznego.

Po czwarte elita intelektualna dała popis aintelektualizmu. Tylko nieliczne grupy marksistowskie (ostatnio także najmłodsza lewica katolicka) próbowały odpowiedzieć na drastyczne pytania gospodarcze, społeczne, polityczne. Cała reszta elity nie zamierzała zweryfikować perspektyw oficjalnego kursu ani wystąpić z całościową alternatywą partyjnej łataniny i indolencji. Nie próbowała sobie bodaj odpowiedzieć na zasadnicze pytania współczesności w kontekście Polski. Nie ma koncepcji na własny użytek, nie ma z czym wyjść do społeczeństwa. Stała się zaprzeczeniem samej istoty intelektualizmu.

Szczególnie drastyczny cień pada na środowisko ekonomistów. Liczył na nich przez pewien czas Gomułka, stworzył większe niż komukolwiek warunki do poznania rzeczywistości gospodarczej. Ekonomiści byli najbardziej świadomi strukturalnego kryzysu gospodarczego, najbardziej kompetentni w określeniu niezbędnych warunków zmiany samobójczego dla Polski kursu. Woleli jednak rozgrywki personalne, wygryzanie wzajemne spod drzwi Białego Domu i jego zwierzchnika, niż przygotowanie zarysu koniecznych i możliwych reform — nawet bez zlecenia biura politycznego czy sekretariatu KC.

Po piąte brak związków elity intelektualnej z szerokimi rzeszami wprowadził między nią a społeczeństwo jakiś fałszywy ton. Pozornie jest to tylko konsekwencja rezygnacji z „pozytywistycznego społecznikowania”. Faktycznie — rzecz sięga o wiele głębiej. Intelektualiści odczuwają coś na kształt nieczystych sumień wobec społeczeństwa (choć, oczywiście, do sumień nie przyznają się, bo to nie modne).

Taki stan nieuchronnie prowadził elitę do głębokiej separacji społecznej. Taki stan obracał się przeciw samej elicie. Zamkniętych w partykularzach — łatwo rozbroić i podporządkować. Apa-

rat partyjny nakładał coraz bardziej hańbiące ograniczenia środowisk naukowych. Sprzyjały temu wewnętrzne antagonizmy, rzeczywista klanowość, ograniczanie awansów naukowych młodziarzy, uleganie naukowym „modom” odległym od potrzeb polskiej codzienności. „Dyktaturę ciemniaków” łatwo narzucono środowiskom artystycznym i literackim, nawet w warunkach drastycznego ograniczenia „mecenatu państwowego” oraz honorariów.

Kolejki po przydziały „wieczorkowych” samochodów, mieszkań z teje puli czy innych — ale „poza kolejką” i rozdzielnikiem, delegacje zagraniczne, miejsca w niepotrzebnych komisjach i ordynarne „chałtury”, Obory, Jabłonny, Kazimierze, ekskluzywne wycieczki „Batorym” — dopełniły miary. Stały się barierą między elitą a najczęściej doświadczoną częścią polskiej społeczności. Stały się wyróżnikiem „życia dla nażycia”. W porównaniu z warunkami zachodnimi były to rozkosze nędzarzy. Ale taka właśnie próba mierzenia i oceny własnej pomyślności, nie w polskim, społecznym kontekście, trasowała nazbyt wielkiej części twórców i „przetwórców” drogę w objęcia władzy, objęcia z których wydostać się trudno. A już prawie wykluczała porozumienie z niewolnikami Polski Ludowej, ludźmi pracy fizycznej.

Owszem, zdarzały się różne wybuchy, głośne i mniej głośne. Ślawetne nadzwyczajne zebranie warszawskich literatów, wyrobiło temu gremium markę bojowników politycznych. W każdym razie stali się jednodniowymi bohaterami światowej prasy. Nam wypadnie odmówić im miana bojowników. Bowiemy już nie raz bezskutecznie manifestowali swą wiedzę o upadku, o degregoladzie i atrofii życia społecznego, o cynicznych poczynaniach biurokracji partyjnej, a mimo to — gdy prowokacja wisiała w powietrzu — raz jeszcze zdecydowali się na ekstatyczną noc protestu i szereg zindywidualizowanych popisów. Czyżby przypuszczali, że od słów niewielokrotnionych społecznym echem mogą się rozsypać kajdany, może się bodaj zarysować gmach nieludzkiej władzy...?

Elita intelektualna w przytłaczającej większości wywodzi się ze środowisk pozarobotniczych i pozachłopskich. Przez wiele lat, niemal jako ekspiacie za przewiny ojców, dziadów, za własne dokonania — potulnie przyjmowała partyjnych nadzorców z robotnikami. Mit się rozwiął, między ludźmi pracy a obcą narosłą ujawniły się rażące różnice. Mimo to wśród intelektualistów nie nastąpiła reorientacja. Pokutę odcierpieli, poprawę własnych warunków z woli partyjnej biurokracji przyjęli jako wyraz „rozgrzeszenia” i akt sprawiedliwości. O ogół społeczeństwa nie mieli się kiedy zatroszczyć. Trzeba było „odrobić” „bezwyjazdowe” lata stalinizmu.

Często wśród post-sanacyjnej, post-endeckiej, post-chadeckiej, post-pepesiackiej, post-liberalnej, post-agrarystycznej części środowisk intelektualnych występuje wyraźna „aseptyka polityczna”. W szczerych rozmowach z tymi ludźmi, którzy niejednokrotnie dawali w przeszłości wyraz swoim pasjom społecznym, występuje swoista „Schadenfreude”: dobrze wam, komuniści, było psioczyć na dawne porządki — powtarzacie teraz bez naszego udziału wszystkie bezceństwa władzy. W tej postawie nie ma cienia „emigracji wewnętrznej”, oporu, sprzeciwu. Jest przyziemny *dés-interessement*, wygodnictwo, ostrożniactwo. Jest jakby świadome scedowanie wszystkich narodowych rachunków na najbardziej niegodne elementy. W imię małej, prywatnej wygody.

Najdrastycznie rysuje się położenie sporej części elity intelektualnej, wywodzącej się z kręgów radykalnej lewicy. Jej sytuację psychiczną komplikuje świadomość własnych „grzechów i błędów”, dwuznaczność osobistych postaw w przeszłości, obawa przed wypomnieniem teźże przeszłości przez wczorajszych przeciwników i dzisiejszych partyjnych pretorianów. W ludziach tych krzyżuje się małowierność z małodusznością, przy której często cyniczny putramentyzm wyrasta do miary cnoty. Większość z nich nie potrafi samorzutnie przekroczyć partyjnej „dyscypliny”, mimo przeświadczenia, że aparat biurokratyczny sprzeniewierzył się zasadom ideowym; mimo świadomości, że nie tylko sytuacja w Polsce ale w całym światowym ruchu komunistycznym wymaga kardynalnej rewizji dogmatów, usunięcia nieprawości, ozdrowieńczego wstrząsu.

Cóż więc ogólnego można powiedzieć o polskiej elicie intelektualnej w ćwierćwiecze jej rozmywania w PRL?

Ciąży nad nią paradoksalnie niska kultura polityczna. Tym większy to paradoks, że na naszym kawałku ziemi darmo szukać człowieka, który stwierdziłby swoje nieorientowanie czy brak przekonań politycznych. Narody doświadczane ciężko przez historię nie mogą dać sobie dyspensy od polityki, choćby nawet bardzo tego pragnęły. A jednak polski świat intelektu, mimo wszelkich pozorów „upolitycznienia” cechuje niezwykle niska kultura polityczna.

Kultura polityki obserwowanej a nie uprawianej.

Powszechne traktowanie polityki jako czegoś, na co trzeba mieć specjalną licencję. Jako czegoś, co dzieje się poza naszym bezpośrednim udziałem i bez pytania nas o zgodę.

Brak instynktu gry, bez którego polityka staje się co najwyżej obserwacją.

Megalomańska pozycja „oceniaczy” albo — choć to intelektualistom nie wypada — „kibiców” politycznych.

Niechęć do aktywności umysłowej na tym odcinku — a więc generalizowanie, stereotypizacja pojęć, szufladkowanie polityków, mumifikacja stosunków na obserwowanej arenie politycznej.

Unikanie rozwiązywania problemów poprzez zamykanie oczu. Hamletowskie gesty odwracania się od polityki. Brak świadomości nieodzownego wyboru w świecie ostrych kantów totalitaryzmu: albo politykę się robi, albo jest się przez politykę „robionym”.

Brak szacunku dla konkretnego społecznego i brak zainteresowania nim, błędzenie albo po „raju” ideologicznych generalistów, albo po „piekle” generalnego nihilizmu.

Dostatek teorii bez praktyki, nadmiar cynizmu, strach przed nieodzownym w polityce „uproszczeniem” a nade wszystko brak sceptycyzmu w ocenie sytuacji społecznej. Rozterki ambiwalencji „ideologii” i polityki, filozofii i praktyki, dialektyki i pragmatyzmu.

Pojęcie „polityka” należy do najbardziej „elastycznych” w słownictwie współczesnego człowieka; w tym wypadku chodzi o politykę skutecznego, racjonalnego sprzeciwu wobec degradacji społeczeństwa polskiego. Chodzi o przygotowanie łożyska dla szerokiej aktywności społecznej, wyzwolenie uspiętej (i usypianej tendencyjnie przez władzę) aktywności, działanie na rzecz zorganizowania oporu szerokich rzesz społeczeństwa, przewodzenie ruchu oporu, przygotowanie go do pełnego wystąpienia w warunkach sprzyjających obaleniu władzy sowiektoidów i Sowietów w Polsce; przygotowanie alternatywy politycznej obecnego systemu.

Czy polska elita intelektualna zdolna jest do podjęcia takiej działalności?

Tak, stać ją na to. Nie ma wszakże podstaw do przypuszczeń, że podjęcie działania z własnej inicjatywy, jedynie na zasadzie świadomości szkód czynionych przez reżym i niebezpieczeństw wynikających stąd dla naszej przyszłości. Konieczny jest bodziec z zewnątrz.

I dlatego dzielę się z Panem niepocieszającą wiedzą o tych, którymi chcielibyśmy się chlubić. Potencjalni sojusznicy i zwolennicy radykalnych zmian czekają w bezczynności. Trzeba ich z tego bezruchu wyrwać. Dokonać tego winna Emigracja Polityczna.

Nim spodziewany rozwój wypadków na światowym forum nie postawi Polski wobec najtrudniejszej próby a sprawę skutecznego oporu i wykorzystania sowieckich kłopotów na Dalekim Wschodzie dla zrzucenia sowieckiego jarzma — nie uczyni znów spóźnioną.

Nim nieskordynowane, desperackie, żywiołowe wybuchy w

środowiskach robotniczych, które lada dzień, lada miesiąc zmienią atmosferę wewnętrzną, nie będą cierpiały jeden po drugim porażek, odbierając tym samym robotnikom wiarę we własne siły i skuteczność oporu wobec partyjnej biurokracji.

Nim fala przygnębienia wśród młodzieży po „sławetnym lańcu” marcowym nie przekształci się w kompletny nihilizm najmłodszego pokolenia polskiej inteligencji, tym bardziej „usprawiedliwiony”, że wielkiemu biciu nie towarzyszyły solidarne akty starszych generacji.

Nim groza niedostatku, bezrobocia, bezwyjściowości nie uczyni z najmłodszych roczników bezwolnego tłumu, do którego żadna pozapartykularna myśl nie dociera.

Polska przekroczyła już granicę narodowego zagrożenia. Elita intelektualna ma tę świadomość. Niechże to będzie zapowiedzią jej przejścia od rzadkich słów do koniecznych czynów politycznych.



*„Spiekłe, milczeniem swym wymowne wargi,
Bary zgniecione trudem lat kolei,
Z ponurym losem nie idzie w zatargi
Bo stracił nawet nadzieję nadziei”.*

Franciszek Nowicki

We współczesnej cywilizacji „wolność i demokrację” najwłaściwiej mierzyć prawami i swobodami robotników. Jeżeli ich zrzeszeń nie ograniczają ustawy, jeżeli możliwość strajków nie jest fikcyjnym, propagandowym ozdobnikiem — to i reszta praw obywatelskich odpowiada wyobrażeniom o wolności i demokracji — marksowskiej także. Odwrotnie, każda próba reglamentacji wolności robotniczych zapowiada deformację praw politycznych ogółu ludności.

W krajach wysokorozwiniętych przeświadczenie o celowości ograniczenia demokratycznych praw robotnika minęło bezpowrotnie z okresem faszyzmu. Państwa zapóźnione w rozwoju posługują się nim jawnie, choć nie tak drastycznie jak hitlerowcy (Portugalia, Grecja, Hiszpania). Ostrze ograniczeń wymierzone jest głównie przeciw robotnikom. Gdzie indziej (Afryka Południowa, Rodezja, niektóre państwa Ameryki Łacińskiej) wykorzystuje się zbieżność klasowych i rasowych podziałów dla ukrycia antyrobotniczej istoty ograniczeń politycznych. Wreszcie na ogromnej części naszej planety stosuje się demagogiczny kamuflaż dla ukrycia antyrobotniczego charakteru władzy.

To ostatnie stwierdzenie dotyczy krajów rządzonych przez ko-

munistów. Stosunki między władzą komunistyczną a robotnikami, w których rzekomo imieniu władza ta jest sprawowana, to najważniejszy punkt doktryny sowieckiej. Szczególnie wobec faktu, że komunizm zapanował nad nierozwiniętą częścią świata, gdzie klasa robotnicza jeszcze nie wyrosła w siłę polityczną i nie dojrzała do przejęcia władzy. „Rewolucja” była aktem dokonany przez elitę komunistyczną, wykorzystującą słabość przeciwników politycznych. Sowiecka propaganda nie kryła faktu „niedojrzałości” mas, chociaż formalnie głosiła zwycięstwo tychże robotników i chłopów. W tych warunkach uzasadniona początkowo konieczność ograniczeń swobód demokratycznych z czasem, dzięki emanacji Moskwy, stała się systemem uświęconym i współczesny robotnik (a w krajach komunistycznych poza Polską także chłop) „zaawansował” do roli plebsu na wzór starożytnego Rzymu.

Nie będę się zatrzymywał nad postępującą degradacją „zwycięskiej klasy”. Sowiecka paradowała pozbawiła ową klasę zębów; „zwycięzców” nauczono pełzania i czapkowania; jednostki i całe grupy uchylające się od bezdyskusyjnego podporządkowania się dyktaturze aparatu „ludowej” przemocy zostały zlikwidowane, zhańbione, odsunięte od robotników. Bez klasowego przywództwa, pod „kierownictwem” ludzi reprezentujących interesy państwa, biurokracji, innych klas — ale nie klasy robotniczej, pod usypiające tony fałszywych pochlebstw i pozornych wyróżnień — we wszystkich krajach sowieckiego porządku stali się robotnicy stadem nie zdolnym do skutecznej walki. Coraz bardziej serwilistycznym, zadowolającym się coraz skromniejszym — w porównaniu z innymi grupami współobywateli — kawałkiem chleba.

Aktualna sytuacja robotników wynika w mniejszej mierze z presji politycznej, niż ekonomicznej. Mimo wiadomych dokonań stalinizmu i jego narodowych odmian w kdl'ach, sowieci i sowiecidzi stosunkowo łagodnie traktowali właśnie robotników. Głównym instrumentem ich ciemnienia stały się plany „gigantycznego rozwoju”, które powodowały dopuszczenie do produkcji przemysłowej wielkich ilości pozbawionych innych źródeł utrzymania byłych mieszczan, kobiet oraz chłopów. Ta konkurencyjna siła robocza, przed którą nie bronił się wierzący w pozytywną przyszłość prawdziwy robotnik, szybko go zmajoryzowała. Samo podjęcie fizycznej pracy produkcyjnej nie zmieniło jej psychiki, natomiast wpłynęło ujemnie na klasę robotniczą, uczyniło ją bezwolną masą. Tak oto za dialektycznymi łamańcami o likwidacji klas w krajach typu sowieckiego kryje się prawda o likwidacji ale klasy robotniczej, o pozbawieniu jej zdolności samodzielnego organizowania i nawet ochrony własnych interesów. Można więc stwierdzić, że pod władzą komunistyczną nastąpił regres stosunków społecznych.

Pierwsze generacje współczesnych robotników np. na Zachodzie także wywodziły się z chłopstwa i miejskich łyków, ale podczas kilkudziesięciu lat walki o własne prawa osiągnęły także walory, którymi wciąż jeszcze nie może się chlubić obecny stan robotniczy czy raczej plebs robotniczy w krajach naszego „obozu socjalistycznego”.

Nie wszędzie w obozie socjalistycznym jarzmo regresu robotnicy odczuwają równie boleśnie. Nie wszędzie sytuacja psychiczna całej rzeszy, nie tylko robotników z tradycjami rodzinnymi, jest jednakowo ciężka. Najcięższa — prawdopodobnie najcięższa w porównaniu ze wszystkimi krajami świata — jest w Polsce. Żaden reżym nie waży się tak bezkarnie i niefrasobliwie deptać robotniczych praw. W dyktaturach pozakomunistycznych powoduje to gwałtowne, burzliwe sprzeciwy. W dyktaturach typu sowieckiego nie utrzymuje się podobne do polskiego rozwarstwienie społeczne, które wyostrza upośledzenie statusu robotników.

Najpierw z niedowierzaniem, później — w miarę wzrostu własnych negatywnych doświadczeń — coraz baczniej lewica polska nadśluchiwała wieści z krnąbrnej Jugosławii. W październiku 1956 roku nikomu nie trzeba było wyjaśniać istoty rad robotniczych. Wprowadzone je żywiłowo. Był to masowy egzamin dojrzałości tych, co proklamowali prawdziwy samorząd robotniczy nim Gomułka w ogóle zdążył się w tej sprawie wypowiedzieć i mieć coś na przeciw. Oraz robotników, którzy po raz pierwszy w polskiej historii poczuli się istotnie współgospodarzami swoich warsztatów pracy.

W krajach sowieckiej konduity był to wypadek wyjątkowy. Ale stał się on faktem dokonanym i wzbudził wielkie nadzieje na odmianę. Stworzył nową sytuację społeczną, wyzwolił aktywność robotniczą. Tylko na dwa lata. Rady robotnicze zostały skutecznie pogrzebane przez niemiłościwie panujące zwierzchnictwo partyjne. Dla zatarcia śladów przestępstwa utrzymano jedynie nazwę. Faktyczne bowiem funkcje tzw. konferencji samorządu robotniczego są zaprzeczeniem jakiegokolwiek samorządności, są śrubą tym boleśniej przykręcaną robotnikom, że nie mogą oni pojąć racjonalnych względów tej nakazanej reinkarnacji i podstaw do pozbawienia ich osiągniętego już wpływu na działalność przedsiębiorstw. Takiej porażki nie zaznali nawet robotnicy „zbuntowanej” Czechosłowacji w 1968 roku. Kasacja ich swobód biegła równoległe z narzucaniem niewoli całemu narodowi. Zmianę musiały proklamować obce czołgi i działa.

Mogę domniemać, że dla Pana sprawa samorządności robotniczej nie jest najistotniejsza. System kapitalistyczny znalazł inne

rozwiązania stosunków między pracodawcą a pracownikiem, pozornie bardziej efektywne dla obydwu stron. Mam co do tego wątpliwości, chociaż, przynajmę, „pokój społeczny” w krainach dobrobytu budzi nawet nasze niedowierzanie. Powinien Pan wszakże zrozumieć, że nasz kraj nigdy nie był oazą szczęśliwości i sytości. Dobór właściwych instrumentów społeczno-politycznych nabiera tutaj tym donioślejszego znaczenia. Zechce więc Pan zatrzymać się chwilę nad uzasadnieniem właściwości rad robotniczych w Polsce.

Robotnikom naszym wygodniej byłoby uznać przedsiębiorstwa za własność państwową i, tak jak w Anglii, wysuwać wobec nich żądania za pośrednictwem w pełni niezależnych organów związkowych. Niestety, w krajach zaniedbanych przez poprzednie pokolenia, na robotnika spada dotkliwy haracz kosztów budowania przyszości. Dlatego w radzie robotniczej awansowaliśmy go do roli współgospodarza fabryki, posadzili z tej samej strony biurka co dyrektora a nawet pozwolili mu sprawować kuratelę nad dyrektorem. Dyrektorzy też ponoć strajkują na Zachodzie. Polska do tego jeszcze nie dojrzała. Współgospodarzący, partycypujący w zyskach robotnik myślał o powiększaniu dochodów swojego przedsiębiorstwa a nie o ich ograniczaniu przez niepokoje i strajki.

Widzieliśmy rady robotnicze jako instrument demokracji robotniczej, jako polityczne, a nie policyjno-administracyjne, ograniczenie sprzeciwu wobec nieuchronnych kosztów przyspieszonego rozwoju gospodarczego. Jako najskuteczniejsze zabezpieczenie przed biurokracyzją i degeneracją, przed kumoterstwem i prerostami etatowymi aparatu administracyjnego, przed nieróbstwem i niedbalstwem. Jako instrument podnoszenia robotnika do pozycji obywatela, interesującego się coraz bardziej mechanizmem funkcjonowania gospodarki, uczącego się spekulatywnego i abstrakcyjnego myślenia, opanowującego — dzięki praktyce a nie wstępiakom z gazet — coraz obszerniejszą problematykę spraw publicznych.

Rady robotnicze zdolne są do wyzwalania energii robotniczej, do rozwijania „oddolnej inicjatywy” i jednocześnie pogłębiania świadomej dyscypliny w większych zespołach produkcyjnych.

Rady robotnicze, dzięki dysponowaniu znacznie większymi funduszami przeznaczonymi na różne produkcyjne i pozaprodukcyjne cele, są szkołą gospodarowania zespołowego, uczą trudnej sztuki wyboru, uświadamiają robotnikom rzeczywiste granice możliwego. Jawność bilansów przedsiębiorstwa chroni załogi przed deprymującym poczuciem obcości, pracy „nie na własnym”.

Rady robotnicze prowadzą wreszcie nieuchronnie do ograniczenia funkcji centralistycznego państwa, centralnego planowania

gospodarczego i wszechmocy aparatu partyjnego — owych podstawowych klęsk komunizmu. Tego ostatniego sowietoidzi boją się najbardziej. Pójdą na wszystkie koncesje dla chłopów, inteligencji, urzędników, intelektualistów, Kościoła, świadków Jehowy — tylko nie na rady robotnicze dla robotników. Tym właśnie wyróżnia się „demokracja ludowa” — *dyktatura nad proletariatem*. W sporze o kształt instytucji komunistycznych — to jest najważniejsze. „Konferencja samorządu robotniczego” czy „związki zawodowe” sowieckiego typu wywodzą się wprost z ducha korporacjonizmu, z tradycji „żółtych związków” i pełnią ich przedwzorcześniejsze funkcje w dzisiejszym świecie czerwonego terronu antyrobotniczego.

Rady robotnicze były jedynym realnym sprawdzianem postalinowskiego awansu robotniczego w społeczeństwie, które od 1956 roku przeżywało euforie sprzyjającej koniunktury. Przebiegała ona pod hasłami likwidacji nonsensów gospodarczych i poprawy warunków egzystencji, likwidacji stanu zagrożenia powszechnego i rozszerzenia wolności obywatelskich. *Likwidacja rad robotniczych postawiła ogół robotniczy w sytuacji wyjątkowej na tle rzeczywistej poprawy położenia wszystkich innych grup ludności.*

Po dwóch latach (1957-58) istotnie wysokiego wzrostu zarobków robotniczych, nastąpiło ich zdecydowane zahamowanie, systematyczne obniżanie realnej wartości dochodów i wreszcie, w roku bieżącym zarządono nawet obniżkę nominalnych wypłat dla robotników. W tym samym czasie miał miejsce bardzo wysoki rozwój gospodarstwa wiejskiego; umocnienie się obszernej — łącznie z członkami rodzin liczącej około 4 % ludności — grupy podatników podatku dochodowego i obrotowego, którzy nadali stosunkom popaździernikowym swoistego kolorytu; gwałtowny wzrost poborów w całym aparacie administracyjnym, ścigania i wymiaru sprawiedliwości, a także kadry technicznej i administracyjnej w przemyśle. W sytuacji upośledzonej znalazł się tylko personel służby zdrowia, nauczycielstwo i, częściowo, aparat handlu wewnętrznego.

Popaździernikowe przedsięwzięcia „porządkujące” najdotkliwiej godziły w robotników. Mam na myśli przede wszystkim likwidację stołówek fabrycznych i ograniczenie asygnowanych na nie nakładów, zaostrzenie reżymu wypłat zasiłków ZUS, ograniczenie państwowego budownictwa mieszkaniowego i cały zespół zmian w zakresie polityki mieszkaniowej, wzrost cen artykułów pierwszej potrzeby, wielokrotne okresowe ograniczenia liczebne załóg aż do tegorocznych masowych zwolnień, brak miejsc pracy w wielu okolicach kraju, zmiany taryfikatorów, zaszeregowania itd.

Nie wchodzę w konieczność tych zmian. Istotny jest dla na-

szych rozważań bezsporny fakt, że wszystkie przedsięwzięcia porządkujące najdotkliwiej godziły w robotników, że stopniowo pozabawiały ich korzyści zdobytych w pierwszych latach po październiku i zdecydowanie dystansowały od reszty społeczeństwa. Nie wnikam w celowość tych przedsięwzięć, podpowiadanych Gomułce przez różne „szkoły ekonomiczne” i nie tworzących żadnego zwartego systemu naprawy, nie dających żadnych perspektyw poprawy ogólnego stanu gospodarczego państwa. Ten chroniczny brak koncepcji musiał doprowadzić do katastrofy. Charakterystyczne, jak zapisała się ona w wydarzeniach lat 1968-69. Oto poszukano „syjonistycznych” kozłów ofiarnych i pod dymną zasłoną propagandową tej ofiary najmocniej uderzono w promotorów rad robotniczych — od Staszewskiego do Kuronia i Modzelewskiego. Rozprawiono się z całą bezwzględnością z przejawiającymi ochotę do reprezentowania robotniczych interesów intelektualistami, inteligencją techniczną, z menadżerami gospodarczymi związanymi ze środowiskiem robotniczym. Oczyszczono aparat partyjny z ludzi naznaczonych „grzechem” rad robotniczych z okresu Października oraz tych, co to zdradzali niezdrowe tendencje do identyfikowania się z robotnikami. Oczyszczono fabryki z ludzi nie skorych do posłuchu wobec komitetów partyjnych i utrudniających schematyczną „pracę ideologiczną”.

Taki był istotny sens marca. Od 1966 roku wiadomo było w Białym Domu, że aktualny pięcioletni plan okaże się fikcją, że wypadnie wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. Na ten przykry seans należało się wszakże zabezpieczyć przed głosem robotników. Należało przysposobić ich pod względem psychicznym, żeby nie roili się im samowolne wystąpienia oraz żeby nie mieli potencjalnych przywódców. W końcu jako nowy katechizm dla gospodarki narodowej zatwierdzono koncepcję Jaszczuka-Odnowiciela, najbardziej antyrobotniczą ze wszystkich propozycji, jakie na tę okazję przygotowano. Wynika z niej konieczność dalszego „zaciśnięcia pasa” przez robotników, bez żadnej nadziei na poprawę sytuacji, za to przy pełnej świadomości coraz gorszego, droższego i bardziej szwankującego zaopatrzenia rynku, oraz świadomości faktu, że rzeczywisty stan bezrobocia w Polsce może się jedynie mierzyć z bezrobociem w Sowietach. Armia bezrobotnych za fabryczną bramą powinna, zdaniem polskich wielkorządców, utrzymać karność załóg robotniczych. Brak robotniczego przywództwa, zaostrenie rygorów dyscypliny wewnątrzzakładowej, wzmocnienie nadzoru policyjno-ormowskiego nad załogami, cały system psychologicznych przedsięwzięć sugerujących wszechobecność „oka i ucha” władzy — mają do reszty spacyfikować środowiska robotnicze.

Odległemu, jak Pan, obserwatorowi powyższa relacja wydać

się może przesadzona. Przecież wiadomo, że polscy robotnicy tylko w bardzo niewielu przypadkach odważyli się na jakieś wystąpienia: Poznań, Łódź, Warszawa — 1956-57, Śląsk — w okresach braku mięsa w latach pięćdziesiątych, sporadyczne wywożenie na taczkach po Październiku, operetkowa „republika olkuska” w tymże okresie. To nie wielki rejestr, świadczący raczej o „pokojowości”, uległości polskich robotników.

To stanowi jedynie o braku normalnej informacji dla kształtowania poglądów o Polsce. Prawda na temat polskiej odmiany „pokoju społecznego” jest zdecydowanie inna. Tej prawdy panicznie boją się każdorazowi możnowładcy z Białego Domu. Przez dziesięć ostatnich lat *nie było jednego dnia bez jakiegoś wyrażonego niepokoju, bez jawnej demonstracji sprzeciwu robotniczego w Polsce*. Nie mają one szerszego zakresu, ograniczają się do spraw najbliższych i lokalizują w ramach jednej fabryki czy jednego tylko oddziału. Niemniej są, niemniej wiadomo o nich a Gomułka *et consortes* przywiązują do każdego wypadku niezwykle znaczenie. Niech-no tylko w byle grajdołku grupka robotników odmówi podjęcia pracy a po pół godzinie dwadzieścia „koronowanych głów” i tyłuż matadorów w generalskich szlifach wisi u „we-cze” i rządówki, w rządowych mercedesach i komitetowych wołgach pędzi do niebezpiecznego miejsca. Siadają w gabinecie sekretarza komitetu miejskiego, komendanta MO, dyrektora fabryki i — w zależności od potrzeb — natychmiast decydują o posunięciach koniecznych do „wygaszenia pożaru”. Główne — by go zlokalizować, by się nie przetrzucił na inny teren. Najważniejsze, by nie podpaść Gomułce, który większe przywiązuje znaczenie do wiecu 200 robotników na przedmieściu Krakowa, niż manifestacji tyłuż literatów na Krakowskim Przedmieściu. Świadomość starego działacza liniowego przypomina mu jak groźny staje się tłum robotniczy.

Nie będę wdawał się w wydarzenia ostatnich tygodni, świadczące o tym, że robotnicy już się ruszają. Pewnie przenikną do wiadomości Zachodu relacje o wypadkach w Żyrardowie, Starachowicach, w Łodzi, na Śląsku. Są to zjawiska groźne dla władzy ale jednocześnie stanowiące o doraźnym charakterze działania i o desperacji uczestników. Sięgnę raczej do innego przykładu sprzed kilku lat. Oto w osławionym Turosszowie, wielkim kombinacie energetycznym (w związku z którym Ulbrycht znów zademonstrował swoją koncepcję przyjaźni, rezygnując z odbioru ustalonych ilości węgla brunatnego), przez przeszło rok trwała beznadziejna walka sekretarza wrocławskiego komitetu PZPR przeciw miejscowej organizacji partyjnej. Organizacja odrzucała „przywożonych w tecze” kandydatów i wciąż wybierała na sekretarza miejs-

cowego komitetu partyjnego śmiesznego dla niej, źle mówiącego po polsku Żyda spawacza, typowego nieszczęśnika cieszącego się protekcyjną sympatią robotników. Komitet odmawiał zatwierdzenia wyboru, agitował, prosił, groził — wyniki tajnych wyborów wciąż przesądzały sprawę. Bohater rezygnował z mandatu ale i to nie odnosiło skutku. Dopiero kiedy gra zaczęła być groźna dla jego egzystencji, towarzysze udzielili mu absolutorium.

Wybrałem ten przykład z wielu podobnych, bowiem wyróżnia się on niezwykle wyrazistością i wszechstronnością.

Sprawa nabrała rozgłosu wśród kadry węglowej w całej Polsce. Stała się „koronnym” dowodem, że wielkie przedsiębiorstwo może z powodzeniem, bez społecznych wstrząsów wykonywać plany mimo braku stałego oficjalno-partyjnego nadzoru i jego mieszania się we wszystkie bieżące kwestie.

Organizacji partyjnej i jej robotniczej większości przysparza niezwyklego splendoru. Jest ona daleka od filosemickich zapałów, ale trafnie wykorzystwała antysemitkę koniunkturę wrocławskiego komitetu, by przez kreowanie na swojego szefa Żyda — wyrazić własne niezadowolenie. Wskazuje na umiejętność znajdowania bezpiecznych dla siebie i dotkliwych dla władzy form politycznych demonstracji. Problem obsady stanowiska partyjnego wynikł bez specjalnego napięcia stosunków w Turossowie, nie był aktem desperacji robotników-partyjniaków, nie znamionował nawet dążenia do ostrej konfrontacji z władzami.

Przykład tym głębszą ma wymowę, że odzwierciedla nastroje wśród jednych z najlepiej zaopatrzonych robotników w kraju, którzy otrzymują wysokie płace i specjalny „dodatek turossowski”, posiadają „kartę górnika”, gdzie wyjątkowo sprawnie działa system rozdziału mieszkań, istnieją szerokie możliwości taniego nabycia siedziby o charakterze półrolniczym, zaopatrzenie sklepów mniej szwankuje niż gdzie indziej, a zaplecze socjalno-bytowe rozbudowano ponad potrzeby załogi. Mimo to wszystko w opisanym wydarzeniu znaleźć można brak uznania dla tych, którzy przy byle okazji podkreślają dobrodziejstwa przysporzone robotnikom przez partię. Można więc sobie łatwo wyobrazić, o ile mniejszą sympatią darzy biurokratów nazywających się partią, upośledzona materialnie większość polskich robotników.

Wreszcie zauważmy, że turossowskie środowisko robotnicze jest mniej spoiste i solidarne, nie legitymuje się starszymi tradycjami robotniczymi, niż setki innych starszych i grupujących ludzi o wyższych kwalifikacjach zawodowych zespołów przemysłowych, hutniczych czy kopalnianych. Jeżeli decyduje się ono na podobne demonstracje, proszę sobie wyobrazić jak dotkliwe dla biurokracji mogą być wymykające się spod kontroli partyjnej pocz-

nania robotników, których trudno szachować usunięciem ze stanowiska czy pozbawieniem stypendium twórczego.

Żadna kompetentna placówka nie przedstawiła dotychczas rezultatu badań politycznej genealogii współczesnych robotników. Nie oznacza to kompletnego braku zainteresowań tą dziedziną. Przeciwnie, można nawet stwierdzić, że odpowiednie badania były prowadzone zgodnie z wymogami sztuki socjologicznej. Dlaczego więc kierownictwo partyjne i aparat propagandy tak powściągliwie traktują ich wyniki? Otóż upartyjnienie robotników tworzy coś na kształt bardzo wysmukłego stożka. U wierzchołka znajdują się najstarsze generacje robotnicze i tam, wśród ludzi ponad sześćdziesięcioletnich, odsetek upartyjnienia schodzi do ułamka procentu. Wśród najmłodszych „partyjniaków z ostatniej łapanki”, gdzie procent upartyjnienia jest stosunkowo wysoki, świadomość ideowa, klasowa i ogólnopolityczne zorientowanie są kompromitujące. Tak więc jest to obraz nie polskiej partii robotniczej a p r y m i t y w n e j partii robotniczej.

Wśród aktualnych robotników o robotniczym stażu zawodowym ponad 15-letnim, jest nieproporcjonalnie dużo b y ł y c h członków i aktywistów partyjnych, związkowych, zetwuemowskich, zetempowskich oraz — wśród najstarszych — członków i działaczy klasowych związków zawodowych oraz innych zdecydowanie lewicowych organizacji. Czyli, należy wnioskować, nie zawsze „przewodnia siła narodu” była równie prymitywna co dziś, jeżeli chodzi o uczestniczenie w niej robotników.

Można by przypuścić, że skład partyjny robotników pogorszył się w związku z „awansami” społecznymi starych robotników. Trudno byłoby wszakże znaleźć ich wśród partyjnej biurokracji, dygnitarzy państwowych czy na poważnych stanowiskach w przemyśle. Ostatnim prawdziwym robotnikiem przemysłowym w rządzie polskim był Eugeniusz Stawiński. Sam Gomułka nigdy robotnikiem nie był. Tak więc nawet zakłamana partyjna propaganda nie waży się wysuwać tego rodzaju argumentacji dla wytłumaczenia dziwnego zjawiska niepopularności partii wśród robotników. Dość, że ogólny poziom upartyjnienia robotników jest znacznie niższy, niż we wszystkich pozostałych grupach miejskiej ludności pracującej.

Współczesne środowiska robotników przemysłowych wyróżniają się więc nie tylko najcięższym położeniem, brakiem przywódców ale również bardzo wysoką — jak na stosunki totalitarne — moralno-polityczną czystością szeregów. Zniknął przedpaździernikowy typ „aktywisty” — robotnika, poświęcającego czas i siły po odpracowaniu zmiany na różne — potrzebne i niepotrzebne, sensowne i bezsensowne — akcje gospodarcze i propa-

gandowe. Nie udaje się zagrzać do darmowej roboty nikogo. Tym mniej — wykrzesać pozory entuzjazmu. Wszystkie zlecenia partyjnych i związkowych biurokratów biorą na siebie „aktywiści” nowego pokroju, faktyczni funkcjonariusze, opłacani jednak nie z oficjalnej listy partyjnej czy związkowej ale przez zapisywanie im fikcyjnych dniówek i nadgodzin. Nędzna „arystokracja robotnicza”, z reguły o niskich kwalifikacjach zawodowych i moralnych, w dużej części złożona z byłych aparatczyków niższego rzędu — traktowana jest w przedsiębiorstwach i osiedlach robotniczych w najlepszym wypadku jako „obce ciało”. Ten ostracyzm wyraża zarazem dezaprobatę i potępienie systemu gwałcącego elementarne zasady sprawiedliwości społecznej.

Robotnik w fabryce to jeszcze istota wysoce zdyscyplinowana, lecz dyscyplina ta pęka zaraz za fabryczną bramą. W ostatnich latach robotnik odebrał wsi tradycyjny championat upijania się. Z kronik i analiz milicyjnych wynika, że nałóg ten — charakterystyczny dla niewykwalifikowanych, głównie budowlanych i drogowych — robotników, pleni się coraz powszechniej wśród robotników przemysłowych, o ustalonej pozycji zawodowej. Jest to symptom sytuacji psychicznej robotnika. Jest to efekt określonej „polityki”, rodem z Sowietów: niechże klasa robotnicza „uży” sobie przy szynkwasiu zamiast przy politycznej rozróbce.

W rejestrach skazanych z roku na rok rośnie procentowy udział robotników. Jeden z naiwnych naukowców przedstawił niepokojące dane, „wysokie czynniki” nakazały swojemu aparatowi podważyć wymowę liczb i wskaźników. Celem przygotowania wówczas argumentacji na wypadek ujawnienia naukowej analizy. Jednak nawet po odrzuceniu wyroków za zabór mienia społecznego, po odrzuceniu spraw robotników bez kwalifikacji zawodowych, po odliczeniu przestępstw popełnionych przez robotników poniżej 25 roku życia — wskaźniki dowodziły z całą stanowczością, że warunki stworzone robotnikom przez władzę „ludową” i klimat faktycznej deprecjacji ich pracy — powoduje głębsze kolizje z kodeksem karnym i administracyjnym, niż działa się to w warunkach kapitalistycznej Polski.

Oczywiście sąd i kolegium karno-administracyjne (z którego, *nota-bene*, Gomułce i Moczarowi udało się wreszcie przepędzić robotników. Wśród członków kompletów orzekających oficjalnie jest robotników 20-25 %. W istocie znaczną część stanowią funkcjonariusze dołowych ogniw partyjnych i związkowych) — organa ludowej sprawiedliwości stanowią szczególnie drastyczne zwierciadło. Przegląda się w nim niewielka część świata robotniczego. Nasuwa się więc przypuszczenie, że jednak przeciętna sytuacja robotnika jest bardziej znośna, gdyż nie prowokuje do

nieobliczalnych czy drastycznych czynów. Ale to nieprawda. Ogólne i powszechne warunki życia polskiego robotnika są nieznośne. Dla ich uplastycznienia trzeba by spisać tom. Do tego co już powiedziałem dodam tylko, że gdziekolwiek by się nie ruszył — musi zadowolić się statusem pariasa. Sieć handlowa w rejonach i osiedlach o przewadze robotniczej jest zaopatrywana znacznie gorzej, niż w nadal urzędniczych śródmieściach i „eleganckich dzielnicach”. Gorzej — a więc w towary nieatrakcyjne, niższego gatunku i wcale nietańsze.

Wobec funkcjonariuszy służb publicznych, z którymi styka się — robotnik jest bezbronny. Przede wszystkim ciąży obcość aparatu rad narodowych, milicji, sądów służby zdrowia, miejskiej komunikacji, kolei dojazdowych, handlu. Służby publiczne okupuje element wiejski, małomiasteczkowy, drobnomieszczański — i on to ukazuje robotnikowi niechętną i niezyczliwą „twarz władzy”. Nie stało się tak według z góry powziętego zamiaru, jednak tak jest i żadne propagandowe „zagrania”, w rodzaju „ułatwień dla świata pracy”, nie zmienia samej istoty i sposobów panowania aparatu publicznego nad robotnikiem.

Czy sytuacja robotników może ulec dalszemu pogorszeniu? Ekonomicznie — tak. W sensie społeczno-psychicznym — nie. „Władza robotnicza” nie wymyśli już nic nowego dla pognębienia ogółu robotników. Różne aspekty jego sytuacji będą się rysować ostrzej, konflikty będą się pogłębiać ale wszystko w ramach ustabilizowanego systemu.

Z powyższego wywodu wynikałoby, że ogół robotniczy jest tej władzy zdecydowanie przeciwny i ma wreszcie dość samego systemu. Ale tak nie jest. Głównie dlatego, że *robotnicy nie znajdują alternatywy obecnych stosunków*.

Jeżeli nawet do Pańskiego Londynu czy Paryża dociera polska prasa, nie zdoła Pan z niej wyczytać, jak raktycznie przygotowuje się tu móżgi robotnicze i pozbawia je „nadziei nadziei”. Towar na eksport to *Trybuna Ludu*, *Życie Warszawy*, kolorowe tygodniki. Świadomość robotnika przygotowują wojewódzkie szmatławce, które nie znają miary w przeczernianiu obrazu Zachodu i rozjaśnianiu krajowych horyzontów. Z tych *Głosew Robotniczych* i *Sztandarów Ludu* wynika np., że recesyjne objawy gospodarcze, tegoroczne niepokoje giełdowe, ostre batalie strajkowe — są symptomami nieuniknionej katastrofy. Każdy konflikt — a cóż dopiero burzliwa wiosna i lato we Włoszech, strajk dokerów w Anglii, wzrost bezrobocia w USA — podlegają preparatorskim zabiegom ARu, Interpressu, i miejscowych pismaków, zmierzających do wykazania nieznośnej sytuacji robotniczej na Zachodzie.

Stosunkowo niedawno dane mi było wysłuchać „lektora” par-

tyjnego. Z prelekcji wynikało, że NRF zabiega o odprężenie stosunków ze Wschodem ponieważ... zmuszają ją do tego trudności zbytu produkcji i groźba kryzysu. Ten „wszechwiedzący” — z łaski biurokracji, człowieczek zupełnie niedwuznacznie naprowadzał na myśl, jakoby strona polska wahała się przed podjęciem dialogu również w kwestii pożyczek, koprodukcji, licencji itd. Jeżeli jeden z „zaufanych” tak właśnie „ustawia” kwestie, to wiadomo, jest już ogólna instrukcja „z góry”. Cała sfera nastawiona na rozsiewanie „konfidencji” i „poufności” robi identycznie. Nie można się więc dziwić, że robotnik w którego świadomości współczesny kapitalizm i przedwojenny kapitalizm polski to jedno — skłonny jest raczej wierzyć znanej mu z obłudy (ale — jak sądzi — tylko w sprawach krajowych) prasie miejscowej, niż „Wolnej Europie”. Skoro na Zachodzie robotnicy znajdują się w ciągłym zagrożeniu, muszą toczyć ciężkie walki strajkowe o swoje „prawa do życia” — polski robotnik nie znajduje żadnej alternatywy władzy i istniejącego systemu.

Bo, proszę Pana, w Polsce nawet wśród dzisiejszej inteligencji, większość „myśli” jedynie kategoriami dwóch możliwości: albo okrutny socjalizm albo okrutny kapitalizm. *Tertio non datur...*

Robotnik polski pragnie jedynie tego, co wszystkie poprzednie pokolenia robotników: poprawy warunków ekonomicznych; uznania dla swojej pracy; lepszego jej zorganizowania i wprowadzenia udogodnień; uznania dla swojej funkcji społecznej nie tylko w dniu 1 maja; sprawiedliwszego podziału obciążeń i przywilejów między różne warstwy i grupy społeczne.

Pragnienia te żyją życiem utajonym. Pragnienia te nie znajdują i nie znajdują głośnego wyrazu, dopóki ogłuszającej robotnika propagandzie (że jedyną właściwą drogę wybrała „góra” partyjna) nie przeciwstawi się skutecznej akcji uświadamiania o fałszu reżymowej agitacji. Dopóki nie określi się systemu polityczno-społecznego, w którym mógłby oczekiwać spełnienia swoich dążeń. Dopóki nie uświadomi się robotnikom siły, jaką dysponują. Dopóki nie wskaże się sposobów właściwego wykorzystania tej siły.

W dotychczasowej historii Polski, tej, którą skłonni jesteście, Panowie, uznawać za prawdziwą, niezafałszowaną, robotnik nie doczekał się jeszcze miejsca w panteonie politycznym, nigdy nie odegrał rzeczywiście samodzielnej roli.

Nasi tutejsi prestidigitatorzy historyczni, dla ukrycia przepaści między elitą komunistyczną a robotnikami, fałszywie tę rolę wyolbrzymiają, co tym bardziej nastawia Panów do robotników z wielką rezerwą. Na domiar wiecie, że większość robotników — jeżeli nie z poparciem to z życzliwym zainteresowaniem — od-

niosła się do Lublina i Łodzi wówczas, gdy reszta miejskiego żywiołu ówczesnej Polski z rozpaczą oglądała się na Londyn.

Może w tych zjawiskach znaleźlibyśmy nieco uzasadnienia dla emigranckich rojeń o sile Zachodu, o oparciu się na warstwach średnich dzisiejszego społeczeństwa w kraju...? Może po prostu niezbyt czyste sumienie tych, co znaleźli się w Londynach, z pełną świadomością zawodu zgotowanego robotnikom przez międzywojenną Polskę, nakazuje im niewiarę w możliwość jakiegoś porozumienia z największą i najgroźniejszą siłą społeczną każdego współczesnego narodu...? Może działają takie same hamulce, jak u intelektualistów w kraju?...

Nie chcę wnikać w skomplikowany splot uwarunkowań. Zarysowałem sytuację, by rozwiązać choć część wątpliwości. By wykluczyć Pańskie i Pańskich veto na współpracę z kręgami robotniczymi, na uznanie za kwestię podstawową polityczne ożywienie właśnie tych sił społecznych.

Paradoks historii powoduje, że historyczna rola polskiego robotnika po raz drugi ma ujawnić się w konfrontacji z pierwszym państwem proletariackim. Poprzednio był to incydent tylko, rok 1920. Tym razem powinno to być trwałe zwycięstwo, przekształcające nasz kraj w rzeczywistość ojczyznę ludzi pracy.



*„Przestałem się wadzić z Bogiem
Serdeczne to były zwady.
Zrodziła je ludzka niedola
Na którą już nie ma rady.*

*...Lecz już nie wadząc się z Bogiem
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dnie tego spokoju
Zar świętej wojny tleje”.*

Jan Kasprzowicz

Nie wiem czy moje prorobotnicze filipiki przekonają Pana i Pańskich o konieczności oparcia się o najbardziej gnębianą w systemie biurokratycznym część społeczeństwa. Emigracja najwyraźniej orientuje się na te siły, które najbardziej przypominają jej przedwojenną scenę polską. Spróbujmy więc przyjrzeć się bliżej tym siłom.

W świadomości stałego słuchacza „Wolnej Europy” — a więc bądź co bądź głosu Polski Zagranicznej — jednodzielność Watykanu, Kościoła Powszechnego i Kościoła w Polsce nie pozostawia najmniejszej wątpliwości. Czasami nawet dochodzi się do przeko-

niania, że Duch Święty częściej oświeca lokatora pałacu przy ul. Miodowej w Warszawie, niż rządzącę wzgórza Laterańskiego. Że polski prymas i jego episkopat najlepiej rozumieją współczesność, potrzeby Kościoła, potrzeby świata... Tymczasem polityka episkopatu polskiego ani nie święci triumfów ani nie cieszy się powszechnym uznaniem w Polsce.

Wśród intelektualistów zwykło się wyznaczać paralełę między Gomułką a prymasem. Obaj wrócili do władzy dzięki temu samemu przełomowi. Obaj mieli we własnych szeregach — czyli w swoim aparacie — silną opozycję, pokonaną dzięki ogromnemu autorytetowi, jakiego przysporzyły im wiadome poczynania stalinowców. Obaj uwierzyli we własną misję dziejową tak mocno, że wracając na naczelne miejsca nie uznali za konieczne przedstawienie milionom ufających im ludzi realnych programów. Poprzestali na epatowaniu własnym ascetyzmem i podawaniu do wierzenia wycinkowych doraźnych prawd o współczesności. Obaj nie czują się dobrze w roli trybunów ludu. Chętniej oddają się medytacjom w zaciszu gabinetów, gabinetowe rozgrywki stanowią bardziej ich żywioł, niż konwersacja z wielkimi zgromadzeniami szarych ludzi.

Drogę życiową Gomułki wytrasował Stalin. Gdyby nie eksterminacja całego „pierwszego garnituru” polskich komunistów, wszystkich mających odwagę samodzielnego myślenia i niezależnych poszukiwań, Gomułka byłby dziś pewno emerytowanym sekretarzem komitetu miejskiego. Przynależność do niższego aktywu przed wojną i fakt że przeżył Stalina właśnie stanowi jego podstawowy kapitał. Inaczej z kardynałem Wyszyńskim. Gdyby minęła go infuła i pastorał — byłby zgłębiał wiedzę społeczną, byłby gorliwym i płomiennym poszukiwaczem nowej formuły dla utrwalenia znumifikowanego Kościoła. Władza, o którą nie zabiegał, uczyniła go dziwnym mężem stanu. Spuścizna narodowa narzuca mu obowiązki, jakie nie bardzo mieszczą się we współczesnych funkcjach Kościoła. Tradycja polska jest despotyczna — wymaga od duszpasterza aktywności politycznej. Czasem taka aktywność wiodła bez wyroku na staromiejską szubienicę, częściej na sejmową kazalnicy, na szafot w Sokołowie, na Sybir, do „Pszczółki” i „Wieńca”, na front „cudu nad Wisłą”, do senackiej blokady reformy rolnej. Obecnie ogólnopolskie „spodziewanie” oddaje niezwykle hołd poprzednim pokoleniom kleru. Jednak potępienie naszego Kościoła i Jego hierarchii, za obiektywne powstrzymanie rodaków od szajców, płynie z anachronicznych pojęć, nierozumienia polskich przemian społecznych albo po prostu ze złej woli. W umiarkowaniu Kościoła, w jego trzymaniu się z dala od praktyki politycznej przejawia się, moim zdaniem, wy-

soka odpowiedzialność za wiernych i rzetelna świadomość możliwości i niemożliwego w obecnych warunkach.

Odejście Hlonda, Sapięhy, Adamskiego zamknęło okres politycznych aspiracji Kościoła. Zamarły one u nadających ton, osadzonych na wszystkich kluczowych stanowiskach — chłopskich, drobnomieszczańskich i robotniczych synów, bliższych ewangelicznej misji Kościoła, niż grze o Jego potęgę, prowadzonej przez poprzedników z pięknymi herbami lub bodaj ze światową praktyką w służbie Kościoła. W Kościele, jak we wszystkich innych dziedzinach życia publicznego, wyraźne piętno kładzie czas wąskiej profesjonalizacji. Ksiądz przestał być działaczem politycznym, organizatorem społecznym, kierownikiem gospodarczym. Ogranicza swą działalność do kultu. Staje się sługą ludzi łaknących dobrodziejstw wiary. Jeżeli Ksiądz Prymas przewidział takie przemiany i dążył do nich — dobrze to stanowi o jego rozumieniu reorientacji społecznej i konieczności dostosowania się Kościoła. Jeżeli — jak sugerują niektórzy — przyjął kurs, który odpowiada ogółowi współczesnego kleru — także.

Mógłby mi Pan wytknąć niekonsekwencję. Poprzednio bowiem powoływałem się na Camarę, na francuskich księży-robotników, na brazylijskich i hiszpańskich księży-rewolucjonistów. Sprzeczące go niepokoju społeczno-politycznego nowe wartości, ofiarność, talent, zdolności organizatorskie, autorytet. W Polsce ostatniego dwudziestolecia nie ma masowego ruchu, który postawiłby cały Kościół i każdego księdza z osobna wobec konieczności wyboru między „chodzeniem w cuglach” urzędu do spraw wyznań a identyfikowaniem się z prawdziwym sprzeciwem.

Kościół polski ma zupełnie czyste sumienie. Towarzyszył wyznawcom w ich walce okupacyjnej. Towarzyszył ich rozterkom pierwszych lat nowego reżymu i słabnącej nadziei na Zachód. Towarzyszy i dzisiaj w biernym oczekiwaniu na coś, co stać się może.

Kościół krytykuje się głównie jako „jedyną legalną opozycję”. Oznacza to jakoby łatwość jego działania, nie wykorzystaną na skutek poglądów kościelnej zwierzchności. Kościół nie stał się przewodnikiem w walce a nawet ośrodkiem skupienia fermentu. Są to spóźnione o całą epokę refleksje, jest to zastarzałe przesądzenie o wszechstronności misji Kościoła jakiej on sam już nie głosi i nie praktykuje. Najmniej zaś praw do „wybrzydzenia” mają zlaicyzowani intelektualisci — którzy sami w określonych warunkach wybrali izolację społeczną. Czyżby świecka elita intelektualna rzeczywiście uznawała przygotowanie funkcjonariuszy Kościoła do publicznej roboty politycznej za lepsze od tego jakie

sama zdobyła? Skoro dotychczas nie umiała sformować opozycyjnego nurtu, nie może oczekiwać od Kościoła, żeby szafował symbolem Męki Pańskiej, potrzebnym na chwilę decydującej rozgrywki.

Oto dlaczego jestem przeciw „rewolucjonistom” działającym zza barykady kawiarnianego stolika i nie uważam powściągliwości kardynała Wyszyńskiego wobec wypadków marcowych 1968 roku za błąd taktyczny czy etyczną kompromitację. Nadzieje na udział Kościoła w przygotowaniu pospolitego ruszenia przeciw biurokracji partyjnej muszą być zawodne. W tej wielkiej batalii ogólnospołecznej Kościołowi może выпаść rola odwodu, nie siły w pierwszej linii frontu. Odwód okaże się, być może, czynnikiem decydującym o zwycięstwie, ale żadne wstępne układy, żadne porozumienia, żadne uprzednie podziały obowiązków w grę nie wchodzi. Nie liczymy na nie i uważamy, że Panowie, których proszę o partnerstwo, także powinni porzucić myśl o dokonaniu zmian politycznych pod przewodnictwem Kościoła.

Kościół polski drugiej połowy XX wieku z własnej woli i siłą inercji znalazł się daleko od problemów dynamicznego rozwoju społecznego, osiadł na mieliźnie pozornie bezpiecznej struktury przynależnej do innej, minionej epoki. Kościół zewsząd i nie znajduje już alternatywy organicznego powiązania z chłopstwem. Tym chyba tłumaczyć należy m.in. wykruszanie się dynamicznych najcenniejszych jednostek ze świeckich kręgów katolickich. Po ostatniej wojnie można było spodziewać się w Polsce niezwykle urodzaju talentów i rozkwitu myśli katolickiej w wielu dziedzinach nauki i sztuki. Katolicyzm, drastycznie pozbawiony dominującej roli polityczno-społecznej, ciężko doświadczony w latach wojny i powojennych, oczyścić się musiał od przypadkowego elementu. W nowej sytuacji — wydawało się — zacznie poszukiwać, analizować, zgłębiać problemy przeszłości, proponować rozwiązania na jutro.

Dziś jednak nie wydaje się, by polski intelektualizm katolicki miał się czym chlubić. Różne okoliczności skłaniają do przypuszczeń, że próby takiego ruchu nie znajdowały i nie znajdują zrozumienia wśród hierarchii. Dlatego wielu ludzi, którzy startowali pod auspicjami Kościoła, szybko lądowali pod znakami „Paxu”, Frankowskiego, SD a jeszcze częściej — jawnie socjalistycznymi. Orientacja polskiej hierarchii — według zeszlowiecznych pojęć — na zgrzebny lud boży dla którego buduje świątynie, przesłoniła jej znaczenie i wartość poszukiwań intelektualnych. W krajach wolności religijnej czy ustawowego uprzywilejowania Kościoła rozwija się współcześnie poważny dialog ogólnohumanistyczny na temat przyszłości ludzkości. W materialistycznej Polsce tylko przy-

tłumione weta z Krakowa i wytyczna niepospolitowania się z marksistami uchodzą za obowiązujący głos kościelnej zwierzchności.

Dlatego w naszych kontaktach z ludźmi mieniącymi się katolikami czy chrześcijanami, ludźmi poszukującymi politycznych rozwiązań przekłetej łamigłówki losów polskich nie staje problem Kościoła jako instytucji. Ludzie ci są niczym apostołowie nowej wiary w starym Kościele, z tym samym Chrystusem — synem roboczej Galilei. Nie legitymują się mandatem tych, którzy władają dziedzictwem św. Wojciecha. Nie są przedstawicielami Kościoła, lecz ludźmi biorącymi z Niego Ewangelię bez pytania o zgodę, często nawet uprzedzając formalny zakaz swoich ordynariuszy.



Kościół bazuje na chłopstwie. Może więc zarzewie walki rozpłomienia się gdzieś na wsi, której tyle serdecznej i pełnej współczucia uwagi okazuje „Wolna Europa”?

Wprawdzie daleko chłopom polskim do warunków, jakie mają rolnicy na Zachodzie, ale wieś żyje obecnie świadomością znacznego zdystansowania ekonomicznego pracującego najemnie miast, niezwykłym awansem, jakiego nie oczekiwało żadne pokolenie. Wśród pobożnych westchnień najczęściej spotyka się więc intencja utrzymania stworzonej w październiku sytuacji. Międzywojenne nieszczęścia zapisały się w chłopskiej pamięci ognistymi znakami. Wolą więc chłopci trzymać się z dala od eksperymentów i radykalnych zmian politycznych, bo wcale nie wiedzą jakie przyniosłyby rezultaty. Czy w odmienionej sytuacji politycznej cały bieżący przyrost naturalny nadal odpływałby ze wsi do miast? Czy co szósta chałupa znajdowałaby dodatkowy grosz w przemyśle? Czy przyjmowano by do służb państwowych chłopskie dzieci, podczas gdy miastowi nie znajdują dość roboty?

Owszem, litania spraw do załatwienia byłaby wcale długa. Traktory na własność, nawozy na czas i w odpowiednim asortymencie, kontraktacje bez rozdzielnika gminnej rady, sprawniejszy odbiór płodów rolnych, lepsze zaopatrzenie sklepów, budulec i prawo budowania według „widzimisie” itd., itp. Ale to tylko detale, o które lepiej pertraktować niż czynić przedmiotem drastycznych konfrontacji.

Czy chłopci są przeciw władzy? A jakże, chłopci na ogół zawsze byli i są przeciw władzy. Ale dziś, w Polsce popaździernikowej chłopci udzielają i udzielać będą długo solidnego — choć dalekiego od zaufania i entuzjazmu — poparcia naczelnym władzom państwowym i partyjnym. Gmach zbudowany na antykołchozowej zapowiedzi z VIII Plenum jest jeszcze świeży i mocny. Każdemu

działaczowi komunistycznemu z wierzchołków piramidy biurokratycznej, który uzyska poparcie partyjnej „awangardy” chłopskiej w aparacie partyjnym, wieś polska czynnie pomoże w walce przeciw innym pretendentom do władzy.

Nawet kardynałowi Wyszyńskiemu przyszło przykro doświadczyć mankamentów chłopskiego kościoła. Akcja w sprawie niemieckiej, jedyna poważna konfrontacja polityczna od jego powrotu z klasztoru Cystersów, skończyła się kompletnym fiaskiem. Oficerowie wysłani do swoich rodzinnych wsi na „serdeczne rozmowy” z proboszczami, sparaliżowali jakąkolwiek działalność wyjaśniającą z ambon. A wieś chętnie nadstawiała ucha naukom niewiści, głoszonej przez reżymowych agitatorów. Ostatecznie każdy chłop z tradycyjną nieufnością traktuje ksiąząt Kościoła. Niewiele pod tym względem różni się stosunek chłopskiego syna w sutannie do dalekiego, niezrozumiałego episkopatu.

Nie można liczyć w okresie przygotowywania masowego ruchu sprzeciwu na wieś. Trzeba jednak wystrzegać się wszelkich niedopowiedzeń i dwuznaczności, które mogłyby wzbudzić niepokój chłopów. W miarę rozwoju sytuacji i tutaj pojawią się grupy udzielające ruchowi antybiurokratycznemu ostrożnego poparcia jeżeli tylko w pierwszym okresie nie zniechęci ich lewactwo inteligentkie, chętnie szafujące „rewolucyjnym” frazesem.



Prawdopodobnie za najbardziej „zachodnią” uznaje Emigracja grupę żyjącą z procederu zwanego w kraju prywatnictwem. Jest to grupa nietyle rzutkich co skorumpowanych i korumpujących jednostek — bez większej kultury, bez większych umiejętności zawodowych, z ogromnymi „chodami”, przestępczymi powiązaniem z biurokacją, bogacących się skokami — od jednej nielegalnej, ryzykownej ale bardzo rentownej afery — do drugiej. Gdyby jakiegokolwiek zachodniego przedsiębiorcę wprowadzić w tajniki działania jego polskich „odpowiedników”, odmówiłby im prawa do używania określeń, jakim na Zachodzie towarzyszy godna tradycja cechowa i nowoburżuazyjna solidność. Zdecydowaną większość, szczególnie wielkomięjskiego prywatnictwa — uznałby po prostu za aferzystów.

Z listy ewentualnych sojuszników wypadnie skreślić całe to towarzystwo. Choć można się spodziewać jego poparcia dla każdego działania przeciw Sowiетom i sowietoidom. W mózgach tych „cwaniaków” nie mieści się bowiem możliwość zerwania hamujących rozwój społeczny ram, rozszerzenia pola działania dla drobnej inicjatywy prywatnej — bez ich gwałtownego bogacenia

się. Nie rozumieją, że normalnie funkcjonujący rynek wyrzuci ich za burtę jako zbędny balast, choć otworzy warunki dla działania rzetelnych, wyposażonych w prawdziwe umiejętności drobnych przedsiębiorców.



Na jakie grupy jeszcze chciałaby liczyć Emigracja? Naturalnie na inteligencję, zgodnie z piękną polską tradycją, która „kreo-
wała” tę kategorię w socjologii.

Tradycyjnym zasobnikiem działaczy społecznych i politycznych były w dawnej Polsce kręgi nauczycielskie. Dziś większość nauczycieli to wiejskie dziewczęta pracujące w nisko zorganizowanych szkołach, przeżywające dramaty nieprzystosowania i dystansu między nimi a otoczeniem, borykające się z kłopotami materialnymi. To już nie „siłaczki”, rewolucjonistki, romantyczki, to nawet nie istoty świadome przyczyn przeżywanych trudności osobistych, lecz ograniczone funkcjonariuszki aparatu oświaty, które trafiły do szkoły z racji szukania łatwego „awansu społecznego” a nie z potrzeby uprawiania najbardziej humanistycznego zawodu.

Nauczycielstwo z podstawowych szkół w miastach cechuje o wiele wyższy poziom wiedzy ogólnej, ale równie obskuranckie poglądy. To też nie są ani społecznicy ani ludzie świadomi konieczności zmian. Takich już delikatnie usunięto w ostatnim dziesięcioleciu. Krytyka współczesności tych, którzy pozostali „na posadach” na ogół nie wykracza poza materialne upośledzenie nauczyciela i przeciążanie go rozlicznymi obowiązkami. Głównie utyskują na „złych rodziców” (jakby kiedykolwiek byli „dobrzy” — dla szkoły — rodzice), mozolnie naginają wychowanków do zunifikowanego, zwulgaryzowanego modelu życia społecznego nie sięgając do przyczyn zła ogólnego ani ich osobistych niepowodzeń — także dydaktycznych. W Październiku niczym się nie wyróżnili. Jeszcze mniej w marcu. Choć pod oknami ich szkół bez pardonu bito ich byłych uczniów. Tym jednak różni się miejskie nauczycielstwo od wiejskiego, że dobrze zna prawdę o deformacjach społecznych w Polsce „ludowej” i że w warunkach wysokiego napięcia udzieli uczciwego poparcia każdej próbie odnowy. Nie stanie się jednak zbiorowiskiem wysuwającym działaczy „budzieli” z odrętwienia społecznego. Nie poniesie — wzorem poprzednich nauczycielskich generacji — wraz z kagankiem oświaty-lontu społecznego fermentu.

Nieco lepiej przedstawia się portret zbiorowy nauczycieli o wysokich kwalifikacjach zawodowych, nauczających w szkołach średnich. Należy przypuszczać, że jeszcze bardziej udynamiczni te krę-

gi napływ nowych wykładowców, z cenzusami uniwersyteckimi, którzy daremnie poszukują innego, pozabelferskiego zatrudnienia. Wniosą oni nowe wartości intelektualne, jakie zdobyli w ostatnich latach rozbijania mitów i złudzeń co do charakteru współczesnej władzy i głoszonej przez nią „ideologii”. Ci ludzie łatwo znajdą wspólny język z niewiele od nich młodszymi uczniami, wniosą do szkół nowego, pozornie tylko cynicznego ducha, umiejętność ostrożnego demonstrowania sprzeciwu, racjonalistyczną kulturę, solidarność „pokolenia bitych”. Chyba dopiero na nich, powoli majoryzujących starsze nauczycielstwo, liczyć można na prawdę.



Inna grupa — adwokatura. Dzięki pani Mieczkowskiej z „Wolnej Europy” sływa na nią wysoki splendor.

Nie podważam żadnej pozytywnej opinii o tym czy innym mecenasie, bojowniku przegranej z góry sprawy w sądzie czy przed... komisją dyscyplinarną. Chciałbym jedynie zauważyć, że pokolenie nieposkromionych i prawdziwych adwokatów już odeszło. W zespołach adwokackich dominują ludzie wychowani bynajmniej nie w kulcie dla prawa a dla „dialektycznych” sofizmatów. Na wydziały prawa od lat trafia wcale nie doborowa stawka młodzieży i — inaczej niż w okresie przedwojennym — wcale nie z politycznymi zainteresowaniami. Już dziś rzadko można spotkać wśród adwokatów ludzi o głębokiej wiedzy, śledzących orzecznictwo, zagłębiających się w studia porównawcze, praktykujących jedynie w wybranych dziedzinach prawa. Zdarzają się jeszcze tacy między radcami prawnymi poważnych instytucji. Brać adwokacka snobuje się na cynizm, na codzienny hazard osiągania nierejestrowanych, wysokich dochodów z praktyki i uprawia „całościową krytykę” systemu sprawiedliwości — jednakże bez prób podważania jego podstaw, form funkcjonowania, częściowego bodaj łagodzenia jego druzgocącego działania i *in gremium* zabiega o kontakty z sędziami i prokuratorami, bo te sprzyjają tworzeniu korzystnych legend o „możliwościach” i „chodach”. Nastroje wśród tej kategorii będą się pogarszać z każdym rokiem. Ostatnie pokolenie obrońców sprawiedliwości odegrało swoją rolę w Październiku i wkrótce po nim. W marcu już takich mało słyszano. Nawet wówczas, gdy naiwni warszawscy studenci wręcz kołatali do drzwi zawodowej organizacji adwokackiej.

O sędownikach (bo przecież nie sędziach) i aparacie prokuratury lepiej w ogóle nie wspominać. Poza siłą w dosłownym tego słowa znaczeniu, w środowisku tym żadne inne argumenty

nie liczą się. Metamorfozy stalinowskich mianowańców po Październiku potwierdzają tylko konieczność zachowania dużej ostrożności w stosunkach z bezwzględnymi i bezideowymi sługami Temydy. Tej „socialistycznej”, która zdjęła opaskę z oczu, by powiewać nią pochlebnie „panom i wodzom”.



Co do urzędników — wielkiej i wciąż rosnącej grupy — istnieje rozbieżność zdań, czy w ogóle można zaliczyć ich do inteligencji. Ponieważ oni sami „uważają się za inteligentów” rozpatrzmy ich w tym przedziale. Jest to żywioł bardzo niejednorodny. Między ludźmi z cenzusem akademickim w rolach biurowych „popychadeł” a nieukami z wysokimi administracyjnymi godnościami istnieje cała masa pośrednich kategorii. Klucz wykształcenia i etatowego zaszerzgowania nie ujawnia wszakże tajników urzędniczego stanu. Są to sprawy zbyt zawile, by się nad nimi rozwodzić. Ogólnie można stwierdzić, że urzędnicy PRL to ludzie wyjątkowo niechętni samodzielnemu myśleniu i działaniu, o wyrazistych serwilistycznych i egoistycznych deformacjach. To ludzie w najwyższym stopniu sfrustrowani, słabi, cierpiący na brak wiary w siebie, spętani w działaniu przepisami ale jeszcze bardziej pragnieniem zabezpieczenia się przed podejmowaniem decyzji.

W specyficznych warunkach polskich do żywiołu urzędniczego zaliczyć należy również wcale obszerny aparat organizacji masowych — ze związkami zawodowymi na czele, urzędników przemysłowych, znaczną większość personelu instytutów przemysłowych i biur projektowych, znaczną część redakcyjnych pracowników w wydawnictwach i na etatach dziennikarskich. Nie jest to wcale szczytowe osiągnięcie biurokratyzacji. Najprawdziwsze hasło sowieckie powinno brzmieć: wszyscy będziemy biurokratami. I dziw, że w gorliwej Polsce towarzyszy gomułków zostało ono zrealizowane tylko częściowo.

Czy można liczyć na ową sfrustrowaną, tchórzliwą awangardę drobnomieszczaństwa — ani dufnego w swoje siły ani wającego się na jakikolwiek program czy postulat bodaj we własnym interesie? Na awangardę drobnomieszczaństwa, w podstawowej swej masie awansowaną do tej „rangi społecznej”, a więc we własnym mniemaniu „urządzonego”, usatysfakcjonowanego i oczekującego jedynie większej korzyści materialnej oraz większego potoku odznaczeń i wyróżnień honorowych? Z natury rzeczy urzędnicy są za utrzymaniem politycznego statusu, w którym zrobili kariery. Obawiają się — i słusznie — że każda odmiana polityczna musi

wymieść dokumentnie ogromną ich większość, ludzi niezdolnych do jakiegokolwiek samodzielnego działania.

Tak jak w wypadku nauczycielstwa — tylko najmłodsze generacje, jeszcze nie w pełni skorumpowane i zgnuśnięte zechcą włączyć się do ruchu odnowy, nim urośnie on do rozmiarów decydującej siły. Odwrotnie niż wśród nauczycieli — nie uzyskają one nawet moralnego poparcia we własnym środowisku. Ci nieliczni „sprawiedliwi” będą mieli jednak duże znaczenie dla orientacji ruchu o zamiarach administracyjnych, policyjnych, politycznych, o nastrojach, o sytuacji w różnych ogniach aparatu władzy. Nie sądzę jednak, by zechcieli i by powinni działać w swoim najbliższym otoczeniu. Tym bardziej, że w walce o utrzymanie się na biurowym stołku w czasach ciągłych redukcji, kompresji etatów itd. świat urzędniczy jest najbardziej spenetrowany przez wiadomych aniołów stróży. Stosunkowo niskie „upartyjnienie” urzędników idzie w parze z wyjątkowo szerokim zespołem konfidentów UB.

Przykro pisać mi o tym wszystkim wspominając „Wolną Europę”. Jej program redagowany jest pod gusta i wyobrażenie społeczno-polityczne tej właśnie grupy. Nawet wówczas, gdy pozornie zwraca się do rolników lub robotników w zatytułowanych dla nich odcinkach programu. Język audycji i sposób stawiania kwestii wydają się kokietować przede wszystkim urzędnicze audytorium. Istotnie, ta część polskiej populacji poświęca najwięcej czasu na słuchanie „Wolnej Europy”. Niemal do rytuału „salonu urzędniczego” (przy „herbatce” południowej w każdym biurze) należy aktualne zorientowanie w skandalach i skandalikach w PRL, o spodziewanych zmianach „na górze”, o najnowszych złośliwościach ulubieńców — pana Trościanko i „dziadzia” Olsztyńskiego. Przy tym nawet nie treść ich złośliwości jest istotna, tu liczy się przede wszystkim *bon mot*, cieszące uszy urzędniczych koneserów słowa.



Inteligencja w mundurach? — niechże będzie, skoro prof. Szczepański i jego najnowsza systematyka na to pozwalają. Inteligencja mundurowa była łatwa do wygrania wówczas, gdy nikt o grze nie myślał: między Październikiem a gorącym konfliktem bliskowschodnim. Spychalszczyzna poskramiała jej apetyty, obniżała boleśnie jej prestiż społeczny. Złośliwi twierdzili nawet, że była to próba pokojowego rozbrojenia Polski. Próba nie dała rezultatów, reakcję oficerską przygotowali generałowie i pułkownicy zarówno post- jak i neo-stalinowcy, zabiegający o sowieckie

uznanie albo wręcz działający w myśl dyrektyw moskiewskiego Jakubowskiego i jego sztabu.

Pozycja oficerska urosła ostatnio niepomierne, najwięcej w oczach samych posiadaczy szamerowań i epoletów. Ich świadomość zgrabnie przeorientowała się z „polskiej drogi do socjalizmu” na „prowarszawską” (od paktu warszawskiego). Będzie się ta świadomość coraz bardziej umacniać. Korpus oficerski wszedł na drogę nieuchronnego reakcyjnienia. Poprzednio, choć był równie prymitywny i brutalny, to jednak powstrzymywał się od popierania sowieckich manewrów politycznych o antyzachodnim, wojowniczym charakterze. Nawet ewentualność udziału w bliskowschodniej awanturze, jaka w 1967 roku wydawała się bardzo prawdopodobna, wywoływała zasadnicze obiekcje oficerów. Zdolność bojowa Zachodu nie pozwalała na euforie. Pamięć o sowieckich *zagrado-triadach* wojsk NKWD — od samego Lenino po dzień dzisiejszy — przekazywana jest cichaczem z pokolenia na pokolenie oficerskie. Trudno więc dziwić się spadkobiercom tych tradycji, że otuchę i ideowość głoszoną *ex cathedra* przepuszczają przez filtr sceptycyzmu. Odznaczenia bojowe? — przyjmą z przyjemnością! Byłe nie pośmiertne...

Sytuacja zmieniała się zasadniczo w okresie ostatniego trzylecia. Coraz częściej w kasynach i kantynach wracają chińskie tematy. Gruntuje się przekonanie o prymitywie „chińszczyzny”, o absurdalności czerwonej książeczki, o nieumiejętności prowadzenia współczesnej walki przez Chiny. Ci, którzy mają teściów w Moskwie, rodziców na sutych emeryturkach partyjnych czy szwagrów w Białym Domu albo w „pałacu wolności” na Rakowieckiej, którzy zbili w 1967 roku kapitał awansowych gwiazdek na antysyjonistycznej furii, którzy w 1968 roku zawczasu przesiedli się na antyczeskiego konika — dziś coraz głośniej i pewniej gardłują przeciw chińskiemu zagrożeniu. Panowie oficerowie mają wyczulony słuch i dobrą pamięć. Wiedzą dzięki czemu lub komu ich brat robi karierę. Panowie oficerowie biorą więc przykład z „przodujących”, „dobrze widzianych” i „zorientowanych z pierwszej ręki” o kierunkach politycznego wiatru, choć sztaby, zarządy i dowództwa zachowują jeszcze oficjalne milczenie. Przydałoby się sprawdzić potencjał bojowy w warunkach prawdziwego poligonu wojennego... Na taką wojaczkę panowie oficerowie chętnie się piszą. Kiedy więc *Żołnierz Wolności* zacznie zamieszczać wstrząsające relacje o gnębieniu naszych skośnookich braci, potomków osiadłych nad mandżurską linią kolejową Cieś-la-ków, Ko-wal-skich, Łu-cza-ków, — korpus oficerski będzie już silny zwarty i gotowy do niesienia pomocy azjatyckim „Polakom”.

Większość kadry wojskowej, oficerów, chorążych, podofice-

rów, to synowie chłopscy. Ich jedyną szkołą robociarstwa była szkoła oficerska czy podoficerska. Pochodzenie społeczne nie odgrywa większej roli, jeżeli chodzi o zdolności bojowe i opanowanie rzemiosła współczesnej wojny. Jednak oznacza coś dla ludzi, jak my rozważających rozwój sytuacji i szukających orędowników dla określonej sprawy. Tu, wśród „inteligencji wojskowej” znajdziemy ich bardzo niewielu. I to bardzo późno. Głównie, żeby nie byli zdecydowanie przeciwko. Żeby, gdy Biały Dom każe strzelać do robotników, zawahali się przed wydaniem rozkazów.



Byłby ten portret zbiorowiska inteligentkiego nader smutny, gdyby nie nadawała mu rumieńców życia duża, nawet uprzywilejowana — jeżeli w tym systemie w ogóle o przywilejach dla ludzi pracy dorzecznej można mówić — grupa: inteligencja techniczna. Jak Pan zauważył część tej zbiorowości, część z marginesów i zaułków potraktowałem na równi z urzędnikami. Ogromna jednak większość znajduje się tam, gdzie powinna — w produkcji i na robocie twórczej, koncepcyjnej. Podarujmy sobie tę ostatnią kategorię, przynależną raczej do elity intelektualnej czy menadżerskiej. Zajmijmy się podstawową grupą, w produkcji.

Jej rodowód przedstawia się interesująco. W niższych kategoriach — mistrzów, operatorów wielkich urządzeń technicznych, techników, przeważają ludzie ze środowisk robotniczych i rzemieślniczych. W wyższych kategoriach: inżynierów, magistrów-inżynierów i magistrów więcej jest przedstawicieli środowiska inteligentkiego już w którymś tam pokoleniu.

Podział według wykształcenia nie pokrywa się z hierarchią zajmowanych stanowisk. Rządzą tu bowiem szczególne, żelazne prawa. Sam „papierek” nawet z najpoważniejszej uczelni nie czyni jeszcze z człowieka istoty rzeczywiście przydatnej i prawdziwie sprzyjającej powodzeniom produkcyjnym. Ludzi „z ruchu” musi cechować umiejętność współzycia i kierowania robotnikami, łatwość znajdowania z nimi „wspólnego języka”. Nie mogą być tylko zwierzchnikami i „kierownikami zza biurka”. Nie mogą być ślepyimi wykonawcami woli zwierzchnictwa. W większości wypadków są obróbcami własnej i robotniczej skóry przed każdą „góram”. Zabiegają o utrzymanie najlepszych pracowników nie tylko i nietyle zachętami materialnymi (cóż oni mogą ponad taryfikator i ponad wszechwładny akord!) ale „ludzkiem traktowaniem”, pomocą w sprawach osobistych, umiejętnością sformułowania prośby — kiedy trzeba i ustąpienia przed załogą kiedy innej rady nie ma.

Nie sugeruję żadnej idylli. Ale na tle niezwykle zaniedbanych,

brzydkich stosunków między ludźmi na wszystkich publicznych odcinkach, stosunki między dozorem a robotnikami, szczególnie w fabrykach, są najbliższe temu, co postulują socjologowie i psycholodzy. Opierają się po prostu na względnej jednokierunkowości bodźców dla podkomendnych i kierowników; ich dobra współpraca jest sprawdzalna, wymierna; podział odpowiedzialności za różne odcinki z grubsza wiadomy i zrozumiały; efekty każdego działania — w pełni zmaterializowane; elementy konkurencji — o minimalnym znaczeniu.

Ludzie z „ruchu” nie narzekają zbyt na warunki materialne. Ich stopa życiowa jest przedmiotem stałej zawiści urzędników, wyżej postawionych — jak przystało na państwo biurokratyczne — pod względem „służbowego prestiżu”. Reżym przy każdej okazji akcentuje dla nich poparcie. Często w ich szeregach padają „blaszki” państwowych odznaczeń. Kierownictwo partyjne zabiega usilnie o przyciąganie ich do partii i uczynienie najpewniejszą jej podporą.

Stan „upartyjnienia” jest wysoki. W dużych zakładach i w większych ośrodkach przemysłowych, przeciętnie co 3-4 pracownik figuruje w członkowskich ewidencjach PZPR. Dla grupy techników wskaźnik ten jest jeszcze wyższy. Jednak we wszystkich akcjach nakazanych przez partię znajdziemy ich bardzo niewiele. Unikają partyjnych wędzideł. Udają politycznych głuptasów, mało obrotnych w języku, zaafierowanych bez reszty sprawami produkcji, racjonalizacji, wynalazczości, tworzą pozory wielkiej aktywności w stowarzyszeniach techniczno-specjalistycznych NOTu itd., itp. Wszystko — byle uniknąć stygmatu „aktywisty” — w tych środowiskach eufemicznego określenia serwilisty, karierowicza i zawodowego indolenta.

Kadra techniczna nie jest bierna politycznie o tyle, o ile wiąże się to z interesem powierzonego jej odcinka produkcji. Tak więc co inteligetniejsi i sprytniejsi „wymanewrowują” pod różnymi pretekstami „ideologów” i donosicieli, czynią zadość formalnym wymogom „partyjnej obecności na każdym odcinku” przez obstawianie stanowisk partyjnych swoimi ludźmi. Ci nie działają wewnątrz zakładów bez porozumienia ze swoimi prawdziwymi promotorami a przede wszystkim nie powierzą żadnej drastycznej sprawy zakładowej partyjnym komitetom czy ich zetemesowskim i związkowym ajencjom. Taki stan utrzymuje się we wcale nie małej liczbie poważnych przedsiębiorstw; stosunki układają się tam o wiele lepiej i produkcja nie wymaga równie heroicznego wysiłków, co w zakładach obstawionych od góry do dołu wtyczkami różnych miejscowych i wyższych instancji partyjnych.

Dla techników nie jest tajemnicą rzeczywisty charakter „ludo-

wego” państwa w obecnym wcieleniu. Dawniej przypuszczali, że za frazesem ideologicznym i wywieraną na nich presją kryje się jakiś państwowy i międzynarodowy interes. Że w jakiejś dalszej perspektywie zaowocuje rzeczywista poprawa sytuacji ogółu ludzi pracy. Okres popaździernikowy, szczególnie od 1959 roku, gdy czynniki partyjne „wyciszające” rady robotnicze zdecydowały się na konfidencjonalną szczerość wobec „naszych” techników, zlikwidował bez reszty owe mity. Technicy zrozumieli, że w kalkulacjach biurokratów partyjnych nadszedł czas na wykorzystanie dozoru fabrycznego w roli, jaka poprzednio przypadła aktywowi partyjnemu. Że biurokracja chciałaby ograniczyć efektywne zarobki robotnicze rękoma techników z dozoru i zarządów przedsiębiorstw, że dąży do rzucenia kości niezgody między nich a załogi.

Bogatsi o doświadczenia stalinizmu, byli zdecydowanymi zwolennikami rad robotniczych, w których nie jeden z nich piastował wysoki mandat zaufania robotniczego. Byli i są zwolennikami stosowania bodźców ekonomicznych dla załóg, bowiem te znakiomicie ułatwiałyby sam proces kierowania podległymi zespołami i przyczyniałyby się do sprawiedliwej, racjonalnej dynamizacji produkcji.

Wreszcie, są w ogromnej większości — rodzinnie, moralnie, zawodowo — związani z robotnikami. Dlatego też cały ogół techników zachował wobec manewrów partyjnych godną uznania rezerwę i zachowuje ją po dzień dzisiejszy.

Polacy bardzo lubią przeglądać kolorowe tygodniki zachodnie. Z zazdrością i uznaniem cmokają nad cudami oferowanymi w miesięcznych ogłoszeniach. Kiedy takie pismo ogląda technik porównuje produkcję, do której on sam przykładą rękę i szare komórki z tym, co niefrasobliwie oferuje jego zagraniczny kolega po fachu. Większość tych ludzi wierzyła kiedyś w możliwość dorównania Zachodowi pod względem produkcji materialnej, więc konieczność wytwarzania czegoś przestarzałego i brzydkiego (i to z największym wysiłkiem) odczuwają jako własne, osobiste poniżenie. Technik nie oskarża o nieumiejętność własnych ludzi — to przywilej urzędniczej „psychologii”. Technik nie znajduje własnej winy chociaż najlepiej wie o daninie składanej „ostrożniactwu” — o tym że mógłby o wiele lepiej, taniej, szybciej produkować, gdyby sprzyjały temu warunki. Technik obarcza odpowiedzialnością system, który takich warunków nie tworzy. Technik uważa, że zmarnuje się na amen, jeżeli coś w tej diabelskiej maszynie nie pęknie i nie spowoduje zasadniczych zmian. Prawdziwych — nie jaszczukowych.

Wreszcie w technika godzi boleśnie biurokracja wszystkich barw, służb, rodzajów, stopni. Począwszy od wewnątrzzakłado-

wej, która uporczywie usiłuje przekształcić go w kancelistę, która zawsze „z przyczyn obiektywnych i usprawiedliwionych” opóźnia dostawę materiałów do produkcji, która planuje „pi razy oko”, która wciąż drąży jego prestiż wśród podległego personelu — a na handlowej komunalnej, komunikacyjnej, administracyjnej, państwowej i partyjnej kończąc. Nie może zrozumieć sensu i zaakceptować jej rujnującego działania. Jest jej zagorzałym wrogiem, bowiem codziennie odczuwa społeczne skutki jej działania: nastroje w zakładzie są istotnym czynnikiem w produkcji. On, technik — organizator i kierownik — ponosi konsekwencje rozprężenia i rozgoryczenia społecznego; musi uspakajać i łagodzić gorycze, wywołane przez siły wrogie produkcji, za którą on osobiście odpowiada.

Jeszcze nie zobojętniał na tyle, by pozostać głuchym na wezwanie działania. Likwidacja systemu biurokratycznego otworzy przed nim warunki do prawdziwego wyżycia swoich pasji.

Wie o tym. Zmuszono go do przemyśleń w tej dziedzinie.



Na koniec zostawiłem najbardziej kontrowersyjny oddział inteligencji — *manager*ów gospodarczych.

Boli, gniewa i zdumiewa, że „Wolna Europa” i świeżo nawróceni emigranci pchają tych ludzi do jednego brudnego worka z partyjnymi dzierzymordami, sowieckimi agentami, biurokratycznymi karierowiczami — stupajkami zaprzędawania Polski. Zdumiewa, że po dzień dzisiejszy nikt na Zachodzie nie wpadł na pomysł porównawczego zestawienia karier życiowych np. obecnych sekretarzy KW i kierowników KC oraz ludzi tej samej kategorii wieku z niemniejszymi prawami do „partyjnego zaufania”, którzy z racji kwalifikacji, zainteresowań, energii trafili na równorzędne stanowiska w hierarchii komunistycznej — ministrów i kierowników życia gospodarczego, którzy w niezwykłych okolicznościach dźwigali całe gałęzie przemysłu i dziedziny gospodarki narodowej — pomimo trudności, wynikających z samego systemu i arbitralnych decyzji partyjnej oligarchii. Analogiczne porównania między aparatem partyjnej biurokracji i menażerami niższej kategorii przyniosłyby jeszcze bardziej przekonujący materiał do wnioskowania. Korci mnie przedstawienie życiowych „karier” ludzi z najróżniejszych „stajni politycznych”, o różnym poziomie intelektualnym, o niewątpliwym talencie, którzy nie oglądali się na zaszczyty — bo to pasjonaci i fanatycy wielkiej roboty. Takie jednostki na całym świecie ważą na wagę złota. W PRL i innych państwach sowieckiego typu, są oni wykańczani, odsuwani, ko-

pani, rolowani, odsyłani na boczny tor, tłamszeni moralnie i psychicznie; pod pretekstami — prywaty, antypartyjności, niesubordynacji wobec partii, zawalania planów, nieumiejętności współzycia z organizacjami partyjnymi, samowoli, nadużywania władzy itp., itp. Są oni ofiarami najostrzejszej walki, toczącej się bez pardonu w PRL od pierwszych dni jej istnienia; walki między partyjną biurokracją a wyróżniającymi się indywidualnościami w dziedzinie gospodarczej.

Oczywiście każdemu z nich — jako że o nieomylnych w nie-normalnych warunkach trudno — można wykazać wiele błędów. Ale przecież nie za te błędy przeważnie ich się atakuje. Jeżeli porównać obecny skład kierownictw resortów gospodarczych z poprzednimi obsadami — wszystko staje się jasne: na miejsca prawdziwych specjalistów, ludzi o szerokich horyzontach i poczuciu odpowiedzialności, przyszły miernoty, urzędnicy dobijający się wysokich stołków czapkowaniem przed baalem planowania i pokornym „nabieraniem mocy urzędowej” w antyszambrach komitetów, opijający swoje kariery z kumplami w aparacie bezpieczeństwa.

Proszę, dla przykładu porównać zepchniętego „w rektory” Żemajtisa z obecnym szefem przemysłu ciężkiego, szczytem indolencji i ograniczenia — Kaimem. Proszę zastanowić się nad porównaniem wybitnego specjalisty z zakresu mieszkalnictwa, Goryńskiego, z poprzednimi i obecnym szefem resortu gospodarki komunalnej. Proszę zastanowić się nad powodami kolejnych i hurtowych utraczeń Bąbińskiego, Pietrusiewicza, Kopcia, Wolskiego w resorcie budownictwa, by wreszcie opróżnić miejsce dla dzisiejszego jego kierownika, niezdolnego do jednego słowa sprzeciwu wobec decyzji Białego Domu.

Proszę przypomnieć sobie dramatyczne okoliczności odejścia z resortu komunikacji Popielasa, człowieka, który jak mógł ratował koleje przed likwidatorską działalnością „inżyniera” z rzemieślniczej szkoły — Ryszarda Strzeleckiego i proszę zestawić tamtą dymisję z obecnie powszechnie już znaną sytuacją PKP pod rządami ugodowego inż. Lewińskiego.

A Lesz, Krupiński, Czechowicz, Lindberg i dziesiątki innych — w porównaniu z potulnymi, którzy zajęli ich miejsca?

Prowokacja 1968 roku zlikwidowała w zasadzie resztki pozorów, że rząd jest ciałem kolegialnym i samodzielny, że ministrowie rzeczywiście kierują swymi resortami. Kierunek zmian personalnych i dalsze zmiany aż do ostatnich, tegorocznych stanowią wyraźnie o powrocie do „dwupoziomego” gabinetu w stylu sowieckim, który o problemach gospodarczych nie śmie nawet dyskutować poniżej szczebla „prezydium rządu”. Praktyczna władza

gospodarza znalazła się w rękach kilku osób z biura politycznego i sekretariatu KC, bo przecież i tam nie ma mowy o kolegierności.

Gdyby policzyć dyrektorów zjednoczeń, szefów ekonomicznych, dyrektorów ważnych i dużych przedsiębiorstw przemysłowych, komunikacyjnych, budowlanych, handlowych, którzy mimo osiągniętych pozytywnych wyników zawodowych skreślili kark w nierównej walce z deformującym gospodarkę narodową biurokratycznym nakazem instancji partyjnych, którzy zmarnieli i marniej na ciepłych nawet posadkach ale bez możliwości prawidłowego kształtowania odcinków, na których istotnie się znajdują — otrzymalibyśmy co najmniej pełną brygadę *menager*ów odsuniętych na boczny tor i to bez prawa powrotu.

W tej płaszczyźnie gra nie ma charakteru frakcyjnego lecz jak najbardziej globalny. Wśród poprzednio upłynnionych *meganer*ów nigdy nie było zwolenników ekstremistycznych tendencji, ani stalinowskich ani partyzanckich. Do organów gospodarczych tendencje takie wnosili różni *vice*, członkowie kolegiów, „zastępcy do spraw administracyjnych”, do spraw gospodarczych, do spraw bytowych, socjalnych — zbędnych. To „kadra” obca, o której obsadzie absolutnie arbitralnie decydują komitety partyjne wcale nie wysokich szczebli. Tych „mianowańców” różnią od *menager*ów życiorysy, kwalifikacje, praktycznie niewielki wpływ na zasadniczą działalność gospodarczą. Są oni albo oficjalnymi wtyczkami albo figurantami (jak przez dwa dziesiątki lat np. Kaim), marionetkami w faktycznie nieistniejących kolegialnych ciałach zarządzających.

Globalny charakter walki przeciw samodzielności odpowiedzialnych kadr gospodarczych, wskazuje wyraźnie na to, że nie chodzi o takie czy inne błędy i uchybienia delikwentów ale o naginanie tej niezmiernie ważnej grupy społecznej do pełnego respektowania biurokracji partyjnej. „Centralizm demokratyczny?” Nie. Konfrontacja władzy biurokratycznej z „groźbą” pokojowego przejścia władzy przez „technokrację”.

Nawet, jeżeli większość sowietoidów nigdy nie słyszała o Burnhamie, to jednak instynktownie ustawia się contra gromadzeniu nadmiernego autorytetu i prawa podejmowania decyzji w rękach ludzi kształtujących stosunki gospodarcze. Biurokracja partyjna ma pełną świadomość gotowości *menager*ów do „wyzwolenia się” i wszystkie jej wysiłki zmierzają do poskromienia tej „niebezpiecznej” skłonności. Biada ministrowi nie bijącemu pokłonów przed „kompetentnym” instruktorem KC, dyrektorowi zjednoczenia uchylającemu się od serwilistycznych popisów wobec „właściwych” instruktorów KW, dyrektorowi przedsiębiorstwa nie grającemu komedii posłuchu wobec „właściwego” instruktora

KM i wszystkich innych partyjnych biurokratów, pragnących jego pouczać. Od pierwszej próby niesubordynacji czy przejawu lekceważenia policzone są jeżeli nie dni to miesiące jego dalszego pozostawania na stanowisku.

Ta walka ma o wiele większe znaczenie i toczy się na o wiele szerszym froncie niż utarczki ze światem nauki i literatury. O wykańczaniu *manager'ów*, nawet bezpartyjnych, nawet specjalistów o światowej sławie, milczy kawiarnia warszawska i monachijskie jej echo. Co najwyżej opatruje taki wypadek pobożnym życzeniem: „byle prędzej sobie wzajem poprzęzali gardła. Wszyscy!”

To klasycznie urzędniczy punkt widzenia. Urzędnicy bardzo lubią zmiany zwierzchników. Każda z nich otwiera — jeżeli nie realne możliwości awansu to bodaj — wdzięczny temat do marzeń.

Na usprawiedliwienie opinii Emigracji, odległej od rzetelnych źródeł informacji i związanej z nimi znajomości sytuacji krajowej, wypada wysunąć domniemanie, związane z propagandą prowadzoną przez najsprytniejszych partyjnych eksponentów w rodzaju Starewicza, Olszowskiego, Tejchmy, Kociołka. Otóż formalnie opowiadają się oni za „unowocześnieniem metod zarządzania gospodarką w obrębie systemu socjalistycznego”. To znaczy za usprawianiem centralizmu gospodarczego z pewnymi drobnymi koncesjami na rzecz kierownictw gospodarczych wysokiego szczebla. Faktycznie jednak, zabiegając o względy inteligencji, dają do zrozumienia, że przekształcenie systemu powinno pójść dalej, w kierunku „socjalistycznego technokratyzmu”. Ponieważ jednocześnie na stanowiska kierownicze powołuje się obecnie ludzie z formalnymi dyplomami akademickimi, bynajmniej nie zawsze decydującymi zarazem o uzdolnieniach i talentach i nie zawsze prawdziwymi dyplomami (np. Kaim, Kunicki) — drobnomieszczańsko-urzędnicza opinia wiąże ten ruch personalny z rzekomymi „rewolucyjnymi” zamierzeniami młodego narybku na partyjnej „górze”. Tak więc bezwolnych, biurokratycznych mianowańców uznaje się za „socjalistycznych *menager'ów* a ludziom zmianianym za niepokorność przypisuje się — już nawet bez władzowych dygresji — wszelkie winy za niepowodzenia. Niepowodzenia nieuchronne, bowiem wynikające z niemożności działania w systemie dyktatury I sekretarza i jego pretorianów.

Właśnie *menager'zy*, ci którzy zdołali się utrzymać i ci którzy pozostali na pomniejszych stanowiskach są siłą zdolną do sprzeciwu i stale na konflikty z biurokracją narażoną. Należy jej udzielić poparcia, należy liczyć na jej wystąpienie w roli naturalnego sprzymierzeńca w walce o wiele szerszej, politycznej. Wśród *mena-*

ger'ów — tak jak wśród elity intelektualnej, powinni znaleźć się przywódcy ruchu.

Czy stosunkowo wczesne włączenie się *menager'ów* do ruchu nie wzbudzi wątpliwości i niechęci robotników, skoro od całych dziesięcioleci fama ludowa identyfikuje ich z biurokracją sowie-toidów.

Trudno takie przejawy wykluczyć ale nie wydaje się, by miały one szerszy zasięg. Praktykuje się w kraju stosowanie takiego wymownego, popularnego gestu — wzniesienie otwartych dłoni ku górze — oznaczającego bezradność wobec owej mitycznej dla ludzi pracy „góry”, która nie zwykła pytać o możliwości, przy stanowieniu arbitralnych nakazów. Otóż ten gest dyrektorów i ministrów rozbraja często napięte sytuacje w trakcie zebrań robotniczych. Stanowi deklarację jedności uczuć, bez potrzeby wypowiedziania niebezpiecznych słów.

Propaganda partyjna, uporczywie twierdząca, że Biały Dom jest twórcą i dysponentem wszystkiego co się w PRL dzieje, ma walor samobójczy. Wbrew zamierzeniom, uprzytamnia bowiem ogółowi rzeczywistą odpowiedzialność „najwyższej góry” za wszystkie niepowodzenia, przypisywane przez ten reżym różnym ludziom, grupom, siłom politycznym i wszelkim żywiołom.

Robotnik zawsze wysoko cenił specjalistów i ich wiedzę. Znajdując w *menager'ach* kombatantów wspólnej walki ucieszy się i ośmieli.



„... *Oto stoję w wiosnie*
A karmą wiosny jest dzieła tęsknota”.

Leopold Staff

W awangardzie walczących o nowy w Polsce porządek znajduje się młodzież. Historia postępu pisana jest marzeniami, buntem, krwią młodzieży. Jak to dobrze, że nie przyjmuje ona świata zastanego za nieodwołalny, że gotowa bluźnić Boga i rodzicom, że nie baczy na tradycje i nakazy formalnej etyki, że burzy spokój i wartości uznane przez poprzednie pokolenia!

Ostatnie lata dają szczególnie wiele okazji do medytacji nad niepokojami obecnego pokolenia młodzieży. Przysięgli nowinkarze kreuja ją już ni to na grabarza dotychczasowego dorobku ludzkości, ni to na apostoła zupełnie nowych czasów. Zachodni eksperci odpowiedzieli inflacją teorii o młodych światoburcach, gazety zachodnie pękają od relacji szokujących mieszczańską publiczność ekscesów i popisów ekshibicjonizmu. Polska socjologia

także włączyła się do dyskusji nad tym pokoleniowym fenomenem. Ci, którzy nie zdążyli się wypowiedzieć przed marcem (w warunkach względnej wolności nauki) nadrabiają obecnie opóźnienie wyścigiem mętniactwa „na bazie i po linii przodującej sowieckiej wiedzy”. Oczywiście dyskusja, tocząca się w podobnym duchu, prawdopodobnie od czasów pierwszego młodego pokolenia — Kaina i Abla — nie skończy się nigdy. Oczywiście młodzież naszych czasów różni się od nas samych, przede wszystkim tym, że wchodzi w życie bez garbu metafizycznego wychowania, strachu przed otaczającym światem, niepewności gospodarczych podstaw własnej egzystencji. Jest więc bardziej niefrasobliwa i bardziej dojrzała zarazem, bardziej krytyczna ale nie mniej wrażliwa na krzywdę, niesprawiedliwość, kłamstwo.

Nie wdawajmy się zresztą w generalne oceny. Dość, że „towarzysze” Moczar i Jabłoński rozporządzają szerszą wiedzą o przyczynach i charakterze niepokojów młodzieży, niż Nowosiłcow czy Hurko. Jednakowoż buntuje się polska młodzież przeciw temu co boli całe społeczeństwo — dziś jak ongiś, gdy stanowiska jej pogromców określano adekwatnymi do funkcji tytułami generał-gubernatorów czy kuratorów.

Współcześni wrogowie młodzieży polskiej, nie bacząc na obszerną wiedzę o przedmiocie tłumaczą jej niepokoje w podobnie uproszczony sposób jak ich prekursorzy rodem z Petersburga: wypadki prowokowały wicherzycielskie elementy, niewielkie grupki pozbawione specjalnego znaczenia. Większość młodzieży zachowywała się powściągliwie i jest „pozytywnie nastawiona”. Kłóci się to stanowisko z pełnymi entuzjazmu przekazami „Wolnej Europy”, jej stałych (nieobecnych w Polsce) i przygodnych (z Polski wyjeżdżających) komentatorów. Ale jednocześnie przecieży wiemy, że głos Kuronia, alarm „komandosów”, akcja Kozłowskiego — nie spotkały się ze zrozumieniem i dostatecznym odzewem młodych. Jakże to więc jest z tą polską młodzieżą? Czy można liczyć na jej poruszenie, gdy nadejdzie ku temu odpowiednia pora?

Współczesne pokolenie młodzieży polskiej wyróżnia pewna wyjątkowa cecha; do gorącego roku 1968 żyło, jak na polskie warunki, niezwykle niefrasobliwie. Jego świadomość kształtowała się w atmosferze powszechnego odprężenia, pozytywnych zmian warunków bytowania, radości ulgi — po dziesięciu chudych i groźnych latach stalinowskich porządków, wojennych wspomnień, zawodów, krzywd rewolucyjnych i biurokratycznych. Kiedy najstarsi z dzisiejszych młodych kończyli szkołę podstawową Stalin już nie żył. Kiedy wchodził w rok maturalny — dokonał się Październik. Do niedawna asystenci wyższych uczelni technicznych

— doktoranci, poważni już inżynierowie — nie bardzo umieli powiedzieć coś konkretnego na temat polskiego żniwa stalinizmu, ani o „prawdziwym” Październiku (dla nich — szczególnie w Warszawie — pojęcie to łączy się z wydarzeniami po likwidacji *Po Prostu*. W czasie „prawdziwego” Października mamy trzymały swoje nieopierzone pisklęta pod kluczem). Ostrość cenzury mierzyli stosunkiem do STS’u czy krakowskich przybytków studenckiej muzy. Dopiero marzec 1968 zmusił ich do przemyśleń i gorączkowego zasięgania języka o „dawnych sprawach”.

Ich młodość przypada na lata mniemanego cudu wolności, słuchania zachodniego radia i pewnej poprawy warunków egzystencji. Poprawa ta głównie dotyczyła warstw drobnomieszczańskich i urzędniczych lecz z nich to przecież rekrutuje się większość młodzieży akademickiej. A więc w czasach niefrasobliwej młodości, kiedy wydawało się, że w Polsce jest wolność, bo można opowiadać nawet kawały polityczne, uwaga młodych skoncentrowała się na długich włosach, ciuchach z Zachodu, mocnym uderzeniu, płytotekach, motocyklach, włóczęgach, wożach — także i zagranicznych oraz różnych innych formach „*dolce vita* po polsku”, świadomie akcentowanej wobec „wapniaków”, „inności”, „wyglupu” — dobrego humoru. Nikt jej do politykowania nie zachęcał ani zmuszał. Sama do niej także się nie garnęła. Nie znajdowała prawdziwych zainteresowań, przyciągających wzorów. Wygodniej jej było korzystać ze statusu *pieszczochów w kraju, który nigdy wcześniej nie stworzył takiej niezwykłej szansy młodym i najmłodszym. Żadna poprzednia generacja młodzieży nie przeżyła okresu równie wysokich podnieć parweniuszowskich i parweniuszowskich mitów, co obecne pokolenie zbliżające się do trzydziestki. Nigdy tak szerokie rzesze z różnych środowisk nie uczestniczyły piętnaście lat w zbiorowym ubawie — ku zadowoleniu społeczeństwa („niech sobie odbiorą to, czego myśmy nie mieli”), oburzeniu ortodoksów „walki i czujności klasowej” i maskowanym zadowoleniu władzy, która zawsze woli mieć młodzież z dala od polityki.*

Trzeba wyraźnie podkreślić parweniuszowski charakter owych radości bytowania. Różni apologeti marcowych wydarzeń, korzystający z wolności słowa w „wolnym świecie” nazbyt pochopnie konfrontują rzekomą dezorientację ideologiczną ruchów zachodniej młodzieży z rzekomą polityczną dojrzałością en bloc młodzieży polskiej w marcu 1968 roku. Tymczasem chyba nigdzie na Zachodzie, nawet w krajach o najbardziej zafowanej strukturze społecznej, nie występowało w drugiej połowie XX wieku tak drastyczne zróżnicowanie warstwowe, klasowe i środowiskowe ogółu młodzieży a także studentów — jak właśnie u nas. Tam, przeciw-

nie — rośnie budzący niepokoje burżuazji snobizm na łamanie przegród klasowych i środowiskowych młodego pokolenia.

Mniejsza z tym, że młodzież chłopska z naturalnych względów ma i musi mieć zupełnie inne wyobrażenia o dniu dzisiejszym Polski i jej ustroju, niż młodzież miejska. Dała temu najdrastyczniejszy wyraz w marcu demonstracyjna absencja uczelni rolniczych w akcjach solidarnościowych i uchylanie się na innych uczelniach studentów ze środowiska chłopskiego od aktywnego współdziałania z ogółem kolegów.

Mniejsza z tym, że dla zdecydowanej większości studentów uczelni pozarolniczych marzec stał się pierwszą okazją do poznania prawdy o reżymie, który traktowali zawsze z pewnym lekceważeniem i wyższością spadkobierców inteligencko-szlacheckiej czy mieszczańskiej kultury, ale którego niedowład i nieprawidłowość działania nie godziły bezpośrednio w nich i ich rodziny, a więc nie skłaniały do poważniejszych przemyśleń.

Mniejsza z tym, że w świadomości ogromnej większości młodzieży pozawarszawskiej, pozałódzkiej i pozakrakowskiej wydarzenia marcowe mają już dziś jednoznaczną wymowę, zgodną w zasadzie z komentarzem prasowym. Ogromna większość młodzieży miejskiej i cała niemal wiejska nie zdaje sobie sprawy z politycznej istoty tamtych wypadków.

Ale jeżeli znani z nazwisk promotorzy politycznych akcji na uniwersytecie warszawskim i na politechnice warszawskiej nie umieli (czy nie pomyśleli) pozyskać poparcia kolegów-studentów ze środowisk robotniczych; nie umieli (czy „spóźnili się”) poszukać poparcia ich — o d d a w n a g o t o w y c h — programów reform wśród robotników wielkoprzemysłowych — to nie jest to już rzecz, nad którą wolno przejść do porządku dziennego, a tym bardziej pomijać ją milczeniem, jak to właśnie czyni „polski Zachód”.

Ciężko wypowiedzieć te słowa pod adresem młodych ludzi z niezwykłą godnością zdających trudny egzamin porażki. Ludzi, którzy zwrócili honor koncepcjom ideowo-politycznym zbrukany przez sowiety i ich warszawskie marionetki. Nie wydaje się jednak możliwe pominięcie tych faktów ku przestrodze innych działaczy młodzieżowych, zajmujących miejsca opróżnione w wyniku ingerencji policyjnych.

Sytuację w marcu 1968 roku przypisuję parweniuszowstwu. Najwyżej ukształtowanej młodzieży, wywodzącej się z kręgów elity władzy i części elity intelektualnej, kazało ono zabiegać głównie o środowiskowe uznanie a nie o skuteczność działania w słusznej sprawie. Nie zmienia postaci rzeczy, że jest to parweniuszostwo niejako wyższej rangi, szukające zaspokojenia w regionach

wykraczających poza przeciętność. Dla młodzieży z innych środowisk społecznych „parytet dążeń” był odpowiednio niższy, raczej odległy od zagadnień o charakterze publicznym.

W kraju rządzonym przez parweniuszy, w kraju o celowo podsyconych tendencjach konfrontacyjno-konsumpcyjnych i „małostabilizacyjnych” — sam fakt wstrząsu, zmuszającego bodaj część społeczeństwa do przemyśleń, wypadaloby uznać za pozytywny. Jednak w politycznym bilansie należy koniecznie uwzględnić „rozmywające” działanie władz, które z tego starcia wyszły zwycięsko, likwidując ogniska oporu nim urosły one w siłę. Nastroje społeczne w Polsce nigdy nie sprzyjały i nadal nie sprzyjają przyjęciu parafrazy starorzymskiej maksymy: *gloria victis*. W społeczeństwie pozbawionym politycznej alternatywy, tkwiącym na mieliźnie ekonomicznych niedostatków i obaw przed karzącą bezzasadnie władzą, przyzwyczajonym do serwilizmu, nawet policyjno-pańkarskie „zwycięstwo” nie tylko zniechęca do oporu ale przysparza zarazem niewolniczego szacunku władzy.

Ciężko mi poddawać krytyce działanie, które poruszyło „... rozlicznym tłumem z pustą, leniwą duszą” i szerokim echem rozniosło po świecie świadectwo polskich aspiracji. Trzeba jednak koniecznie zwrócić uwagę na naiwność, która świadome politycznej gry kręgi warszawskiej elity młodzieży akademickiej zbliża pod względem dojrzałości taktycznej bardziej do Savonaroli niż do dwudziestowiecznych polityków. Anachronizm metod walki politycznej jest tym większym zarzutem, że dotyczy ludzi o dużym zasobie wiedzy teoretycznej, zorientowanych — nie tylko z racji studiów — o przewrotności systemu, przeciw któremu zamierzali wystąpić. Przebieg wypadków pozwolił im we wczesnej fazie zorientować się, że to nie oni prowadzą do konfrontacji lecz władze. Zdawali sobie doskonale sprawę z własnego nieprzygotowania i niedojrzałości nastrojów społecznych. Wiedzieli najlepiej o braku organizacji, która byłaby w siłach sprawnie poprowadzić akcję. Powinni więc uchylić się od wybuchu jawnego konfliktu, niechby zaplanowane uderzenie policyjnych pałek trafiło w próżnię. Niechby przed ciosem ocalały niezorganizowane, słabe jeszcze szeregi kombatantów, niechby przewidywana od dawna akcja „oczyszczania ośrodków akademickich i naukowych od zarazy” racjonalizmu i ideowości, krytycyzmu i godności nauki, nie zyskała dymnej zasłony petardowych eksplozji na Krakowskim Przedmieściu.

Wielu bohaterów polskiego socjalizmu o ludzkim obliczu znalazło się, z wiadomych względów, poza granicami kraju. Wydawało się, że sformują tam jakąś grupę, że ich głos będzie docierał do kraju, że sami dokonają analizy tego, w czym uczestniczyli nie

jako widzowie. Dwa lata to dość długi okres dla prawdziwych działaczy politycznych na otrząśnięcie się i podjęcie dalszej walki. Niestety, nie mamy znaku żywotności politycznej od młodych emigrantów, którzy przecież od Polski nie mają i mieć nigdy nie będą odwołania po akcie „zaślubin” z jej historią. Obawiamy się, że w nowym otoczeniu pogłębiła się ich deformacja wyobrażeń społeczno-politycznych pod wpływem „udokumentowanych” teorii o przesunięciu się punktu ciężkości rewolucji ze środowiska robotniczego do ośrodków akademickich, do „naukowego proletariatu” wykorzystywanego tam przez kapitał a tu przez władzę „ludową”. Odbicie tych poglądów spotykamy w kraju wśród młodych ludzi traktujących świat z wyżyn wyczytanej wiedzy. Wystawiają oni zdecydowanie negatywne oceny robotnikom za ich powściągliwość, za brak ich czynnego wystąpienia w obronie „bitych synów” — przeciwko aparatowi biurokratycznemu.

To jeden z najbardziej szkodliwych, jeżeli wręcz nie najszkodliwszy skutek zastarzałego polskiego snobizowania się na Zachód. Wynika z automatycznego, bezkrytycznego przenoszenia na rodzimy grunt nowinek, odnoszących się do społeczeństw wyprzedzających nas o dobre pół wieku intensywnego, pomyślnego rozwoju gospodarczego i cały wiek rozwoju instytucji społeczno-politycznych. Owe anachroniczne „prawdy” w znacznej mierze czyniły dotychczasowy ruch oporu, pod auspicjami lewicy akademickiej, niewydarzonym. Tym samym pozwalały biurokracji partyjnej zbierać obfite żniwo na niezorganizowanej, niedojrzałej do szerszych porozumień, nieświadomej konieczności prawdziwie konspiracyjnych metod ochrony ruchu przed policją lewicy akademickiej. Ona chciała działać na wzór Paryża, Harvard czy Filadelfii zapominając o Rakowieckiej, Gołędzinowie, ORMO.

Warto wreszcie przypomnieć, że nawet w okresach „przypląwu fali rewolucyjnej” młodszy, mniej zahartowani i bardziej zapaleni działacze, wychowani w kulcie mierzenia sił na zamiary, przeżywali gorycze zawodu z racji nieruchomości mas, nierozumienia przez nie własnych interesów, ulegania psychicznej i fizycznej presji władz i ich sojuszników, niechęci — czy wręcz pospolitej obawy przed udziałem w łamaniu ustabilizowanych ram porządku społecznego. Ze względów taktycznych nie znajdujemy tych negatywnych ocen w oficjalnych proklamacjach, za to dużo ich w prywatnych papierach wodzów rewolucji — nawet tych zwyciężkich. Zawsze bowiem siłom postępu i oporu przewodzili wychodzący z warstw i klas najwyższej ukształtowanych. Zawsze przeżywali oni trudności porozumienia się z najliczebniejszymi i decydującymi o historycznych zwrotach masami chłopów, mieszczan czy robotników. Historia ocalała głównie nazwiska tych, którzy nie

ulegli łatwej pokusie zabłyśnięcia we własnym elitarnym środowisku, a swoje poglądy tłumaczyli wytrwale, stopniowo, obrazowo, komunikatywnie, zrozumiale po prostu — z własnego języka abstrakcyjnych pojęć na ubogi język 2000 słów konkretnych i zrozumiałych powszechnie.

Siły anachronicznie „wybiegające” w zachodnie stosunki społeczne, muszą ponosić porażki. Tak też musiało się stać z uroczą, pełną fantazji i inteligencji, pełną dobrej woli i świadomości obecnego dramatu Polski — najwyżej kilkusetosobową grupą — młodzieży naukowej, dydaktycznej, studenckiej. Nie wolno jej uznawać źle rozegranej rundy za pełną klęskę. Nie wolno marnować ducha bojowości, świadomości i gorzkiego doświadczenia — tak bardzo brakujących ogółowi naszej społeczności, która „dźwiękiem świątecznej orkiestry resztki sumienia głuszy”.

Jeżeli ocalała od marcowego pogromu większość świadomej politycznie i zaangażowanej młodzieży akademickiej zechce zejść z piedestału elitarności — znajdzie w najbliższym otoczeniu wielu sprzymierzeńców, z którymi wprawdzie trzeba trochę popracować ale, gdy dorosną do samodzielnego działania — podejmą je z zapałem. Warunki, w jakich znajduje się obecnie młoda inteligencja, sprzyjają krzewieniu ducha sprzeciwu i podejmowaniu działań opozycyjnych. Rzeczywistość zgotowała jej wejście „w dorosłe życie” gorsze, niż mogli sobie wyobrazić. W istocie dawno już są przeciwko panującemu systemowi politycznemu, jednak nie występują przeciw niemu w obawie przed szkodami, jakie nierozważne działania mogłoby przynieść. Główną przeszkodą dla wielu młodych inteligentów jest trudność ustalenia granic między koniecznym i dopuszczalnym paraliżowaniem poczynań władzy, a wystąpieniami groźnymi dla ogółu społecznego. Brak przemyśleń na temat faktycznej sytuacji powoduje, że jedni obserwatorzy widzą marazm, inni zaś doraźne wystąpienia uliczne — podjęte pod wrażeniem chwili — traktują jako odbicie nastrojów.

Prawda jest inna. Wypadki czechosłowackie, bardziej niż marcowe, pozytywnie oddziały na świadomość młodzieży w ośrodkach naukowych, również poza tradycyjnie buntowniczymi placówkami uniwersyteckimi. Rozpolitykowanie młodych specjalistów z dziedzin techniki i nauk ścisłych, nowe zainteresowania ideowe i polityczne, próby politycznego działania podejmowane przez bierne dotychczas środowiska, mogą okazać się zjawiskiem bardzo poważnym — jeżeli pomóc w ich utrzymaniu i rozszerzeniu. Studenterię podnieca wciąż jeszcze wspomnienie gorących dni, w których otrzymała polityczny chrzest z rąk policyjnych pałkarzy. W miarę upływu czasu rośnie i niepokoi legenda bohaterów marca. Sprzyja jej fakt, że utrzymują się dotkliwie, repre-

syjne zaostżenia w dziedzinach merytorycznie od studiów odległych, jak na studium wojskowym, na polu „polit-gramoty”, praktyki robotnicze. Oczywiście wpływa ogólne pogorszenie sytuacji ekonomicznej kraju. Są to naturalne warunki do radykalizacji nastrojów. Postępuje ona w małych grupkach „pewnych” kolegów. Nad środowiskiem wisi bowiem świadomość licznych konfidentów, zawerbowanych w trakcie wypadków marcowych. W ubiegłym roku akademickim starsze roczniki zadbały o uświadomienie najmłodszego narybku z pierwszych kursów. Prawdopodobnie w roku bieżącym powtórzy się to znowu. Poczucie zagrożenia nie sprzyja pacyfikacji nastrojów. Przeciwnie, niepokoi i wykształca gotowość odporu.



Wyobrażam sobie Pana, mój Szanowny Nieznany Adresacie, jako Osobę bliską *Kulturze* (tej paryskiej). Jestem pełen uznania dla pracy tego miesięcznika, dla roli jaką odgrywa w narodowym, słabym jeszcze sprzysiężeniu przeciw ciemnogrodowi z prawa i ciemnogrodowi z lewa. Dla jego uporczywej walki o czysty nurt radykalizmu społecznego, bezwzględного wobec kołtunów i reakcji, dla jego niezłomnych porachunków z irracjonalizmem, mistycyzmem, mętniactwem, nietolerancją, ograniczeniem horyzontów, partykularyzmem swojskiego chowu, który doprowadził naród do wielu katastrof ale wciąż tylko sobie przypisuje monopol na miłość ojczyzny, na polityczną mądrość, na ideologiczny dogmatyzm i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Nie mam ostatnio okazji do czytania *Kultury*, ale skoro tutaj prowadzi się przeciw niej wściekłą nagonkę, nieomylny to znak, iż pozostaje wierna swoim założeniom. Pewno zauważył Pan, że dogmatycy komunistyczni zawsze o wiele drastyczniej zwalczają inne odcienie lewicy społecznej, niż nurty wręcz reakcyjne. A więc mogą być pewien konsekwencji *Kultury*.

Z równą serdecznością jak wobec bohaterów marca muszę wyrazić jednak swój krytyczny stosunek do *Kultury* a to ze względu na Kozłowskiego i jego robotę. Nie powinni byli poważni ludzie akceptować młodzieńczej skłonności do brawury.

Opieram się na informacjach tutejszych, na przekazach AFP, na „Wolnej Europie”. Ze źródeł tych nie wynika bynajmniej, że *Kultura* szykowała jakieś specjalne wydawnictwa na kraj. Jeżeli w dodatku jej, przenoszone na zielono przez Tatry, broszury i książki były składane wielką czcionką, na papierze o dużej gramaturze — to tym bardziej nie posiadam się ze zdumienia. Wszak-

że ktoś w Paryżu powinien wiedzieć, jakie wymogi stawia się „bibule”.

Słyszałem, że o zakończeniu działań wojennych w Algierii, mimo woli tamtejszych dowódców francuskich, zdecydowały radiowe aparaty tranzystorowe, własność żołnierzy. Ponad głowami generałów dotarł do nich tą drogą pokojowy apel de Gaulle'a. Cytuję ten charakterystyczny dla współczesności fakt celem wyciągnięcia wniosków o anachronizmie przemytu „bibuły” w dobie milionowych odbiorników radiowych. Nie mogę również uwierzyć, żeby wnukowie Iwaszkiewicza, synowie wybitnych profesorów, asystenci wydziałów humanistycznych mieli większe trudności z prywatnym i oficjalnym (w bibliotekach „prohibitów”) sięganiem do kolejnych numerów *Kultury* w Polsce. Jeżeli istotnie uznali za słuszne kolportowanie treści w niej zawartych, to przecież o wiele łatwiej byłoby im powielać najcenniejsze pozycje tu, na miejscu, bez ponoszenia niewspółmiernego ryzyka na międzynarodowym szlaku. Skoro na państwowym papierze w państwowych drukarniach, bez zgody cenzury, bije się dziesiątki tysięcy egzemplarzy wydawnictw religijnych, to z niewiele większym ryzykiem można powielać przedruki z *Kultury* na służbowych ksyrografach.

Wbrew komentarzom „Wolnej Europy” sprawa Kozłowskiego i towarzyszy wcale nie zbłaźniła władz w oczach krajowej opinii. Niestety, znów był to osłepiający „mistrzostwem” fajerwerk policyjny, znów władza „ludowa” nie omieszkała zademonstrować „łaskawości” dla „przestępców”.

Sprawa Kozłowskiego i towarzyszy wskazuje na uporczywe powtarzanie błędu z okresu wcześniejszego. Mimo, że ci młodzi ludzie są rzeczywistymi lewicowcami także nie przewidywali wyjścia poza własne, inteligenckie środowisko — do robotników. Byłoby to o wiele pożyteczniejsze i owocniejsze, niż brawurowe popisy na żlebach i graniach tatrzańskich z kontrabandą w plecakach.

Niechże się Pan nie gniewa za rzucenie nowego kamienia w ogródek Emigracji, tym razem na pewno Politycznej. Bez względu na to, jaki użytek postanowi Pan zrobić z mego listu, bardzo proszę o przekazanie tych uwag Panu Giedroyciowi i Panu Miroszewskiemu wraz z wyrazami najgłębszego szacunku i uznania za ich trudną, ofiarną działalność na rzecz kraju.

Wreszcie ostatnie dygresja na marginesie incydentu taternickiego. Oto po raz pierwszy w PRL samodzielnie, z zamiarem *naprawy systemu socjalistycznego* wystąpiła spora grupa potomków inteligenckich rodów, którym w poprzednich generacjach lewicowość była obca. To nowe, bardzo ważne zjawisko oznacza, że ta

część społeczeństwa, która była najdalsza od udziału w parweniuzowskim wyścigu w PRL, która przeszła przez piekło przewar-tościowań, rozliczeń z przeszłością, odporu okrutnej krytyki Emigracji, która odbywała świadomą ekspiację za nieprawości klas posiadających — z których sama się wywodzi, wraca na scenę polityczną w odmienionej, odmłodzonej postaci. Wraca z czystymi rękoma i czystymi intencjami w roli obrońcy Polski — zgodnie z tradycjami rodowymi i środowiskowymi. Polski — nie byle jakiej, socjalistycznej, nowoczesnej pod względem systemu społecznego. Tych kilkudziesięciu młodych, działających i wtajemniczonych, to już zupełnie inny problem, niż synowie komunistycznych okręgowców, gazetempowskich agitatorów, przywódców kryptokomunistycznych związków zawodowych. Ci i tamci są kombatantami jednej sprawy, nie dzielą ich ani zapatrywania polityczne ani różnice pochodzenia społecznego i genealogii politycznych ich rodziców i naturalnego otoczenia.

Nowa generacja potomków rodów z herbami, szlifami generalskimi, pamiątkami po narodowych powstaniach, parantelami ministerialnymi — to absolutnie coś innego, niż kolekcjonowane w zielniku sowieckiego despotyzmu postacie „nawróconych” Żymierskich „ultra-lewicowych, czerwonych hrabiów” Drohojewskich, agentów Horodyńskich, Krasickich, Morawskich, Radziwiłłów na protokolarno-dyplomatycznych usługach, Iwazkiewiczów zaprzaństwa, Grzymków prowokacji, Mazurkiewiczów — „Radosławów” politycznej i moralnej degrengolady. Ci młodzi ludzie — już bez żadnego grymasu dwuznaczności — o Polsce mówią *nasz kraj*, o słabości PRL sądzą jako o *naszej słabości*, udział w najeździe na Czechosłowację nazywają *naszą hańbą* a zależność od Kremla — *hańbą socjalizmu*. Tamci starsi, mętni, dwulicowi, nie wahający się przed żadną podłością wobec przyjaciół, tradycji, nawet wobec pamięci o zmarłych, którzy darzyli ich zaufaniem, zawsze traktowali socjalizm tylko jako zło konieczne czy dobry osobisty interes.

Myślę, że coraz więcej młodych ludzi z rodzin o starych tradycjach politycznych skłonnych będzie czynnie wesprzeć Polskę i sprawę, która pozwoliłaby szaremu człowiekowi korzystać z wolności politycznej i owoców własnej pracy. To *signum temporis*. Podobne bowiem zjawiska notują kroniki polityczne krajów zachodnich a także inteligenckiej insurekcji w Związku Radzieckim.



Przyjrzyjmy się sytuacji w innych środowiskach młodzieży.
Fala kryzysowa „zahamuje” w następnej pięciolatce odpływ

młodzieży ze wsi. Tak twierdzą optymiści. Prawdopodobnie wychodźstwo do przemysłu na długo przestanie być powszechne. Rok bieżący możemy uznać za graniczny między dwoma okresami. W tym nowym już tylko nieznaczna, wybijająca się specjalnymi kwalifikacjami część młodzieży rolniczej będzie miała otwartą drogę do miast. A więc na wsi nastąpi znaczne, ponad potrzeby gospodarcze zagęszczenie — ze wszystkimi negatywnymi skutkami tego zjawiska. Młodzież przygotowana i gotująca się do pracy poza rolnictwem stanie się szybko załążkiem fermentu, jakiego wieś polska nie zna od trzydziestolecia. Dawno osłabiony brakiem kadr (bo poszło to wszystko na etaty partyjne i państwowe) i brakiem programu Związek Młodzieży Wiejskiej — najdynamiczniejsza organizacja krajowa lat popaździernikowych, nie zdołała opanować sytuacji. Podobnie Moczar ze swoim ORMÓ, LOKiem, strażą pożarną i innymi pozorami wychowawczymi przestrojonymi w szyszaki i mundury.

Na wsi zarysuje się wreszcie prawdziwy konflikt społeczno-ekonomiczny. Nie będzie on miał charakteru „walki pokoleń”, ruina zagrozi nie tylko starym i niedołącznym. Przywrócony zostanie szacunek ziemi, inaczej niż dotychczas zacznie się liczyć produkcja, osłabnie jeszcze — już i tak ograniczone — zainteresowanie konsumpcją. Spodziewać się należy wzrostu obciążeń pośrednich i bezpośrednich dla rolnictwa... I oto okaże się, że aparat biurokratyczny, „ludowy” będzie uprzywilejowywać w pełni sprawne gospodarstwa ze szkodą dla słabych i podupadłych. Powoli wszystkie te niespodziewane i dziwne zjawiska będą dynamizowały nastroje wśród młodzieży. Nie przybiorą one charakteru wysokooorganizowanej siły politycznej, w rodzaju przedwojennych „Wici”, ale radykalizacja młodego pokolenia chłopów stanie się wkrótce nowym, nieznanym dotychczas czynnikiem na wsi polskiej.

W trudnej sytuacji znajdzie się też młodzież urzędnicza wszystkich kategorii. Ewentualność „degradacji społecznej” w postaci przeszkolenia zawodowego i podjęcia pracy fizycznej, już dziś staje się obsesją znacznych grup w środowiskach drobnomieszczańskich. Dzięki temu Moczar i jego następcy mogą kompletować coraz bardziej bezwzględny aparat policyjny, który jednak nie zmieści wszystkich amatorów. Pozostali powiększają środowisko lumpowskie, kłopotliwe dla organów porządku publicznego ale nie w sensie politycznym.

Należy przewidywać, że niebezpieczne zwiększenie stanu najgroźniejszego bezrobocia — bezrobocia wśród młodych ludzi, władza spróbuje rozładować zwiększeniem stanów wojska i, nawet,

przedłużeniem służby wojskowej pod pretekstem zapewnienia w czasie służby przygotowania zawodowego.

Inaczej sytuacja kształtuje się wśród robotniczej młodzieży. W zasadzie nie będzie jej groziła perspektywa braku zatrudnienia. Jednak mimo to jaszczukowa „zmiana frontu” wyrządza najdotkliwsze szkody właśnie tej grupie. Ograniczenie wypłat robotniczych poważnie osłabia tempo przechodzenia młodych robotników „na swoje”. Redukcje, przyspieszone emerytury, obniżone zarobki w rodzinie zwiększają obowiązki młodych wobec rodziców i młodszego rodzeństwa. Atmosfera przygnębienia w zwartych, tradycyjnych środowiskach robotniczych dokonuje reszty.

Młodzież robotniczą od starych, przedwojennych robotników dzieli istotne różnice świadomości. Młodzi wolni są od obciążeń „ideologicznych” i naturalnych sentymentów dla zakładów pracy, gdyż warunki społeczne a tym bardziej płace nie sprzyjały wykształceniu tych doniosłych wartości w młodym pokoleniu. Stabilizuje się ono dość opornie i wciąż marzy o znalezieniu dogodniejszego miejsca pracy. Tym bardziej reakcja młodzieży robotniczej na antyrobotnicze przedsięwzięcia władzy nabierze bardzo drastycznych cech. Nie będą to strajki, wymagające wysokiej świadomości społecznej i dyscypliny, czyli tego, czego młodym najbardziej brak. Będą to doraźne, żywiołowe przerwy w pracy, jakie już obecnie zaczynają się w różnych miejscach, będą to „legalne” formy organizowania bojkotu produkcji przy pomocy zwolnień lekarskich, pozorowanych niedyspozycji, ślimaczego tempa roboty itp. Ponieważ jednak wszystkie te poczynania nie spowodują powiększenia okrojonych wypłat robotniczych, przywrócenia nadgodzin itd., cicha walka będzie się nasilać i przyjmować coraz bardziej charakter szkodnictwa i presji fizycznej wobec dozoru. Gorycz młodzieży robotniczej, ujawni się w tendencyjnym psuciu urządzeń, przeszkadzaniu w sprawnej produkcji, groźbach wobec zwierzchnictwa.

W żadnym wypadku nie można pochwałać czy popierać podobnych aktów, godzących w najszersze interesy społeczne. Trudno jest dziwić się przejawom niskiej kultury społecznej i świadomości młodych robotników, skoro przychodzi im na każdym kroku konstatować nieprzychylność władz, ograniczanie ich stopy życiowej a jednocześnie nie znajdują żadnych psychicznych równoważników, legalnych możliwości przeciwstawienia się niesprawiedliwości. Trzeba jednak odnotować, że nawet w okresie stalinowskim organa partyjne i policyjne były bezradne wobec tego rodzaju drastycznych demonstracji niezadowolenia robotniczego, choć wówczas aparat polityczny, aktyw i aparat oficjalnego i nieoficjalnego nadzoru policyjnego w fabrykach był o wiele liczeb-

niejszy niż obecnie. Choć wówczas podobne ekscesy ograniczała silna więź środowiskowa i duma klasowa starych zakładów fabrycznych, a amatorów takiego „odgrywkowego” szkodnictwa było stosunkowo mało wobec postawy klasy robotniczej. Obecnie jednak większość zakładów przemysłowych i ogromna większość przedsiębiorstw budowlanych, transportowych itd., to nowe jednostki gospodarcze, często powstałe na dziewiczych terenach, a jeszcze częściej formujące załogi robotnicze poprzez werbunek w odległych regionach kraju, czy w znacznej odległości od lokalizacji zakładów. Niechże za ilustrację obecnego stanu rzeczy posłuży przykład „Fabloku” w Chrzanowie, który przed wojną ogromną większość załogi miał na miejscu; w latach pięćdziesiątych kształtowała się ona już tylko w połowie z ludzi okolicznych, a obecnie ponad 80 % załogi dojeżdża z dwudziestu kilku różnych miejscowości województwa krakowskiego.

Spędzający kawał życia w pociągu czy autobusie robotnik z reguły nie jest patriotą swojego zakładu. Rzuca pracę przy byle okazji. Fluktuacja załóg jest jedną z najbardziej typowych i dotkliwych chorób „socjalistycznego” przemysłu. Dotychczas słabość ta była jednak sprzymierzeńcem aparatu biurokratycznego. Obecnie, ze względu na brak więzi uczuciowej z zakładami, może stać się klęską dla produkcji.

Przed szerokim zasięgiem ruchu prymitywnej „samoobrony” robotniczej uchronić może jedynie rzetelna perspektywa ukazana młodemu robotnikom. Reżym biurokratyczny nie jest już zdolny do jej zarysowania. Zgrał cały kredyt zaufania i żadne umizgi do robotników, którym Jaszczuk proponuje dalsze cierpliwe oczekiwanie na wątpliwą poprawę, nie zmienią sytuacji na lepsze; podobnie, jak w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy żadne apele nie odnosiły już skutku — robotnicy wszystkie uznawali za następny oszukańczy wybieg władzy.

Wiele symptomów wskazuje, że obecna sytuacja w kraju jest bardziej napięta niż w 1956 roku. Szczególnie wśród młodzieży robotniczej. Robotnicze pokolenie „pieszczochów”, nieprzygotowane do przełknięcia gorzkiej pigułki spreparowanej przez reżym czuje się zmuszone do walki o interesy własne i swego środowiska.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że masowym ruchom robotniczym w Polsce zawsze przewodzili ludzie młodzi. Zapowiada się zwrot w kierunku dawnych tradycji, którym nie mógł poświęcić kresu system *robotniczy jedynie z nazwy*. Szkoda tylko, że młodzież robotnicza podejmuje swą misję bez przygotowania politycznego.

III

Szanowny Panie!

Proszę wybaczyć powódz dygresji, zatrzymywanie się nad różnymi szczegółami, które zaciemniały zasadniczy przewód.

Staram się wychodzić na przeciw stereotypom, jakie ciążą nad naszymi wyobrażeniami. Dla większości wynika z nich usprawiedliwienie bezczynności społecznej, która w warunkach polskich będzie niedługo obchodzić swoje smutne ćwierćwiecze. W oparciu o te same przesłanki próbuję wykazać nie tylko potrzebę ale i możliwość działania. Staram się zarysować problemy w bodaj przybliżonym ich skomplikowaniu i uwarunkowaniu, rzucić więcej światła na sprawy obrastające fałszywą legendą.

Wreszcie wobec tego listu jest Pan i stroną i arbitrem. List musi się więc bronić sam — także owymi dygresjami i szczegółami, przeszkodzić w pochopnym osądzeniu intencji, autora właściwości propozycji wspólnego działania.

Nie będąc pewien jasności przewodu pozwolę sobie wypunktować w tezach główne myśli zawarte w poprzednich częściach oraz konkretne propozycje dla Emigracji Politycznej.

Przedtem jeszcze winienem Panu wyjaśnienie w sprawie, moim zdaniem, najważniejszej i dotyczącej nie tylko Polski.

Spółeczeństwo nasze znalazło się na krawędzi przepaści. Jeszcze kilka lat braku prawdziwie opozycyjnej alternatywy, a w psychice jego nastąpią zmiany nie do odrobienia. Warunki ekonomiczne będą naród polski spychały coraz bardziej do rządu plebsu w dynamicznie rozwijającej się społeczności światowej.

Od zrozumienia tych niebezpieczeństw i wyciągnięcia z nich

wniosków przy, być może, niepowtarzalnej okazji obecnego okresu, zależy już nawet nie nasza tradycja kulturowa (bez której świat może się znakomicie obyć), nie nasze aspiracje narodowe (których klęska wcale nie jest wyjątkowa w długim rejestrze krzywd historycznych wszechczasów i współczesności). Nie chodzi o nasze obowiązki kontynuacji bytu narodowego, bo i te kwestie we współczesnym świecie nie wydają się — z racjonalistycznego punktu widzenia — aż tak ważne, by podejmować ogromny trud z niewiadomym skutkiem. Chodzi o to, że *casus Polska (oraz inne kraje Europy Wschodniej) wciąż jeszcze nie rozumiany przez zajęty sobą, syty Zachód, nie jest wyłącznie sprawą Polaków i innych krajów-niewolników oraz ich ciemiężcy, ale także sprawą Zachodu, sprawą przyszłości całej ludzkości. Krótkowzroczność polityków, a jeszcze bardziej społeczeństw Zachodu, próby żelaznej czy atomowej kurtyny, dzielącej — według ich zamysłów — kontynent na dwoje, odwracanie się tyłem do nas — nic dobrego przynieść nie mogą. Ani im ani nam.*

To pierwszy aspekt sprawy — nazwijmy go uniwersalistycznym.

Ze względu na tradycje polityczne, wielkość państwa (liczba ludności, ogólny potencjał gospodarczy) i położenie geograficzne — Polska odgrywa rolę języczka u wagi całego regionu. Analiza dotychczasowej sytuacji politycznej wskazuje na to, że pod nieobecność polityczną naszego społeczeństwa — ale w jego imieniu — ów wschodnioeuropejski „języczek” przechyla zdecydowanie szalę na korzyść kremlowskich władców. Na korzyść nie socjalizmu lecz imperialistycznej biurokracji sowieckiej. Przedwczoraj oznaczało to dramat Węgier, wczoraj — Czechosłowacji, ciągle uniemożliwia skuteczne działanie sił opozycyjnych na Ukrainie, Łotwie, Litwie, Białorusi. Niebezpieczeństwo ustabilizowania dyktatury sowietoidów w Polsce może nawet negatywnie przesądzić sprawę rewolucyjnego przełomu w Rosji czy w łonie wspólnoty Związku Radzieckiego.

To drugi aspekt, nazwijmy go „obozowym”.

Dopiero na trzecim miejscu, skromnie, bez pychy narodowej i szowinistycznego zacietrzewienia, postawmy problem nam najbliższy, problem naszej niewoli, ubóstwa, obumierania wielkiej społeczności — bez perspektywy poprawy własnego losu.

Przekształcenia gospodarcze i polityczne Zachodniej Europy zdecydowały już o usunięciu Polski poza margines zainteresowań. Nie pomogło kilku lat ogromnych wysiłków, by kraj nasz mógł utrzymać się na europejskiej scenie jako kontrahent handlowy i jako partner polityczny (lata 1959-1965). Tym mocniejsze

przytwierdzenie do rydwanu sowieckiego zapowiada coraz gorsze skutki dla następnych pokoleń Polaków.

Rezerwatowe neo-niewolnictwo w systemie sowieckim grozi nieobliczalnymi następstwami. Narody dotknięte tym nieszczęściem po dalszych latach spokoju nie znajdują już nigdy siły i sposobności, by zyskać rzeczywiste zrównanie ze swoimi „panami”-biurokratami. Wynika to z niezwyklej koncentracji siły w rękach klas rządzących. Dwudziestowieczna technika niszczenia oporu i zapobiegania niesubordynacji w systemach „autorytatywnych” potęguje w skali dawniej niespotykanej różnicę sił na niekorzyść niewolników.

Sowiecki system jest społecznie i gospodarczo nieefektywny. Przynosi same straty, marnuje naturalne wartości. Sprzyja zwiększaniu różnic między gospodarkami społeczeństw po zachodniemu wolnych a po sowiecku niewolnych — głównie na skutek świadomie założonej rezygnacji z dynamiki społecznej i z ograniczenia postępu technologicznego. Bezzasadnie skazuje setki milionów — w tym 32 miliony Polaków — na atrofie myśli i ascezę materialną. Jest więc po prostu wsteczny w sensie ekonomicznym i społecznym i, jak uczą marksiści, powinien ustąpić wyższym formom organizacji społecznej. Nie ustąpi, jeżeli zniszczona do cna autentyczna więź społeczna, będąca podstawą działania, nie zostanie szybko odbudowana, jeżeli społeczeństwo nie zostanie uzbrojone w oręż walki, odpowiadający nowej sytuacji między panami a niewolnikami i drastycznej nierówności ich sił.

Mówiąc o pilnej odbudowie, mam na myśli niebezpieczeństwo, jakie sugestywnie zarysował Orwell. Jego wymyśleni niewolnicy nie buntują się już, bo nie mogą sobie wyobrazić innych warunków bytowania. Dziś to niebezpieczeństwo grozi wszystkim krajom komunistycznym z wyjątkiem Czechosłowacji, gdzie czas jakiś trwać będzie pamięć Stycznia-Sierpnia 1968 roku. Stan społeczeństwa sowieckiego najlepiej ilustruje do czego prowadzi stabilizacja systemu nowoczesnego niewolnictwa. Robotnicy, kołchoźnicy — choć na własnym krzyżu odczuwają ciężary sowieckiej wegetacji — mają za złe nielicznym intelektualistom i kręgom opozycji ich krytykę ustroju.

Na Zachodzie przywiązuje się duże znaczenie do rozgrywek toczących się „na górze” każdego państwa komunistycznego, co wynika z podświadomego przydawania walorów autentycznej walki politycznej — jak na Zachodzie — jej wschodnim pozorom. Losy Chruszczowa powinny wyjaśnić, że na Kremlu prawdziwy zwrot, nawet umiarkowany, jest nie do pomyślenia wobec postawy biurokracji pilnującej swego interesu i wobec braku autentycznego życia społecznego w szerszych warstwach. W krajach

zwasalizowanych — sytuacja jest identyczna. Oligarchia sowie-
toidów działa pod kloszem sowieckiego protektoratu, dokonuje
różnych przegrupowań, ale nie prowadzi prawdziwej walki. Toczy
się tam wieczny wyścig do super-pańskiej ręki kremłowskiej lecz
nie dochodzi do ścierania koncepcji. Praktycznie nie istnieją żadne
stałe ugrupowania lecz wciąż zmieniające się konfiguracje perso-
nalne, które nie znajdują faktycznego odbicia w społeczeństwie
a pomagają jedynie drobnomieszczańsko-urzędniczym warstwom
tworzyć całą gamę złudnych pozorów. Chodzi bowiem o to, by
społeczeństwo dzięki politycznym plotkom i tendencyjnym „nie-
dyskrecjom” miało *złudzenia nadziei na jakieś zmiany*, których
faktycznie nikt podjąć nie zamierza.

Każdorazowy pomazaniec Kremla jest nietykalny dla całej ota-
czającej go sfory. Chyba, że Kreml nakaze jego „demokratyczne”
usunięcie następnemu, wyznaczonemu pretendentowi do władzy.
Że tak właśnie jest a nie inaczej — wskazują losy różnych poma-
zańców. Gdy np. Ochab „wiarołomnie” zrezygnował z sakry —
Moskwa poczuła się oszukana. Bohater rumuńskiej schizmy naj-
pierw uzyskał moskiewski mandat a dopiero później znalazł dość
sił i odwagi, by uchylić się z kręgu łaski pańskiej. Losy Dubcze-
ka czy Nagy’ego — ludzi ważących się bez uprzedniej zgody czy
późniejszego sowieckiego zatwierdzenia (jak np. Gomułka) sięgać
po berło są dostatecznie wymowne.

Mamy w Polsce dostatecznie ~~w~~ wielu serwilistów, gotowych do
objęcia spadku po Gomułce. Możemy założyć, że po jego fizycz-
nej czy politycznej śmierci, łaska Kremla spadnie na człowieczka
jeszcze mierniejszego i jeszcze mniejszym cieszącego się mirem.
Tacy bowiem służą najwierniej i takich najłatwiej się pozbyć,
kiedy wybija ich godzina. Na Dymitrowie i Piecku skończyła się
generacja poważnych przywódców komunistycznych. Na Ulbrich-
cie i Gomułce skończy się generacja drugorzędnych działaczy.
Następni namiestnicy Moskwy będą już tylko partyjnymi biuro-
kratami, w stylu Żiwkowa.

Tak więc na rozgrywki „u góry” nie ma co liczyć. Może więc
na nagłą katastrofę sowieckiego imperium — jak we snach naiw-
nych emigrantów? I w takim wypadku władza pozostanie w rę-
kach biurokracji. Nawet jeżeli szefem państwa polskiego okazałby
się sam Bolesław Piasecki (jedyna zresztą postać w Polsce, dys-
ponująca własną siatką organizacyjną obejmującą cały kraj),
człowiek, który może rościć pretensje do obecnej władzy, że
posługuje się jego „ideami” bez uznania ich autorstwa. Z dotych-
czasowych aliansów politycznych Piaseckiego łatwo wnosić że
poza czysto „dekoracyjnymi” zabiegami w rodzaju ponownego

ukoronowania orła białego i retuszu konstytucji — władza działałaby podobnie i opierała się na tych samych kręgach, co obecnie.

Deformacje psycho-społeczne w „obozie socjalistycznym” w znacznej mierze są naturalną konsekwencją upadku terroru stalinowskiego w 1955 roku i złagodzenie represji politycznych. Groźba utraty głowy, wieloletniego więzienia czy obozu pracy wyzwalały sprzeciw u wszystkich potencjalnie zagrożonych. Postalinowska „wolność” spowodowała gwałtowny spadek napięć społecznych.

Szczególnie ostro wystąpiło to zjawisko w Polsce, gdzie październikowe odprężenie stopniowo przekształciło się w lojalizm i serwilizm, nawet w tych grupach, które z władzą sowiecką i komunistami miały zadawnione i dramatyczne porachunki. Doszło niemal do całkowitego wygaśnięcia ognisk oporu politycznego wszędzie, poza samą partią i grupami jej dysydentów. Bo — jak wyjaśniłem już poprzednio — na Wschodzie przez politykę rozumie się tylko pretendowanie do władzy, a amatorów tejże — poza kręgami partyjnymi nie ma. Bo Polacy uwierzyli sowieckiej propagandzie, jakoby na naszym globie poza tendencją „imperialistyczno-kapitalistyczną” i „komunistyczno-sowiecką”, na nic innego nie było już miejsca. Mimo urazów i niechęci do koncepcji sowiecko-komunistycznej, Polacy nie znajdują podstaw do podjęcia walki o realizację jej rzekomego przeciwieństwa. Gdyż brak jest zrozumienia dla oczywistej sprawy, że *programowy ruch sprzeciwu wobec rządów sowieckich mianowców, nawet bez sięgania po władzę i bez oglądania się na Zachód, jest koniecznością najpilniejszą, ze względu na nieuniknione, fatalne skutki wytworzenia pustki moralno-politycznej, umacniającej nieodwołalnie system istniejący i przekreślającej możliwości odrodzenia społecznego kiedykolwiek w przyszłości.*

W tych warunkach, dla ludzi świadomych zagrożenia, pierwszym obowiązkiem staje się spowodowanie ożywienia społecznego, sprzyjanie nawiązaniu prostych, bezpośrednio więzi społecznych — jako działania opozycyjnego. W początkowym stadium nie chodzi nawet o podważanie władzy, ale o najszerze formy oddziaływania i zachęcania do działań symbolicznych, mieszczących się w granicach legalności. O konfrontację formalnych praw z faktyczną samowolą władz. O konfrontację, która wykazałaby społeczeństwu drzemiące w nim siły i zachęciła do rozwijania głębszej pracy organizacyjnej aż do wysokoukształtowanej konspiracji politycznej włącznie. O stworzenie przesłanek i wytyczenie łożyska dla szerokiego ruchu społeczno-politycznego, który w miarę przewidywanego rozwoju sytuacji, w miarę potwierdzania się właściwej oceny międzynarodowych i wewnętrz-

nych przekształceń sytuacji mogłby rosnać w żywiołowe pospolite ruszenie. Taka zresztą zawsze jest funkcja ośrodków inicjujących masowe ruchy polityczne. Taka była funkcja różnych przedsięwzięć politycznych, podejmowanych w nie lepszych, a częstokroć gorszych nawet, warunkach niż te, które są przedmiotem naszej obecnej goryczy. Wymieńmy dla porównania polską lewicę marksistowską, organizacje czynu zbrojnego spod znaku Piłsudskiego, Ligę Narodową, Ligę Polską w. XIX, lub radykalny ruch ludowy czy komunistyczny w okresie międzywojennym.

Podjęcie szerokich, dostępnych dla bardzo różnych ludzi, legalnych form działalności, traktowanych jako demonstracje sprzeciwu, sterowanych przez siły jawnie dystansujące się od reżymu warszawskiego i przeciwstawne mu — powinny rozniecić cień nadziei, który urośnie z czasem do zasadniczej przeszkody na drodze arbitralnego kształtowania losów Polaków — bez ich udziału i wbrew ich najżywotniejszym interesom.

Płaszczyzną szerokiego działania powinny stać się zagadnienia etyki. Wskazuje na to szereg istotnych czynników.

Ogólnoludzka, a nawet ściślej mówiąc — chrześcijańska etyka, jest naturalnym dobrem dziedzicznym całej populacji europejskiej, przekazywanym z pokolenia w pokolenie nie tylko w trybie zinstytucjonalizowanym. Z niej wyrastają i nauki kościołów chrześcijańskich, i ruchy lewicy społecznej, i wartości kulturalne, jakie każdemu dziecku musi zaszcześcić nawet najbardziej „laicka” szkoła. Płaszczyzna porozumienia i dziedzina są więc szeroko znane; społeczna świadomość „dobra i zła” — ustalona; komunikatywność problematyki — przesądzona z góry. Odchylenia od zasadniczej linii wprowadzane przez tzw. etykę komunistyczną, bynajmniej nie są opozycyjne wobec przewodniej idei chrześcijaństwa i jego aktualnych poszukiwań na świecie.

Praktyczna likwidacja najprostszych zasad etyki jest naturalnym celem każdego systemu totalitarnego, bowiem łatwiej kierować społeczeństwem pozbawionym „kręgosłupa” aprobowanych i przestrzeganych norm. Dlatego od zarania władzy sowieckiej po dziś dzień, na wszystkich terenach podporządkowanych Kremłowi, trwa powszechna walka z zasadami etyki. Nie przyjmuje ona programowego charakteru, przebiega skrycie, praktycznie nikt nią nie kieruje. W rzeczywistości wszyscy „uprawnieni do nauczania” w imieniu władzy realizują ten sam w skutkach niepisany program. Jako główne narzędzie służy „dialektyczna” kazuistyka, prowadząca do wdrożenia podstawowego stereotypu, że ustalanie wartościujących sądów etycznych jest monopolem nieomylnego aparatu biurokratycznego. Oceny mogą się zmieniać,

nawet stawać się z sobą sprzeczne, jednak zawsze obowiązuje ostatnia, aktualna wykładnia i to bez konfrontacji z poprzednimi.

Określone naruszanie elementarnych zasad *human relations*, także wypływających z zasad uniwersalnej etyki, jest wyróżnikiem dla całego aparatu biurokratycznego i schlebiających mu warstw. Proklamowanie walki o te codzienne wartości, które zagubiły się w PRL, spowodować powinno zróżnicowanie postaw w łonie pośrednich, drobnomieszczańskich warstw, tym ostrzej odkrywając osamotnienie zdecydowanie obcej biurokratycznej narośli.

Już w świetle powyższych stwierdzeń walka o wartości etyczne i odrodzenie — w oparciu o nie — zerwanej więzi społecznej, nabiera charakteru politycznego. Uzasadnień dla jej podjęcia jest o wiele więcej.

Uniwersalistyczne wartości etyczne stanowią bazę porozumienia dla wielu polskich i nie tylko polskich ugrupowań, zainteresowanych w obaleniu władztwa sowietoidów i sowietów w Polsce oraz jej otoczeniu. Daleki jestem od sięgania w nieznaną mi sferę czeskich, ukraińskich, litewskich itd. ugrupowań antysowieckich. W oparciu o „Wolną Europę” mogę jednak stwierdzić, że etyka (często, niestety jedynie etyka) stanowi grunt dla rozmaitych wystąpień na terenie ZSRR. Taki sam podkład miały dominujące tendencje w Czechosłowacji między Stycznem a Sierpniem, również po inwazji i utrzymujące się po dzień dzisiejszy w formach utajonych. W wystąpieniach polskiej i innych emigracji dominuje ton goryczy wobec gwałtów dokonywanych codziennie na etyce w krajach sowieckiego władztwa. Można więc założyć, że etyka stanowi element łączący, podstawę do dyskusji, do podjęcia wspólnej działalności przez różne, nawet przeciwstawne sobie siły i ugrupowania narodowe a także przez różne nurty w łonie polskiej Emigracji Politycznej.

Zdecydowany sprzeciw etyczny wobec nieprawości biurokracji i jej służ, łączy dziś w kraju najróżniejsze orientacje. Opozycja Kościoła zasadza się niemal na tych samych przesłankach etycznych, co opozycja ateistyczna wśród intelektualistów, co opozycja dysydentów partyjnych i grup „wątpliwości i niezadowolonia” w łonie samej partii czy jej przybudówek. Należy więc przyjąć, że inicjowana walka o wartości etyczne — o odbudowę zniszczonej, autentycznej więzi międzyludzkiej — znajdzie szerokie poparcie z najróżniejszych stron.

Wypada wreszcie zwrócić uwagę na istotną wartość takiego podejścia do problematyki politycznej krajów i ludów zniewolonych przez sowiecki system biurokratyczny — dla oddziaływania na Zachodzie. Wydaje się, że czynniki emigracyjne koncentrują swoją uwagę w propagandzie „na zewnątrz” na środowiskach ofi-

cyjnych polityków. W okresie wiszącej w powietrzu wojny orientacja ta znajdowała uzasadnienie w poszukiwaniu poparcia sprawy polskiej przez potencjalnych — jak się Panom wydawało — zwycięzców. Od chruszczowskiej odwilży, od czasu aż nazbyt głębokiej reorientacji Zachodu, ten typ przypominania polskiej krzywdy stracił na sile i wartości.

Wydaje się konieczne inne działanie. Wskazuje na to przykład Żydów. Stałe, skoordynowane, uparte, nieraz nawet dalekie od poczucia elementarnej sprawiedliwości oddziaływanie skupisk żydowskich na opinię światową, przyniosło i przynosi żydowskiemu państwu Izrael nie mniejsze chyba korzyści, niż samodzielna jego działalność propagandowa i dyplomatyczna. Polaków w „wolnym świecie” nie jest, zdaje się, wcale mniej, ale wolą się koncentrować na własnych rozrachunkach z reżymem warszawskim i na własnych nadziejach na powrót w cieniu amerykańskich czołgów. Skoro jednak ta stawka wzięła w łeb — wypadaloby się Emigracji przeorientować. Ustąpić od klamek zagranicznych kancelarii i wyjść naprzeciw nieoficjalnym, społecznym czynnikom, których wpływ na polityczne decyzje w warunkach demokracji zachodniej mógłby się okazać pożyteczny dla naszej sprawy.

W przewidywaniu praktycznych skutków naszej z Panem korespondencji, pragnę pójść jeszcze dalej. Otóż ze szczególną uwagą śledzę niepokoje sytej i wysokoukształtowanej młodzieży na Zachodzie. Pozwalam sobie na hipotezę, że z tych pozornie nieskoordynowanych, anarchistycznych, bezprogramowych ruchów sprzeciwu wyklują się jednak nowe wartości. Trudno przewidzieć na jaką skalę. Trudno powiedzieć o jakim charakterze. Trudno określić ich skutki. Czy ruch młodych „stających dęba” wobec niedogodności tamtejszego życia, przypomina opozycję przeciw Synhedrionowi w przededniu pojawienia się Chrystusa, czy tylko niepokój „Młodej Europy” z połowy ubiegłego stulecia? Czy ich działanie doprowadzi do jawnej konfrontacji z wszechwładnym kultem konsumpcji na miarę rewolucji Lutra, czy zostanie skanalizowane przez jakiegoś Innocentego III w postaci zinstytucjonalizowanych minorytów?

Zarówno w onych historycznych wypadkach jak i obecnie skostniała opinia i instrumenty jej kształtowania traktują z równą pogardą i wyższością przejawy „masowego nieprzystosowania”, nawet jeżeli są one w istocie rewolucjami otwierającymi nowe epoki. Siły zniewolone do statusu permanentnie niezadowolonych, tak jak my, Polacy, powinny szukać sojuszników przede wszystkim w środowiskach niosących ferment i nadzieje na zmiany. Nawet, jeżeli to miały być tylko taktyczne aliansy.

Podstawowe treści i cele naszej dyskusji pozostają polityczne.

Etyką zajmuję się jedynie o tyle, o ile może ona rozbudzić uśpione i apatyczne społeczeństwo, decydować o zmianie sytuacji politycznej, o ile istnieją naturalne zbieżności między nakazami etyki a polityczną dążnością do zwalczania przemocy. Dlatego też znajduję dostateczne motywy dla zabiegania o porozumienie z autentycznym ruchem społecznym, który pod najszerszej pojętymi hasłami wolności, pokoju, braterstwa, sprawiedliwości — czyli równie ewangelicznymi co politycznymi — decyduje się na ostre przeciwstawienie się obojętności swoich społeczeństw, zasklepieniu cywilizacji przemysłowej w nieprzenikliwej skorupie egoizmu. Czy nie sądzi Pan, że istnieje dostatecznie dużo przesłanek dla rozbudzenia zainteresowań tej młodzieży Polską, Czechosłowacją, Ukrainą itd., że ich naturalna potrzeba działania mogłaby znaleźć ujście na odcinku, który my, z narodowych racji, reprezentujemy? A więc i od tej strony spodziewać się można korzyści z wysunięcia na pierwszy plan problematyki etycznej. Próby dogadania się z młodzieżą zachodnią nie przekreśliłyby zarazem żadnych mitów-nadziei na dogadanie się Emigracji z politykami, w których ręce narody, Bóg, Przypadek czy Historia złożyły losy ludzkości.

Sumując — inicjowanie szerokiej walki przeciw degrengoladzie społecznej, o odrodzenie etyki i nawiązanie zerwanej więzi międzyludzkiej w kategoriach społecznych i ze społecznymi celami — jest nie tylko najwłaściwszym w danych warunkach krajowych odcinkiem politycznego szturm na reżym biurokratyczny. Tworzy zarazem szerokie możliwości rozwijania i umacniania ruchu oporu, przechodzenie do wyższych form organizacji i podjęcia *par excellence* politycznego szturm, gdy sprzyjać będą okoliczności i gdy dojrzeje do niego. Jeżeli tej walki nie podjąć dziś — jutro okaże się spóźniona. Jeżeli nie podtrzymać społeczeństwa w warunkach skrajnego przygnębienia i postępującej szybko deprawacji, jeżeli obojętnie przypatrywać się desperackim wybuchom — nieskutecznym ze względu na ich słabość i brak właściwego kierownictwa — jeżeli nie przygotowywać szerokiego oporu wobec zamierzonej wieloletniej awantury sowieckiej na Dalekim Wschodzie, to w warunkach formalnego przystąpienia do działań wojennych i wprowadzonych na ten okres ustaw specjalnych stanie się niemożliwe rozwinięcie ruchu i Polska wkroczy w nowy okres dotkliwych, przesądających ostatecznie o jej losach, strat moralnych, psychicznych i fizycznych.

Sumując — walka o etykę społeczną Polaków w kraju stwarza platformę porozumienia z sąsiedzkimi ludami, stwarza platformę do podjęcia zabiegów propagandowych wobec społeczności zachodnich i znajdowania w nich poparcia naszych działań. Poz-

wala wreszcie przegrupować siły emigracyjne, tkwiące w zastarzałych partykularzach; pozwala na szybszą konsolidację całej społeczności emigracyjnej, na utworzenie kompetentego, reprezentatywnego, dynamicznego ośrodka Emigracji Politycznej, w którym skupiłyby się znów wszystkie uczciwe siły narodowe — zarówno z Emigracji jak i z kraju, siły zdecydowane na walkę o Polskę Wolną.

Nie mogę wchodzić w sam tryb formowania takiego ośrodka. Nie wiem gdzie szukać ludzi, którzy bez pytania kogokolwiek o zgodę zechcieliby zabrać się do pierwszych kroków przygotowawczych. Wiem tylko, że muszą to być ludzie z autorytetem, nawet jeżeli nie są znani w kraju. Ludzie z odwagą myślenia i działania w sprawie polskiej, szczególnie gdy przyjdzie łącać tradycyjne wyobrażenia o relacjach: kraj — Emigracja, „legalizm” bezczynności — działanie polityczne, zastarzałe stereotypy — racjonalizm koniecznych przewartościowań, pozakomunistyczna „czystość” — współpraca z marksistami. Jestem pewien, że tacy ludzie są na Emigracji, że znajdą się do takiej roboty, że spotkają się ze zrozumieniem wśród różnych generacji emigracyjnych, które zgłoszą swój akces do działania na miarę historyczną.

Będzie to praca rozległa, wymagająca bardzo różnych kwalifikacji. Ośrodek winien stać się kuźnią nowej, pragmatycznej koncepcji politycznej, która nie odrzuci żadnego porozumienia taktycznego, przynoszącego korzyści. Powinien wypracować nowoczesne poglądy na stosunki między narodem polskim a całym bliższym i dalszym światem. Na zasadzie likwidacji zastarzałych sporów i fobii, na zasadzie wielkodusznej, ale nie demonstracyjnej, skłonności do ustępstw w kwestiach, jakie wyniknąć mogą między nami a sąsiadami. Powinien wypracować zarys nowych zasad współżycia i współdziałania z nimi, określania optymalnych rozwiązań gospodarczych, ustrojowych, ogólnopolitycznych dla obszaru gnębionego dziś przez imperializm sowiecki. Powinien propagować zasypywanie starych przepaści w imię lepszej dla nas i innych narodów przyszłości. Powinien być ośrodkiem dojrzewania nowej alternatywy dla naszego społeczeństwa, zgodnie z jego świadomością i w pełnym z nim porozumieniu. Powinien stać się centralą, w której zbiegną się polskie przekazy dobrej woli, nim ferment ogarnie kraj.

Trudno przewidzieć wszystkie obowiązki, jakie przysłoby podjąć ośrodkowi Emigracji Politycznej. Pragnę zatrzymać się nad, moim zdaniem, najważniejszymi.

Za kluczową sprawę w pierwszym okresie działania uważam podjęcie właściwej polityki programowej na falach eteru, ponie-

waż ta droga kontaktu z krajem i oddziaływania na jego nastroje jest najbardziej uniwersalna, najdynamiczniejsza i najbezpieczniejsza.

„Wolna Europa” tylko pozornie spełnia czy mogłaby spełniać takie zadania. Cieszy się ona wielką popularnością w kraju, bo kilkanaście godzin codziennego programu w języku polskim daje każdemu możliwość „zachodnich przeżyć” za przekręceniem gałki. Ale „Wolna Europa” już dawno zatraciła dynamizm. Stała się organem o pewnej wartości informacyjnej lecz nie propagandowej. Po -nastu latach najróżniejszych „modulacji głosu” wyczerpała swój repertuar i inwencję, siadła na mieliznie bezkonceptyjnego krytykanctwa na podobieństwo naszych tutejszych kawiarnianych bywalców. Jej krytyka pogłębia jedynie defetystyczny stan nastrojów w kraju. „Wolna Europa” nie wskazuje kierunków działania, nie mobilizuje do przeciwstawienia się i oporu. Bywa, że — jak w wypadku mnożenia „makabresek” ilustrujących metody śledztwa w PRL — skutecznie gra na rzecz reżymu, któremu zależy na zastraszeniu społeczeństwa. Bywa, że — jak w wypadkach dopuszczania do głosu różnych zbankrutowanych, operetkowych postaci w rodzaju pułkownika Korneckiego — reakcją słuchaczy na tego rodzaju „rewelacje” jest tylko wzrastająca rezerwa.

„Wolnej Europie” brak, być może, propagandowej koncepcji, albo woli jej nie mieć. Ale nie ulega wątpliwości, że odpowiedni program radiowy powinien odegrać decydującą rolę we wstępnej fazie budzenia ogółu społeczeństwa z apatii i letargu i dodawania sformowanym już luźnym grupom opozycyjnym otuchy. W dalszych okresach przekaz radiowy także będzie miał duże znaczenie ale przestanie być jedynym potężnym czynnikiem, mobilizującym do walki.

Drugim zadaniem o niezwykle znaczeniu na każdym etapie naszej działalności, jest przygotowanie programu społeczno-ekonomicznego dla Polski. Programu — alternatywy bezideowości, bezprogramowości, marazmu dotychczasowej władzy, chodzącej w sowieckim chomacie. Nie mogą to być żadne akty strzeliste czy popisy patriotyczno-bogu-ojczyźnianej kazuistyki, w rodzaju programów i deklaracji, od napoleońskich odezwo do chełmskich manifestów czy VIII-plenumowych obietnic. Gorzka dojrzałość narodu polskiego spowodowałaby, że proklamacje-chorągiewki pozostałyby bez odzewu. Społeczeństwo pragnie przede wszystkim rzetelnej oceny sytuacji, której odmawiają mu wszystkie kolejne władze, wybierane i niewyberane, legalne i nielegalne — od przeszło 35 lat. Niczym nieuleczalnie chory — naród polski ostatni dowiadywał się o swym rzeczywistym położeniu. O „połudzie” Rzeczypospolitej — od hitlerowskiego Wehrmachtu, o war-

tości zachodnich gwarancji — od Sowietów. O możliwościach pozytywnych rozwiązań gospodarczych, społecznych i politycznych, gwarantujących Polakom bodaj minimum swobód obywatelskich i dosyć chleba powszedniego pod bezpiecznym niebem — wciąż jeszcze od nikogo. Czas więc po polsku odpowiedzieć na naturalną ciekawość sytuacji i perspektyw. Bez upiększania jutra i bez przecerniania rzeczywistości krajowej, takie bowiem zabiegi szczególnie sprzyjają pogłębianiu nieufności Polaków do każdego typu propagandy.

Czas również, żeby ogólnonarodowe podsumowanie i planowanie na przyszłość było dorobkiem ekspertów a nie polityków. Żeby politycy byli tylko inicjatorami tych prac a następnie żeby uznali je za wytyczne własnego działania. Pora zerwać z tradycją, według której każdy lokator Zamku, Belwederu, poczwórnie strzeżonego skrzydła Białego Domu zna się lepiej na stosunkach międzynarodowych, socjologii, technice i technologii, ekonomice i wojskowości — od specjalistów koncentrujących na wybranych dziedzinach całe swoje życie, talenty i umiejętności.

Niechże nasz program narodowy nie obiecuje złotych gór; jeśli wykaże jedynie konsekwencje dalszego upadku pod obecną władzą — będzie już dostatecznie rewolucyjny i mobilizujący. Niechże nie obiecuje gruszek na wierzbie, lecz zarysuje możliwość przekształcenia Polski w kraj posiadający realną perspektywę poprawy swojej egzystencji i stosunków wewnętrznych, a skupi setki tysięcy bojowników w kraju.

Z pilnym przygotowaniem całościowego programu wiąże się trzeci problem: nawiązanie roboczych związków z ośrodkami emigracji politycznych z krajów Europy Wschodniej. Oczywiście najważniejsze będzie zadeklarowanie i przekonanie tych reprezentacji narodowych, że Polska nie wystąpi z żadnymi roszczeniami terytorialnymi i innego rodzaju rewindykacjami. Akcja „Wolnej Europy” (w postaci ciągłego ogrywania lwowskich i wileńskich płyt) nie może być traktowana jako głos Polski. Ale to tylko wstępny problem. Ośrodek musi działać w kierunku sprzężenia badań naukowych nad przyszlą organizacją gospodarczą i polityczną całego regionu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przedwojenny partykularyzm narodowy i „socjalistyczna” jego kontynuacja, przynosiły i przynoszą nadal dotkliwe szkody wszystkim naszym narodom i nie stanowią bazy dla przyszłych porozumień. Krajom naszym przyjdzie znaleźć odpowiednią formułę ścisłego współdziałania, które odpowiadać będzie wspólnym interesom oraz zabezpieczy nas przed skutkami postępującej integracji świata zachodniego.

Prace należy rozpocząć już dzisiaj. Trzeba oswoić się z tymi

perspektywami, stanowiącymi niewątpliwą nowość. Trzeba będzie przygotować nasze społeczeństwa, karmione zatrutym owocem wiekowych nienawiści, do rewizji poglądów w oparciu o konkretne perspektywy.

Czwartym wreszcie, bardzo istotnym, zadaniem dla ośrodka będzie znalezienie innych sił współdziałających z nami. Wśród nich szczególną rolę może odegrać podjęcie dialogu z Pekinem.

Chodzi o sprawę czysto taktyczną, a nie o czerpanie ideowych nauk w duchu dalekowschodnim. Porozumienie takie ma równe znaczenie dla władz chińskich jak i dla polskiego ruchu oporu. „Klasyczna” ideologiczno-dywersyjna opozycja prochińska w krajach demokracji ludowych i Sowietach okazała się nieefektywna. A la-mijałowe partyjki, koterie, „opozycje” rozbijają się o mur europejskiej obojętności. Mowa-trawa z Tirany (nawet nie w poprawnej polszczyźnie) nikogo tu nie przekona. Mają Chińczycy swoje racje polityczne patronując mijalowej robocie. Są oni chyba zbyt dobrze zorientowani w układzie stosunków i nastrojach w Polsce, by wierzyć w skuteczność takiego partnerstwa.

Myślę, że obecne stosunki z Rumunią, z Jugosławią a także *démarche* chińskie z 1956 roku (które ocaliło, być może, Warszawę od losu Budapesztu), chińskie stosunki z państwami zachodnimi — wskazują na fakt, że innymi drogami chadza chińska polityka zagraniczna a innymi wewnętrzną. Trudno byłoby mieć, że Chiny pragną narzucić swoją zwierzchność polityczną odległym krajom. Różnią się tym znakomicie od butnych, prymitywnych oligarchów moskiewskich.

Myślę, że w obliczu realnego zagrożenia sowieckiego i wobec zbieżności interesów społeczeństw wschodnioeuropejskich i Chin Ludowych, zarysują się możliwości obustronnie korzystnych porozumień. Powinniśmy być do nich gotowi. Przygotowanie warunków do takiego zbliżenia to jedno z podstawowych zadań ośrodka. Trudno bowiem przypuszczać, by Pekin życzył sobie stosunków z sennym polskim Londynem i by spotkał się tam z czym innym jak z egzorcyzmami.

Nowej sytuacji polskiej powinno odpowiadać takie przegrupowanie sił polskiej reprezentacji narodowej na obczyźnie, by mogła ona być zarazem przedstawicielstwem opinii emigracyjnej i polskiej opozycji w kraju.

Oto pierwsze potrzeby działania, którym kraj sam nie podoła. To są warunki konieczne do etycznego i politycznego ożywienia pustyni społecznej na naszych ziemiach.



Prawdopodobnie obaj z pewnym zażenowaniem wspominamy dzisiaj czasy schematycznych wyobrażeń, według których drogi nasze nigdy krzyżować się nie powinny. Przez lata rozmyślań nieco przychylniej poczęliśmy się sobie wzajem przypatrywać i rosło w nas coś na kształt zrozumienia, czy uznania nawet. Mojego dla Pańskiej niezłomności. Pańskiego — dla naszych dokonań mimo zależności od Sowietów i naszego spóźnionego ale uczciwego refleksu, mającego na względzie bynajmniej nie osobiste kariery.

Wierzę, że skoro nadeszła godzina działania, że skoro bez jednolitej, ogólnonarodowej akcji wszystkie inne okazują się daremne, powinniśmy ostatecznie zaniechać jałowych rozpamiętywań i zająć się trasowaniem narodowej przyszłości na prawach równych partnerów i z dostatecznym zaufaniem wzajemnym.

Choć jednak nie w równej sytuacji. Teraz Pan może działać dla Polski efektywniej. I — na szczęście — bez osobistych zagrożeń.

Oto zarys platformy porozumienia:

1. W roku 1970 następują bardzo poważne zmiany międzynarodowe, które bądź wprost, bądź pośrednio, przyczyniają się do otworzenia nowej perspektywy dla sprawy polskiej. Są to:
 - odprężenie stosunków między Sowietami a Zachodem;
 - uregulowanie powojennych stosunków z NRF;
 - likwidowanie napięcia politycznego w rejonie bliskowschodnim;
 - odprężenie na terenie europejskim;
 - oczekiwanie ZSRR na udzielenie poważnej pomocy ekonomicznej przez kraje kapitalistyczne.

Zmiany te, wynikają przede wszystkim z inicjatywy dyplomatycznej ZSRR. Pozwalają one wnioskować głębokie przeorientowanie polityki sowieckiej. Główną ich przyczyną jest zamiar skoncentrowania się na konflikcie z Chinami. Tylko Chiny stanowią we współczesnym świecie zagrożenia dla imperjalizmu sowieckiego.

Sz szczególnie niebezpieczne wydaje się Kremlowi wystąpienie azjatyckich mniejszości narodowych w łonie sowieckiej wspólnoty państwowej, które były gnębione przez Rosjan od dawna i skłonne są znaleźć patrona w nowym, pozaeuropejskim mocarstwie. Kreml obawia się szybkiego wzrostu siły militarnej Chin i dlatego zamierza wojnę prewencyjną.

Pozytywny stosunek do inicjatyw radzieckich pozwala przypuszczać, że rządy zachodnie, głównie USA, liczą na przerodzenie konfliktu polityczno-ideologicznego w otwartą konfrontację wojenną między potęgami świata komunistycznego i że widzą w takim rozwoju wypadków własne korzyści.

2. Nieuchronność takiego rozwoju spraw wynika także z analizy konsekwencji wewnętrznych i „wewnątrzobozowych”:
- z podpisaniem umowy z NRF oraz przyjęciem kredytów niemieckich dotychczasowy „straszak” niemiecki przestaje być dla reżymu uzasadnieniem skrajnych oszczędności, narzuconych własnej ludności;
 - przestaje to być uzasadnieniem ścisłego uzależnienia krajów wschodnioeuropejskich od metropolii moskiewskiej oraz pozorem, pozwalającym utrzymywać na terenie tych państw garnizony armii sowieckiej;
 - dalsze przedsięwzięcia o charakterze odprężeniowym, w których uczestniczą ZSRR i USA, działają na świadomość społeczną tak w Sowietach jak i w krajach „demokracji ludowej” podobnie jak rozwiązanie problemów niemieckich;
 - w tych warunkach cała „obóz socjalistyczny” pozostaje bez „bodźca zagrożenia zewnętrznego” — głównego instrumentu integrującego Sowiety od pierwszej chwili istnienia po dzień dzisiejszy. Na miejsce „umorzonych straszaków” nie wprowadza się na razie żadnego pozytywnego bodźca, integrującego oddzielne społeczeństwa i całą populację „obozową”. W obecnych warunkach degrengolady politycznej i ideowej, zastoju przemysłowego, niewydolności rolnictwa, kryzysu wzajemnych stosunków gospodarczych i stosunków „obozu” z krajami zewnętrznymi — nie ma możliwości kreowania nowej *pozytywnej* polityki wewnętrznej w państwach obozu sowieckiego (zresztą, po krótkim okresie euforii rewolucyjnej, państwa te nigdy nie mogły oprzeć się na pozytywnych bodźcach integrujących);
 - obecna „cisza propagandowa” jest jedynie przejściem od „teorii” zagrożenia z Zachodu do rozpętania hysterii zagrożenia ze strony Chin. Wskazują na to zarówno sowieckie przedsięwzięcia dyplomatyczne jak i nasilenie niewybrednych napaści prasowych i radiowych na Chiny;
 - ZSRR ponosi od kilku lat poważne koszty przedsięwzięć o wyraźnie ofensywnym charakterze, wymierzone przeciw Chinom. Dotyczy to rozbudowy dalekowschodniej bazy zaopatrzenia żywnościowego, budowy drogi lądowej do Oceanu Indyjskiego (przez Afganistan i Pakistan); tworzenie oficjalnych i maskowanych baz lotniczych i wojenno-morskich na Oceanie Indyjskim, grupowanie floty na Oceanie Indyjskim i Pacyfiku, dalsza rozbudowa floty, która nie odpowiada wymogom ewentualnej konfrontacji z siłami Zachodu ale charakteryzuje się dostatecznymi walorami ofensywnymi na wypadek konfliktu zbrojnego z niżej zorganizowanymi przeciwnikami; szybka

rozbudowa przemysłu motoryzacyjnego, dyslokacje wojsk naziemnych, raketowych, lotniczych oraz budowa lotnisk w pobliżu spodziewanego teatru wojny.

3. Kreml ma świadomość, że bez poważnej „rewolucji technologicznej” i rozwoju zapóźnionych działów przemysłu (o charakterze konsumpcyjnym) sytuacja gospodarcza ZSRR będzie coraz trudniejsza, groźna dla samego istnienia obecnego reżymu. Zwrot w dziedzinie gospodarczej nie jest wszakże możliwy bez otrzymania poważnej pomocy technicznej i kapitałowej z krajów wysoko rozwiniętego Zachodu i Japonii. Dla zachęcenia tych kontrahentów do podjęcia sowieckich ofert nieodzowne staje się wyraźne i zasadnicze zreorientowanie polityki zagranicznej, dotychczas głównie nastawionej na prowokowanie państw kapitalistycznych. Przygotowania i wejście w stan zbrojnego starcia z Chinami stanowi dostatecznie wymowne świadectwo „pokojowych” intencji władz radzieckich wobec Zachodu, jako że wyklucza działania militarne w innych regionach świata. Kreml dąży zarazem do zapewnienia neutralności świata kapitalistycznego wobec konfliktu dalekowschodniego.

W warunkach pokojowych, w obecnym czasie poważnych napięć wewnętrznych i ograniczenia zasięgu autorytetu moralnego partii komunistycznej, nie byłoby możliwe przeprowadzenie zmian w technologii sowieckiej bez niebezpiecznych wstrząsów. Otwarcie nowej sytuacji wojennej pozwoli bez większych trudności na rekonstrukcję przemysłu sowieckiego. Tak więc wojna z Chinami absorbująca uwagę całego społeczeństwa, nie grożąca większymi stratami materialnymi dla Związku Radzieckiego oraz pozwalająca na utrzymanie a nawet zaostrzenie reżymu oszczędności konsumpcyjnych ludności — wydaje się Kremlowi panaceum na dolegliwości obecnego położenia.

4. W podobnej sytuacji (Polska w najgorszej) znajdują się europejskie kraje „demokracji ludowej”. Ponieważ odległa o tysiące kilometrów wojna na Dalekim Wschodzie nie zagrazi bezpośrednio ich terytoriom, ponieważ znakomicie ułatwi opanowanie wewnętrznych trudności społecznych i gospodarczych — przygotowania do rozprawy z Chinami znajdują wśród sowietoidów pełne zrozumienie i poparcie.

Od 1967 roku, kiedy polscy oligarchowie partyjni zdecydowali się porzucić umiarkowane stanowisko wobec Chin, Warszawa reprezentuje najskrajniejszy wśród kdl'ów kierunek prokremłowskiej polityki i wiąże największe nadzieje z wybuchem konfliktu dalekowschodniego.

5. Prowokacja marcową z 1968 roku wykazała, jak poważnie oceniają władze warszawskie nastroje społeczne w kraju. Prowo-

kacyjne wystąpienie policji wynikało z obaw przed szybkim rozszerzeniem się liberalnych tendencji czeskich w całym kraju (także wśród członków partii oraz odłamu aktywnu społeczno-politycznego i gospodarczego).

Prowokacja ujawniła bierność społeczeństwa i brak zorganizowanych sił oporu politycznego. Atmosfera niezadowolenia i niepokoju nie była wszakże identyczna z wolą czynnego przeciwstawienia się władzy.

Pałkarskie zwycięstwo przy akompaniamencie antysyjonistycznych ekscesów propagandowych, zapewniło jednak tylko na krótki czas spokój. Wyniął on z poczucia bezsilności niezadowolonych i pokrzywdzonych grup społeczeństwa, oraz braku politycznej alternatywy obecnych stosunków politycznych.

W okresie ostatnich dwóch lat sytuacja i nastroje w kraju zmieniły się bardzo poważnie a to w związku z:

- konsekwencjami nowej polityki światowej ZSRR (omówionymi wyżej) a szczególnie wobec odstępstwa władzy od umocnianego przez całe ćwierćwiecze przekonania o nieustępliwości Polski wobec „zagrożenia” niemieckiego;
- całkowitym upadkiem autorytetu władz i aparatu w wyniku niesprawdzenia się zapowiedzi poprawy sytuacji, obficie rzuconych w czasie czystki 1968 roku;
- dwoma klęskowymi, nieurodzajnymi latami w rolnictwie;
- poważnym wzrostem niezadowolenia wśród chłopstwa;
- poważnymi brakami zaopatrzenia rynku w artykuły powszechnej konsumpcji i wyścigiem cen na wiele artykułów pierwszej potrzeby;
- proklamowaniem nowej polityki gospodarczej, która w pierwszej fazie wyraża się drastycznym ograniczeniem konsumpcji społecznej (ograniczenie zatrudnienia, zamrożenie płac, ograniczenie funduszy płac, ograniczenie produkcji wielu artykułów, ograniczenie ilości oddawanych do użytku nowych mieszkań i innych inwestycji, poważny wzrost kosztów utrzymania) i nie rokuje dla podstawowych rzesz ludności poprawy warunków także w dalszych latach;
- wyraźnym antyrobotniczym charakterem nowych przedsięwzięć, które wyrażają się przerzuceniem nadmiernych ciężarów reform gospodarczych na robotników; które spowodowały poważne rozszerzenie bezrobocia faktycznego w całym kraju i — po raz pierwszy w PRL — w starych ośrodkach przemysłowych, w rodzinach z robotniczymi tradycjami;
- nasilającymi się „demonstracjami siły” aparatu władzy, zmierzającymi do ograniczenia niebezpieczeństw żywołowych wystąpień robotniczych.

Przed marcem 1968 roku (mimo powszechnych objawów niezadowolenia w społeczności miejskiej) potrzeba alternatywy politycznej, która mogłaby zespolic w ruchu oporu część ludności (głównie robotników i kobiety pracujące — jako najbardziej upośledzone materialnie grupy, pracującą młodzież miejską i młodzież akademicką — jako najbardziej zapalne, elitę intelektualną i *menager*ów gospodarczych, dużą część inteligencji — technicznej, nauczycielstwa) nie była szerzej uświadomiona. Obecnie zarysowuje się rosnąca świadomość konieczności poszukiwania programu politycznego i podjęcia działań opozycyjnych. Trudności sytuacji rozszerzyły kręgi podatne na ferment polityczny i podjęcie umiarkowanych form walki (młodzież chłopska, młodzież robotnicza, środowiska urzędnicze). Nastroje społeczne przypominają okres 1954-55 z tym jednak, że wówczas były jeszcze znaczne grupy (głównie młodzieży), wierzące władzom i urzeczony dynamiką rozbudowy przemysłu. Dziś nie ma już ludzi, którzy zachowaliby naiwność z tamtych czasów.

Taka atmosfera sprzyja podjęciu akcji politycznej w formach, które pozwoliłyby na aktywizację społeczeństwa i stworzyłyby mu nadzieje na zmiany. Która pozwoliłaby ogółowi zorientować się we własnych siłach i zachęciła do nasilania walki politycznej, przygotowującej upadek biurokracji i zależności od Sowietów.

6. Zarysowujące się w perspektywie niewiele lat niebezpieczeństwo wysłania młodzieży polskiej na front sowiecko-chiński tym bardziej wskazuje na konieczność podjęcia akcji oporu. Bez szerokiej kampanii wyjaśniającej, uświadamiającej politycznie, określającej alternatywę polityczną rządów biurokratycznych — pobór *landsknecht*ów dla Sowietów nie natrafi w obecnych warunkach na większe trudności i sprzeczności. Przeciwnie, presja warunków ekonomicznych będzie sprzyjać zaciągowi na wojnę. W warunkach braku więzi społecznej, w warunkach ostrego nadzoru politycznego, wobec braku politycznej alternatywy — społeczeństwo podda się na kilka lat rygorom czasu wojny.

7. Stan potencjalnej gotowości do świadomego oporu politycznego nie jest jednoznaczny z możliwościami uruchomienia sił opozycyjnych. Wyjątkowo niesprzyjająca sytuacja (w której bynajmniej nie kuratela policyjna jest największą przeszkodą), wyklucza powodzenie akcji inicjowanej w samym kraju. Ale wiele krajowych ośrodków, grup i poszczególnych osób o znacznym prestiżu społecznym potrafi — po wstępnym roznieceniu nastrojów przez siły zewnętrzne — rozwinąć bogate, wielokierunkowe i skuteczne działania polityczne.

8. Dlatego nieodzowne staje się nawiązanie przez krajowe

grupy oporu politycznego współpracy z Emigracją Polityczną i powierzenie Jej sprawy rozbudzenia politycznego kraju przy pomocy przekazu radiowego.

Emigracja Polityczna powinna utworzyć ośrodek reprezentujący wszystkie siły opozycyjne w kraju i na obczyźnie, które uznają konieczność i słonne będą przyczynić się do rozwijania ruchu oporu w Polsce.

Ośrodek taki powinien uznać się mandatariuszem społeczeństwa polskiego i podjąć prace o szerokim charakterze. W pierwszym rzędzie nad analizą sytuacji, aktualnym programem działania i programem polityczno-społeczno-gospodarczym dla Polski wolnej od zależności sowieckiej; nad współpracą z przedstawicielstwami innych ludów Europy Wschodniej — zarówno w dziedzinie praktycznej akcji przeciw zależności od Sowietów, jak również nad planami przyszłości politycznej i gospodarczej wschodniego regionu Europy; nad nawiązywaniem zagranicznych stosunków z siłami, które mogą się przyczynić do realizacji podstawowych celów politycznych ruchu.

9. Należy prowadzić do przeorientowania tradycyjnych polskich wyobrażeń w dziedzinie polityki międzynarodowej. Chodzi przede wszystkim o uświadomienie sobie, że Zachód nie pragnie ani wolnej Polski ani wolności dla innych krajów poddanych sowieckiemu despotyzmowi. Nie znajduje w tym żadnego interesu własnego — gospodarczego czy militarnego. Pęknięcie okowów sowieckich groziłoby europejskim krajom dobrobytu poważnymi perturbacjami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi. Sowiety są naturalnym i pewnym gwarantem spokoju z tej strony i wcale mile widzianym partnerem gospodarczym, obdarzanym większym zaufaniem niż wszystkie inne kraje obozu wschodniego.

Umiarkowanego poparcia krajom cierpiącym pod Sowietami udzielić mogą przede wszystkim czynniki pozainstytucjonalne (opinia publiczna) i pozaparlamentarna opozycja. Ośrodek emigracyjny powinien zabiegać o ich względy i podjąć odpowiednie działania.

Zarysowują się warunki do taktycznego, leżącego w interesie obydwu stron, porozumienia z Pekinem. Nie oznacza to bynajmniej koncesji na rzecz maoizmu, stosunków z jego ideowymi ekspozyturami (w rodzaju „partii” Mijala) ani też rezygnacji z dążeń społeczeństwa polskiego do liberalizacji stosunków politycznych, odpowiadających osiągniętemu poziomowi społeczno-gospodarczemu kraju.

Reorientacja polityczna nie powinna oznaczać antagonizowania świata zachodniego.

Przyszła Polska będzie zabiegać o jego przychyłność i ułże-

nie wzajemnie korzystnych stosunków, będzie musiała niewątpliwie korzystać także z jego pomocy gospodarczej.

10. Celem podjęcia skutecznej pracy w imieniu polskiego społeczeństwa i dla kraju, wydaje się konieczne zrewidowanie pojęć o Emigracji Politycznej: dopuszczenie do niej na prawach równych partnerów opozycji marksistowskiej, stojącej na gruncie antybiurokratycznym i antysowieckim; zapewnienie prawa partnerstwa politycznego wszystkim grupom społecznym, działającym w kraju na rzecz obalenia systemu biurokratycznego i zależności od Sowietów.

Konieczne jest uznanie charakterystycznej dla hierarchii kościelnej — powściągliwości politycznej, która pozwoliła w najbardziej niesprzyjających okolicznościach terroru stalinowskiego na uformowanie swoistego bastionu oporu etycznego i nadal bazuje na elementach tamtego oporu w stosunku do tradycyjnych grup klerikalnych. Siły te, mimo swego konserwatyzmu społecznego, okażą się w pełni użyteczne dla obalenia reżymu, ale dopiero w zaawansowanej fazie roboty politycznej. Skąd też, przy laickim charakterze ruchu, należy wykluczyć jego antykościelny charakter, jako sprzeczny z polską tradycją narodową, tradycjami rzetelnej demokracji dwudziestowiecznej i niesłuszny wobec zmiany orientacji społecznej Kościoła Powszechnego — ważkiego elementu rozwiązania wielu skomplikowanych problemów współczesnego świata.



Chciałbym, wreszcie, przekazać Panu pewne uwagi do programu, określającego stosunki w wolnej Polsce, tej alternatywy obecnego reżymu. Sugestie nie wyczerpują całości zagadnień, nie pretendują do zbudowania zwartego systemu. To praca dla zespołów specjalistów, którzy w normalnych warunkach mogą dopracować się wniosków i podstawy do dyskusji z politykami. Taki pewno będzie tryb pracy, jeżeli Emigracja Polityczna zdecyduje się podjąć nasz apel o współdziałanie.

Wyłożone niżej sugestie są wypadkową naszych tutejszych poglądów i wyobrażeń o przyszłej Polsce. Są to kwestie, co do których osiągnięto zgodę i które nie budzą zastrzeżeń w naszym kręgu. Nie mają one na celu ograniczenia dyskusji nad konkretnym programem, który musi się rodzić za granicą, zmierzają jedynie do przedstawienia jego przyszłym autorom poglądów panujących w kraju.

Ustrój przyszłej Polski powinien odpowiadać jej zmienionej już strukturze. Należy więc określić go jako socjalistyczny. W odróżnieniu jednak od systemu sowieckiego powinien zabez-

pieńczy pełny i bezpośredni wpływ pracujących na funkcjonowanie ich zakładów prac (rady robotnicze), zrezygnować z monopartyjności, jako prowadzącej do nieuniknionych deformacji i z „dyktatury proletariatu”, jako formy utrzymującej się dłużej, niż wymagają tego interesy robotnicze, a służącej jedynie bezprawiu elity władzy i warstw biurokratycznych i przynoszącej szkody całemu społeczeństwu.

Zmiany sytuacji społecznej nie usprawiedliwiają utrzymywania instytucji publicznych, mających sens i znaczenie rewolucyjne w pierwszych latach ludowładztwa w krajach zacofanych.

Przez socjalistyczny charakter państwa rozumie się: brak grup wielkiego kapitału i jego wpływu na władzę; niedojrzałość i brak zainteresowania drobnych posiadaczy likwidacją ustroju, zabezpieczającego im dogodne warunki egzystencji; utrzymanie publicznej (społecznej, państwowej) własności środków produkcji, podstawowych środków transportu i łączności, instytucji bankowych; zarządzanie zakładami produkcyjnymi i częścią przedsiębiorstw usługowych (w których ponad 60 % załóg stanowią robotnicy) przez rady robotnicze; utrzymanie własności państwowej ziemi, lasów (w wielkich masywach), wód i kopalin; utrzymanie państwowych gospodarstw rolnych (także zarządzanych pod nadzorem rad robotniczych); utrzymanie i spodziewany — w dalszej przyszłości — rozwój gospodarstw spółdzielczych i spółdzielczo-wytwórczych na wsi.

Należy przewidzieć zmodernizowane instytucje demokratyczne dla naszego kraju. Ich podstawą powinno być uprawnienie do tworzenia partii politycznych i ugrupowań politycznych o charakterze lokalnym — bez ograniczeń administracyjnych. Parlament tworzony w wyniku wolnych wyborów. Miejsca w parlamencie zarezerwowane jedynie dla partii, które zdobędą co najmniej 15 % głosów. Kolegialna władza naczelna — rada państwa — wybierana przez elektorat poselski z tym jednak, że dla pełnego sprawowania nadzoru nad organami rządowymi przewidzieć należy odpowiednią liczbę miejsc dla przedstawicieli opozycji. Odnosi się to także do obsady kolegów najwyższej izby kontroli oraz trybunału konstytucyjnego — wybieranych przez sejm na okres o rok dłuższy od jego kadencji.

Rząd odpowiedzialny przed sejmem.

Terenem pełnej aktywizacji społeczno-politycznej winny stać się samorządy terytorialne. Podział administracyjny kraju winien być zmieniony w taki sposób, by dostosować go do obszarów stanowiących samowystarczalne regiony gospodarcze, działające bez dotacyjnego uzależnienia od rządu. W zakres tych samorządów przekazać się winno wszystkie sprawy związane z bezpośrednimi

interesami ludności, jak gospodarka mieszkaniowa i komunalna, ochrona zdrowia, wypoczynek i kultura itd. oraz problemy administracyjno-porządkowe, aż do spraw zabezpieczenia przed przestępstwami władcze.

Sądy muszą odzyskać niezależność od administracji państwowej. Należy przeprowadzić pełną weryfikację dotychczasowych sędziów pod względem obiektywizmu ich dotychczasowego orzekania.

Sędziów powoływać powinna rada państwa.

Sądy winny sprawować nadzór nad działalnością organów ścigania oraz zasadnością prawną aktów stanowionych przez administrację.

Należy przywrócić pełne prawa obywatelskie, a więc nietykalność osobistą, tajemnicę korespondencji i kontaktów poprzez publiczne środki łączności, prawo swobodnego wyboru miejsca zamieszkania w kraju i za granicą, prawo głoszenia poglądów politycznych, społecznych, religijnych, prawo zrzeszania się, ochronę prawną w każdej fazie stawiania przed organami ścigania, sądowymi i administracyjnymi.

Szczególnie podkreślić należy prawo zrzeszeń zawodowych i prawo do strajków, których brak stanowi o antyrobotniczym charakterze systemu sowieckiego. Dla ewentualnego rozjemstwa konfliktów z tytułu pracy najemnej należy przewidzieć powołanie specjalnej izby pracy, złożonej z przedstawicieli państwa, pracodawców publicznych i związków zawodowych.

Należy dopuścić do współzawodnictwa między państwowymi, spółdzielczymi, samorządowymi a indywidualnymi producentami. Wszyscy oni powinni być wobec prawa równi. Przez ograniczenie wielkości prywatnych przedsiębiorstw należy chronić socjalistyczny rozwój państwa przed kapitalistyczną recydywą. Ograniczenie to powinno mieć charakter ekonomiczny, a nie prawno-administracyjny (np. ustalanie form współwłasności państwowo-prywatnej powyżej pewnego limitu obrotów czy zatrudnienia) tak, by nie hamować sztucznie dynamizmu gospodarczego inicjatywy prywatnej.

Ustrój rolny, w którym podstawową formą gospodarstwa jest chłopski warsztat wytwórczy, powinno się utrzymać. Należy znieść ograniczenia, hamujące rozwój jednorodzinnych gospodarstw rolnych. Należy przewidzieć pomoc państwa dla intensyfikacji ich produkcji, zgodnie z interesami całego kraju, ale bez stosowania administracyjnych form presji na rolników odnośnie metod gospodarowania.

Państwo powinno odstąpić od sztywnego systemu planowania gospodarczego, drobiazgowego i o charakterze dyrektywnym.

Realizacja gospodarczych przedsięwzięć państwa winna postępować poprzez wykorzystywanie instrumentów finansowych a więc przez politykę fiskalną, politykę kredytową itd.

Należy stworzyć pełne warunki dla funkcjonowania rynku i liczyć się ze stopniową likwidacją administracyjnych ograniczeń gospodarki rynkowej. Należy oprzeć się głównie na materialnych bodźcach zainteresowania produkcją.

Ograniczenia rynkowe, samodzielność jednostek gospodarczych, uprawnień samorządowych itd. przewidzieć należy na okres przejściowy, nie dłuższy jak dwuletni, w którym — według z góry przewidzianego planu — powinno się stworzyć warunki dla podjęcia działania przez partie polityczne, związki zawodowe i rady robotnicze, itd. oraz przeprowadzić wybory sejmowe.

Wobec trudności utrzymujących się na rynku pracy, należy przewidzieć cały zespół przedsięwzięć organizacyjnych, szkoleniowych, płacowych, finansowych, zmierzających do likwidacji napięć tendencyjnie utrzymywanych przez obecną władzę. Chodzi m.in. o podniesienie minimalnych płac do poziomu gwarantującego utrzymanie rodziny przez jednego pracującego, wysoką progresję podatkową dla pracującego współmałżonka w rodzinie mniejszej niż 4-osobowa, rozszerzenie produkcji rzemieślniczo-chałupniczej, rozbudowę sfery usług, wprowadzenie kooperacji chałupniczo-rzemieślniczej dla przemysłu (w produkcji elementów elektronicznych, wykończalnictwie przemysłu odzieżowego itd.), przedłużenie okresu szkolenia zawodowego młodzieży, z jednoczesnym podniesieniem poziomu nauczania i przygotowywania do obowiązków zawodowych, rozszerzenie sieci pracowniczych działek rolnych w miastach, popieranie dążeń inwestycyjnych ludności w zakresie budowy mieszkań i domów jednorodzinnych.

Należy przewidzieć opiekę państwową nad migracją zarobkową, a to celem ułatwienia kandydatom kontaktów zagranicznych, przygotowania ich do pracy na obcym terenie, zabezpieczenia ich zarobków itd.

Należy przewidzieć szersze wyspecjalizowanie polskich organizacji wykonawstwa inwestycyjnego w prowadzeniu robót zagranicznych przy udziale polskich załóg roboczych.

Rosnące w świecie współczesnym znaczenie wysokiej specjalizacji zawodowej i „przemysłu nauki” nakazuje wykorzystanie szansy, stworzonej przez dotychczasowy rozwój kraju ale zaprzepaszczonej ze względu na wąskie horyzonty obecnej władzy, liczącej jedynie doraźne skutki. Program winien więc zapowiedzieć: — przywrócenie pełni praw samorządowych PANu i wyższych uczelni;

— stworzenie scentralizowanego funduszu rozwoju nauki i ba-

dań naukowo-technologicznych, nadzorowanego przez PAN i wyspecjalizowany organ państwowy. Fundusze te winny rosnać w tempie co najmniej o połowę szybszym, niż ogólna produkcja przemysłowa kraju;

- zniesienie reglamentowania dostępu do wydziałów uniwersyteckich i innych kierunków studiów, które można by rozwinąć bez specjalnych nakładów państwa, zapewniając większej liczbie młodzieży osiągnięcie wysokich kwalifikacji;
- rozszerzenie zakresu nauczania przedmiotów ogólnokształcących i zawodowych w technikach dla młodzieży tak, żeby dawały one prawdziwą podstawę do ubiegania się o miejsca na wyższych uczelniach technicznych;
- rozszerzenie możliwości wyższych studiów dla osób pracujących (przez radio, TV, korespondencyjnie itd.).



Powyższe uwagi nie obejmują bardzo trudnej kwestii dotyczącej mechanizmu przejścia władzy przez legalnie ustanowioną w wyborach powszechnych władzę sejmu. Nie jest to wynikiem naszej niedbałości czy niechęci do rozważań. Po prostu wszystko, co mielibyśmy my, w kraju, do zaproponowania odległej Emigracji, mogłoby się wydać podejrzanym. Nasze tutejsze myśli o rozszerzeniu partnerstwa politycznego w „trzydzieści lat później” nie są taktycznym wybiegiem obliczonym jedynie na zachęcenie Emigracji do ratowania jakiegoś odłamu marksistowskiego przed konkurencją sprawującą władzę. Jesteśmy za najuczciwszym porozumieniem w imię naprawienia szkód. Jesteśmy za odnowieniem systemu wielopartyjnego, by dzięki ścieraniu się poglądów na szerokim forum publicznym tym szybciej mógł wrócić do równowagi i kultury współżycia społecznego naród od ćwierćwiecza sterylizowany politycznie. Jesteśmy za wprowadzeniem partnerstwa i konfrontacji politycznej z innymi ugrupowaniami politycznymi dlatego, że widzimy w tym także szansę odrodzenia humanistycznych treści marksizmu, dostosowania go do potrzeb współczesności, oparcia na masowym poparciu, a nie mniej czy więcej uczciwych przedsięwzięciach elity partyjnej.

Jesteśmy za powrotem i równouprawnieniem wszystkich sił społeczno-politycznych — bowiem wierzymy we własne siły. Za podstawowy wyróżnik uważamy nie osiągnięcie czy posiadanie władzy ale sprawowanie jej w najbardziej efektywny dla własnego społeczeństwa i najmniej konfrontacyjny dla całej reszty świata sposób. Przekonaliśmy się, że na pustyni, którą nieuchronnie tworzy system monopartyjny, następuje charakterystyczne zdomino-

wanie elementów policyjnych, zadania społeczne władzy nie są spełniane, następuje skrajna degeneracja systemu społeczno-politycznego oraz upadek gospodarczy kraju.

Jesteśmy za likwidacją ćwierćwiekowego stanu wyjątkowego, zwanego eufemicznie „demokracją ludową” również dlatego, że dokonane już — i opłacone, niestety, tragicznie wysoką ceną niepotrzebnych cierpień narodu — zmiany społeczne i gospodarcze, wykluczają powrót do drastycznych nierówności społecznych, gorzkiej spuściznie po przedwojennej Polsce. Nastąpiły w naszym kraju nieodwracalne przekształcenia, żyje tu społeczeństwo egalitarne, bez przeszkód społecznych, nie do pokonania dla wszystkich jego obywateli.

Pozostaje tylko jedna przeszkoda: ta dzieląca naród od biurokratycznej zwierzchności sowietoidów. Pragniemy ją sforsować z całym społeczeństwem, służąc naszym doświadczeniem i nie domagając się żadnych szczególnych względów. Ani w ocenie naszych indywidualnych i zespołowych dokonań. Ani w staraniach o zaufanie społeczne, wynikające z uczciwej, odpowiedzialnej konfrontacji programów różnych partii i ugrupowań.

Nim jednak będziemy mogli stanąć do tego współzawodnictwa — musimy wspólnie odbyć drogę do polskiej wolności. Nadeszła właśnie jej pora. Dlatego właśnie zdecydowałem się niepokoić Pana.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i najserdeczniejsze pozdrowienia.

O. N. Burba-Kochański

Polska, wrzesień 1970 r.

SERIA „DOKUMENTY”

- Nr 1 *O kulcie jednostki i jego następstwach* (1 F)
 Nr 2 *Przemówienie 1 Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na VIII Plenum 21. X. 1956.* (1 F)
 Nr 3 *Przyczyny rewolucji węgierskiej. Testament Haricha* (wyczerpane)
 Nr 4 *Warszawa-Kijów* (1 F)

W „BIBLIOTECE KULTURY”

- Nr 5 *Program Związku Komunistów Jugosławii. Krytyka „Komunista”* (8 F)
 Nr 6 *Kultura Masowa* — Praca zbiorowa w opracowaniu Czesława Miłosza (6 F)
 Nr 7 Wiktor Sukiennicki: *Kolumbowy Błąd* — Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu” (9 F)
 Nr 9 Adam Ciołkosz: *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska* (wyczerpane)
 Nr 10 Andrzej Stawar: *Pisma ostatnie* (wyczerpane)
 Nr 11 *Sześć lat temu...* (Kulisy polskiego Października) (10 F)
 Nr 12 Witold Jedlicki: *Klub Krzywego Koła* (10 F)
 Nr 13 Wiktor Sukiennicki: *Biała księga* (wyczerpane)
 Nr 14 *January Grzędziński: Maj 1926* (9 F)
 Nr 15 *Dialog polsko-niemiecki* (wyczerpane)
 Nr 16 *Sąd idzie!* Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela (7,50 F) (wyczerpane)
 Nr 17 J. Kuroń i K. Modzelewski: *List Otwarty do Partii* (wyczerp.)
 Nr 18 *Schizmy* (wyczerpane)
 Nr 19 Alicja Zawadzka-Wetz: *Refleksje pewnego życia* (16,50 F)
 Nr 20 Wiktor Sukiennicki: *Legenda i Rzeczywistość* (9 F)
 Nr 21 Leon Mitkiewicz: *Z generałem Sikorskim na obczyźnie* (23 F)
 Nr 22 Julian Kułski: *Stefan Starzyński* (12 F)
 Nr 23 Andrej Sacharow: *Rozmyślenia* (wyczerpane)
 Nr 24 Eugenio Reale: *Raporty. Polska 1945-1946* (18,50 F)
 Nr 25 *W wydarzenia marcowe 1968* (15 F)
 Nr 26 *Ukraina 1956-1968* (18,50 F)
 Nr 27 *Polskie przedwiośnie* (wyczerpane)
 Nr 28 *Komunizm z ludzką twarzą* (wyczerpane)
 Nr 29 Władysław Bienkowski: *Motory i Hamulce Socjalizmu* (12 F)
 Nr 30 *Znasz-Li ten kraj?* (24 F)
 Nr 31 Andrzej Amalrik: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* (10 F)
 Nr 32 Władysław Bienkowski: *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?* (9 F)
 Nr 33 *Głosy Stamtąd* (18,50 F)

**A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 2 8 D E C E M B R E 1 9 7 0
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N
P A R I S (X V I I I ^e)**

Dépôt légal : 4^e trimestre 1970

Cena 12 F (dol. 2,50; sh. 20)